



NEW YORK TIMES  
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

DIANA  
PALMER

KSIĘŻNICZKA  
Z TEKSASU

**Diana Palmer**

**Księżniczka z Teksasu**

*Tłumaczenie:*

*Janusz Maćczak*

A stylized, handwritten-style logo consisting of the letters 'MK' in a bold, cursive font. The 'M' and 'K' are connected, with the 'K' having a long, sweeping tail that curves back towards the 'M'.

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Edith Danielle Morena Brannt nie przepadała za nowym szefem. Właściciel Rancho Real - czyli Królewskiego Rancza - w Spanish nieopodal Catelow w stanie Wyoming, był potężnie zbudowanym i władczy mężczyzną, co przy jej drobnej posturze i łagodnym sposobie bycia stanowiło poważny kłopot. Do tego szef żywił wobec niej uprzedzenia, które dzielali prawie wszyscy robotnicy rolni.

Morie, jak nazywali ją przyjaciele, z trudem hamowała wybuchy złości, gdy Mallory Dawson Kirk podnosił na nią głos. Był człowiekiem niecierpliwym, porywczym i zadufanym w sobie, zupełnie jak jej ojciec, który stanął okoniem, gdy zapagnęła podjąć pracę na rodzinnej farmie. Zresztą stawał jej okoniem we wszystkim, aż wreszcie miała tego dość. Co z tego, że ojciec cenił jej inteligencję i wykorzystywał w pracy biurowej, a także uwzględniał rady i pomysły w zakresie planowania rozwoju rancza, skoro tak czy inaczej trzymał córkę w złotej klatce? W jego oczach w pierwszym rzędzie była posażną panną na wydaniu, która ma dobrze wyjść za mąż i obdarzyć go wnukami. Miała tego szczerze dość. Twardo oznajmiła ojcu, że poszuka pracy gdzie indziej, spakowała się i wyjechała. Miała dwadzieścia trzy lata, dlatego w sensie prawnym nie miał nad nią żadnej władzy i mogła sama o sobie decydować. Więc zdecydowała. Wprawdzie Shelby, jej matka, oraz brat Cort próbowali łagodnej perswazji, lecz bezskutecznie. Morie kochała rodzinę, ale za nic nie mogła zgodzić się na los, który zaprogramował dla niej ojciec. Nie godziła się na rolę kukły, to znaczy dobrze ułożonej panienki, o której rękę zabiegają mężczyźni ze względu na jej majątek i pochodzenie, a nie na to, kim naprawdę jest. Czowała się przez to poniżona, traktowana jak bezwolna idiotka, kukła właśnie. Dlatego gorąco zapagnęła zatrudnić się na obcym ranczu, gdzie nikt jej nie zna. Nawet pomimo napadów złego humoru Mallory'ego i dającej się nieraz odczuć rezerwy ze strony personelu była szczęśliwa, że w sumie została zaakceptowana w tym twardym świecie jako zwykła, uboga i ciężko pracująca kobieta. Ale nie o to tylko chodziło. Przede wszystkim chciała nauczyć się pracy na ranczu. Ojciec jej na to nie pozwalał, nie godził się, by choćby zbliżyła się do bydła, zupełnie jakby miało zbrukać jaśnie panienkę. Tyle że to nie była osiemnastowieczna Anglia, tylko dwudziesty pierwszy wiek i Ameryka, a ona nie była księżniczką czekającą na swojego królewicza, tylko młodą kobietą, która pragnęła żyć na własny rachunek.

- I jeszcze jedno - powiedział szorstko Mallory, mierząc Morie gniewnym spojrzeniem. - Kiedy skończysz robotę, zawsze wieszaj klucze na miejscu. Nigdy nie chowaj

ich do kieszeni i nie wynoś ze stajni. Jasne?

Morie, która istotnie w razie potrzeby wносиła klucz od głównej siodlarni poza teren posiadłości, zaczerwieniła się.

- Przepraszam pana - powiedziała cicho. - To się więcej nie powtórzy.

- W przeciwnym razie stracisz pracę - zagroził.

- To moja wina - wtrącił z uśmiechem stary brygadzysta Darby Hanes. - Zapomniałem ją o tym uprzedzić.

Mallory milczał przez chwilę, po czym powiedział:

- Okej. Cenię twoją szczerść i uczciwość, Darby. - Znów spojrzał na Morie: - Jako niedawno zatrudniona pracownica powinnaś brać z niego przykład.

- Proszę pana - jej rumieniec jeszcze się pogłębił - nigdy nie przywłaszczam cudzej własności.

Popatrzył na jej postrzępione dżinsy i zniszczone buty. Doprawdy, nieciekawym wizerunek. Tyle że na ranchu nikt nie chodzi w atłasach. Poza tym nie zamierzał pochopnie osądzać tej dziewczyny, dopiero czas pokaże, co naprawdę jest warta.

Mallory Kirk nie był pięknym mężczyzną, ale z całą pewnością imponującym. Ta postura! Do tego gęste czarne włosy zaczesane z przedziałkiem z boku, duże uszy i nos, oczy osadzone głęboko pod wydatnym czołem, gęste brwi, a jego usta były tak zmysłowe, że Morie podczas pierwszego spotkania nie mogła oderwać od nich wzroku. Uznała, że właśnie te usta z nadatkiem rekompensują niedostatki urody. Miał głęboki aksamitny głos, duże wypielęgnowane dłonie i równie wielkie stopy w starych zabłoconych butach. Był właścicielem rancha i nikt nigdy o tym nie zapominał, ale pracował razem ze swoimi ludźmi pośród błota i bydlęcej krwi jak prosty parobek.

W istocie tak robili wszyscy trzej bracia Kirkowie. Mallory był najstarszy, miał trzydzieści sześć lat. Drugi z braci, młodszy o dwa lata, miał na imię Cane, podobnie jak brzmiało nazwisko panińskiej matki Morie, które jednak pisało się przez K. Cane stracił rękę podczas drugiej wojny w Zatoce, zmagając się z alkoholizmem i przechodził kurację odwykową, w czym bracia bardzo go wspierali.

Najmłodszy z nich, trzydziestojednoletni Dalton, był strażnikiem granicznym urzędu imigracyjnego, z niejasnego powodu miał przydomek Tank. Odnosił liczne rany w strzelaninie podczas bitwy z gangiem przemytników narkotyków na meksykańskiej granicy Arizony i przez długie tygodnie przebywał w szpitalu w tak ciężkim stanie, że lekarze nie dawali mu żadnych szans, jednak ku ich zdumieniu wylizał się. Gdy stanął na nogi, złożył wypowiedzenie i wrócił do rodzinnego rancha w Wyomingu. Nigdy nie wspominał o tamtym

dramatycznym zdarzeniu, ale Morie widziała, jak na odgłos strzału w gaźniku starej ciężarówki padł na ziemię. Wybuchnęła śmiechem, lecz Darby Hanes uciszył ją i opowiedział o tym, co przeżył Dalton, gdy pracował w straży granicznej. Odtąd nigdy już nie śmiała się z jego dziwnych zachowań. Było oczywiste, że zarówno on, jak i Cane wskutek dramatycznych przeżyć doznali uszczerbku nie tylko fizycznego, lecz także psychicznego. Do niej nigdy nie strzelano ani nie przeżyła nic równie okropnego. Rodzice i brat chronili ją niczym cieplarnianą różę. Dopiero teraz zaznała prawdziwego życia. To był jej wybór, bunt cieplarnianej róży, która nią być nie chciała. Tyle że Morie jeszcze nie wiedziała, czy owo prawdziwe życie, przynajmniej w tym wydaniu, naprawdę jej się podoba. Czas pokaże.

Dotąd mieszkała na olbrzymim ranczu ojca. Jaśnie panienka odbierała stosowną edukację, w tym również jeździła konno, czego nauczył ją ojciec, jednak, co oczywiste przy takim wychowaniu, nie nawykła do codziennej znożnej pracy. Dlatego tutaj, jako pracownica fizyczna, przez pierwsze dni nie bardzo sobie radziła.

Szczęśliwie zaopiekował się nią Darby Hanes. Między innymi pokazał Morie, jak należy dźwigać wielkie bele siana zwożone do stodoły, by nie nadwerężyć pleców. Bracia Kirkowie nie uznawali nowoczesnej metody składowania siana w wielkich, mechanicznie rolowanych belach, gdyż uważali ją za nieefektywne marnotrawstwo. Nauczył ją też podkuwania koni, choć na ranczu zatrudniano kowala, i leczenia pęcin. W ciągu niespełna dwóch tygodni zdobyła mnóstwo umiejętności, jakich z całą pewnością nie uczono w college'u.

- Nigdy wcześniej nie miałas z tym do czynienia - orzekł Darby niby to oskarżycielskim tonem, ale z uśmiechem.

- To prawda, nie miałam, ale bardzo potrzebowałam tej pracy - odparła, nie wyjaśniając, że tej pracy potrzebowała nie po to, by przeżyć, lecz po to, by odmienić swoją egzystencję. - Zachował się pan wobec mnie wspaniale, panie Hanes. Jestem ogromnie wdzięczna, że nie powiadomił pan szefa o mojej nieporadności, tylko nauczył mnie wszystkiego, co umożliwi mi wypełnianie obowiązków.

Na szczęście mój ojciec nic o tym nie wie, pomyślała. Gdyby dotarło do niego, że Hanes pozwala jego ukochanej księżniczce podkuwać konie, obdarłby go żywcem ze skóry.

- Nie ma sprawy. - Darby lekceważąco machnął ręką. - I pamiętaj, zawsze wkładaj rękawice. - Wskazał tylną kieszeń Morie, z której wystawały. - Masz piękne dłonie. Moja żona też dawniej takie miała - dodał w zadumie. - Kiedy ją poznałem, grała na fortepianie w eleganckiej restauracji. Pobraliśmy się po zaledwie dwóch randkach. Nie mieliśmy dzieci. Dwa lata temu zmarła na raka. - Przymknął na moment oczy. - Wciąż za nią tęsknię - wyznał

cicho.

- Przykro mi - powiedziała Morie.

- Już niebawem znów się z nią spotkam. Wiesz, śmierć to nic niezwykłego czy wyjątkowego, jest wpisana w życie. To nasz nieuchronny los.

Niby była to banalna prawda, a jednak w ustach Darby'ego Hanesa zabrzmiała głęboko, podsumowywała wiele dziesiątków przeżytych pracowicie i w miłości lat. Ten długi dystans Morie dopiero miała przed sobą, co uzmysłowiła sobie, wychwytyjąc całą powagę tej również niby banalnej, a jednak jakże ważnej refleksji. Zarazem wydało jej się dziwne, że prowadzi na ranchu dyskusję na tak zasadniczy, wręcz filozoficzny temat.

Darby musiał wyczuć jej zdziwienie, bo spytał kpiąco:

- Uważasz, że robotnicy rolni to ci, którzy rzucili naukę w liceum? - Popatrzył na nią przenikliwie. - Na przykład ja zrobiłem magisterium z fizyki teoretycznej na MIT. - Zrobiła wielkie oczy. Massachusetts Institute of Technology była to najstynniejsza uczelnia techniczna nie tylko w Stanach, ale i na całym świecie. - Byłem najbardziej obiecującym studentem na roku, ale żona chorowała na płuca i lekarze zalecili jej, by przeprowadziła się na zachód, gdzie klimat jest suchszy. Jej ojciec prowadził rancho... - Urwał. - Przepraszam, mam skłonność do nadmiernego gadulstwa. W każdym razie porzuciłem fizykę i filozofię, którą również studiowałem, i zacząłem pracować przy krowach. Może to wydać się dziwne, ale szybko się przekonałem, że wolę to od laboratorium naukowego. Potem w tym samym charakterze zatrudniłem się tutaj. Ale nie jestem tu jedyną osobą z cenzusem naukowym. Mamy trzech pracowników na niepełnych etatach, którzy uczą się w college'u dzięki stypendiom ufundowanym przez braci Kirków.

- Jak to miło z ich strony! - zawołała.

- Bracia Kirkowie wyglądają na twardych i szorstkich i zazwyczaj tak się zachowują, ale pomogą każdemu w potrzebie. - Wstał. - Zapłacili za leczenie mojej żony, gdy skończyły się środki z ubezpieczenia zdrowotnego, a sam pobyt w szpitalu, nie mówiąc nawet o zabiegach i operacjach, to ogromny koszt. A oni bez wahania wyasygnowali pieniądze.

Ze wzruszenia ścisnęło ją w gardle. Cóż za hojny gest! Z drugiej strony wiedziała, że kierujący się zasadami moralnymi bogacze tak właśnie się zachowują. Jej rodzina tak samo postępowała wobec swoich pracowników, ale Morie nie powiedziała tego, by zachować w tajemnicy swoje pochodzenie.

- Bardzo ładnie z ich strony - powtórzyła z głęboką aprobatą.

- Będę tu pracował aż do śmierci, jeśli zechcą mnie dalej zatrudniać. To wspaniali ludzie.

Usłyszeli, że ktoś podszedł do nich. Gdy się odwrócili, zobaczyli szefa.

- Dziękuję za ten dowód uznania, ale wydaje mi się, że trzeba już oporządzić krowy na południowym pastwisku - powiedział Mallory z błyskiem w czarnych oczach.

- Racja - odrzekł Darby. - Przepraszam, ale właśnie wychwalałem pana przed tą młodą damą. Zaskoczyło ją, że studiowałem filozofię.

- Nie mówiąc już o fizyce teoretycznej - dorzucił sucho Mallory.

- No tak, wobec tego nie wspomnę o pańskim magisterium z biochemii. - Darby uśmiechnął się prowokująco.

- Dzięki - burknął Mallory.

Stary brygadzysta mrugnął do Morie i odszedł, zostawiając ich samych.

Przy tym ogromnym mężczyźnie poczuła się jeszcze mniejsza i drobniejsza, niż była w rzeczywistości, zarazem jednak nie czuła się już aż tak przytłoczona jak na początku.

- Morie... - powiedział cicho. - Masz niecodzienne imię.

- To od Moreny. Oficjalnie nazywam się Edith Danielle Morena Brannt - wyjaśniła z uśmiechem. - Matka wiedziała, że odziedziczę ciemne włosy po niej i po ojcu, więc dodała mi trzecie imię Morena, co po hiszpańsku znaczy ciemnowłosa. Miałam... hm... hiszpańskich pradziadków. - Omal się nie wygadała, że pochodzi z hiszpańskiej rodziny królewskiej, faktycznie więc miała prawo po matce używać książęcego tytułu. Hiszpańska księżniczka oporządzająca krowy na Rancho Real w Wyomingu... Uśmiechnęła się na tę myśl. W żadnym razie nie zamierzała wyjawić swojego rodowodu. Pragnęła, by postrzegano ją jako ubogą, lecz uczciwą pracownicę rolną. Jej nazwisko jest dość częste w południowym Teksasie, nie powinna więc się bać, że Mallory skojarzy ją z Kingiem Branntem, potentatem w hodowli bydła.

- Morie... - powtórzył. - Ładne imię.

- Naprawdę przepraszam za tamten klucz.

- W zeszłym miesiącu zrobiłem to samo. - Wzruszył ramionami. - Ale ja jestem tu szefem, więc na mocy definicji tego słowa nie popełniam błędów. A pracownik to jest osoba, która zawsze o tym pamięta - oznajmił stanowczo.

- Nie zapomnę o tym, proszę pana.

- To dobrze... - Przyjrzał się jej drobnej sylwetce o uroczo krągłych kształtach. Morie miała długie czarne włosy, które wiązała w kok na szczycie głowy, duże brązowe oczy, ładne usta i nieskazitelną cerę. Nie była piękną, ale przyjemnie się na nią patrzyło. Nie wydawała się stworzona do fizycznej pracy.

- O co chodzi? - spytała zakłopotana jego spojrzeniem.

- Przepraszam, ale pomyślałem, jak bardzo różnisz się od kobiet, które tu zatrudniamy.

- No cóż... - Akurat do tego mogła się przyznać. - Ukończyłam college i zrobiłam licencjat.

- Aha... Co studiowałaś?

- Historię. - Mimowolnie zerknęła wokół. - Wiem, że akurat ta dziedzina wiedzy niezbyt tu się przydaje, a stare dzieje wielu ludziom wydają się nudne. - Zabrzmiało to tak, jakby się usprawiedliwiała, dlatego dodała pewniejszym głosem: - Ale ja ją uwielbiam.

- Powinnaś porozmawiać z Cane'em - odparł po krótkim namyśle. - Jest magistrem antropologii. Szkoda, że nie z paleontologii, ponieważ w pobliżu znajduje się jezioro Fossil należące do formacji Green River. Zarówno w jeziorze, jak i w całej formacji jest dużo skamielin liczących wiele milionów lat. Kiedyś Cane z wielkim zapalem kopał w ziemi... - Przerwał na moment. - Niestety nawet nie chce o tym słyszeć, by mógł do tego wrócić.

- Z powodu utraty ręki? - spytała wprost. - Przecież może nadzorować prace wykopaliskowe i katalogować znaleziska. - Speszyla się trochę. - Wiem, że to nie moja sprawa, a ja strasznie się wymądrzam, ale jako dodatkowy kierunek studiowałam antropologię.

Wybuchnął śmiechem.

- Nic dziwnego, że lubisz pracę na ranczu. Spotkać tu można ciekawe ludzkie indywidua - skomentował rozbawiony. - Brałaś udział w wykopaliskach antropologicznych?

- Owszem, choć nie odkryłam brakującego ogniwa w łańcuchu ewolucyjnym człowieka. - Też się uśmiechnęła. - To moje grzebanie w ziemi doprowadzało moją matkę do rozpacz. Wracałam do domu umorusana jak nieboskie stworzenie. - Zdarzało się, że ojciec gościł wybitnych europejskich polityków czy członków królewskich rodzin, a w domu zamiast „jaśnie panienki” pojawiała się „nieboskie stworzenie”. Oczywiście powiedziała tylko tyle: - Było kilka zabawnych incydentów, gdy wracałam do domu ubłocona.

- Wyobrażam sobie. - Westchnął. - Cane nie pogodził się ze swoim kalectwem, nie przystosował się. Przestał uczęszczać na fizykoterapię, co więcej, nie uczestniczy w rodzinnych uroczystościach. Zostaje w swoim pokoju i gra przez internet w gry komputerowe. - Urwał. - Dobry Boże, dlaczego właściwie ci o tym wszystkim opowiadam?

- Potrafię milczeć jak grób. Nigdy nie powtarzam nikomu tego, co powierzono mi w zaufaniu.

- Umiesz słuchać. Mało kto to potrafi.

- Pan potrafi. - Uśmiechnęła się.

- Jako szef muszę umieć wysłuchiwać ludzi.



- Racja... Lepiej dokończę układanie siana. - Zerknęła na niego. - Wie pan, że w dzisiejszych czasach większość ranczerów stosuje mechaniczne formowanie beli...

- Daj spokój - przerwał jej szorstko. - Nie lubię tych nowomodnych tak zwanych ulepszeń. Prowadzę ranczo tak, jak prowadził je ojciec, a wcześniej dziadek. Stosujemy płodozmian, hodujemy bydło bez chemicznych suplementów paszy, zachowujemy naturalną uprawę zbóż i roślin pastewnych. I na terenie naszego rancza nie pozwalamy wydobywać ropy naftowej. W wielu rejonach stanu Wyoming, na południe stąd, uzyskuje się ropę z łupków skalnych, ale my nie sprzedajemy ani nie wydzierżawiamy ziemi do tego celu.

Wiedziała, że Mallory jest bardzo uczulony na punkcie ochrony środowiska. Czytała artykuł o jego ranczu zamieszczony w lokalnej gazecie z północnego zachodu poświęconej hodowcom bydła. Ta gazeta leżała na stole w baraku robotników rolnych.

- Na czym polega ta metoda uzyskiwania ropy? - spytała z zaciekawieniem.

- Wstrzykuje się ciecz pod wielkim ciśnieniem do pokładów skalnych, by je rozkruszyć i uzyskać dostęp do złóż ropy naftowej oraz gazu ziemnego. Jeśli proces przeprowadza się niewłaściwie, można doprowadzić do zanieczyszczenia podziemnych zbiorników wodnych, mówi się też, że może spowodować trzęsienie ziemi. - Patrzył na nią z powagą. - Nie zamierzam ryzykować skażenia bezcennych zasobów wody.

- Rozumiem.

- Słuchałem też wykładów na temat zalet stosowania modyfikowanych genetycznie zbóż oraz klonowania. - Pochylił się naprzód. - Nigdy się na to nie zgodzę, chyba że po moim trupie!

Na tę pełną ognia i zapalczywości wypowiedź mimowolnie zareagowała śmiechem. Patrzył na jej twarz o delikatnych rysach, na jej czarne oczy skrzące wesołymi iskierkami. Jej reakcja zdziwiła go, zaraz jednak zrozumiał, że rozbawiły ją nie jego poglądy, ale nadmierna emfaza, z jaką je przekazał. Innymi słowy, Morie była nie tylko ładna, ale miała także poczucie humoru. W niczym nie przypominała Gelly Bruner, przyjaciółki Mallory'ego, układnej i wyrafinowanej kobiety ze Wschodniego Wybrzeża, której rodzina przed kilku laty przeprowadziła się do Wyomingu i nabyła niewielkie ranczo nieopodal posiadłości Kirków. Poznali się w Denver na koktajl party podczas zjazdu hodowców bydła, na którym jej ojciec wygłaszał prelekcję. Mallory spotykał się z Gelly, lecz nie zależało mu na nawiązaniu namiętnego romansu, w każdym razie nie teraz, jako że fatalne przeżycia zniechęciły go do poważniejszych związków. Poza tym, mówiąc wprost, był przekonany, że owa układna i wyrafinowana Gelly jest z nim z bardzo prozaicznego powodu. Wydawał na nią dużo pieniędzy. Gdy tylko przestanie to robić, pójdzie swoją drogą. Cóż, nie miał żadnych złudzeń

co do swej urody. Nie tyle on zdobywał kobiety, co jego majątek.

- Bardzo się pan zadumał - z uśmiechem skomentowała jego milczenie.

- Zbyt głęboko, by się tym dzielić. - Też się uśmiechnął. - No, Morie, wracaj do pracy.

W razie potrzeby zwracaj się ze wszystkim do Darby'ego.

- Tak jest, sir. - Odruchowo użyła wojskowego zwrotu, i w sumie w stosunku do Mallory'ego wydało się to jej właściwe. Tak często zwracali się kowboje do jej ojca. Obaj należeli do tych, którzy samym swym wyglądem i sposobem bycia wzbudzają posłuch i respekt.

- Dla odmiany teraz ty odpłynęłaś myślami - rzucił prowokująco.

- Ot, takie tam - odparła wesoło. - Nic ciekawego.

- Niech będzie... - Patrzył na nią przez chwilę. Instynktownie wyczuła, że zbiera się do bardzo osobistego pytania, usłyszała jednak: - Jaki jest twój ulubiony okres w historii?

Owszem, pytanie było obojętnej natury, ale tylko pozornie. Gdy kinomana spytamy o ulubione filmy, mnóstwo się o nim dowiemy. Podobnie gdy historyka spytamy o ulubiony okres w dziejach lub ukochane postaci. Czyżby Mallory właśnie w ten sposób chciał ją wysondować?

- Pasjonują mnie czasy Tudorów - wyznała z uśmiechem.

- Ach tak! - Nie był biegły w historii, wiedział jednak, że była to niesłychanie burzliwa epoka w dziejach Anglii. - A kogo z dynastii cenisz najbardziej?

- Królową Marię.

- Krwawą Mary? - Nie krył zdumienia. - Ten przydomek dostała nie dlatego, że wymyśliła koktajl o tej nazwie, tylko za całkiem inne i naprawdę krwawe dokonania.

- To czarna legenda! - Spiorunowała go wzrokiem. - Owszem, królowa Maria nie była niewiniątkiem, tyle że postępowała zgodnie z duchem swojej epoki. Wszyscy Tudorowie więzili ludzi w lochach, ścinali, palili na stosach. Obciąża to nie tylko jej sumienie, tak samo postępował ojciec Marii, jej brat, a także siostra Elżbieta. Ważne, co poza tym reprezentowali, a ja uważam, że królowa Maria... Och, naprawdę można jej mnóstwo zarzucić, ale... - Uśmiechnęła się. - Przepraszam, strasznie się podekscytowałam, a temat jest długi i skomplikowany. W każdym razie Maria przeszła do historii jako ta zła, a Elżbieta jako ta dobra, mądra i zasłużona dla kraju. A tak naprawdę największą zasługą królowej Elżbiety było to, że żyła i panowała najdłużej, dzięki czemu miała szansę zadbać o dobry PR, mówiąc współczesnym językiem.

- Rozumiem - odparł z podejrzaną powagą. - Chodziło o to, by dobrze sprzedać legendę o Elżbiecie. By tego dokonać, mianowała Wielkiego Lorda do spraw Królewskiego

Marketingu. - Nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem.

- Łatwo sobie podkpiwać! - zaperzyła się. - Owszem, od czasów Elżbiety zaczęła się imperialna potęga Anglii, ale to tylko w minimalnym stopniu jej zasługa. Zdecydowały warunki geopolityczne, mówiąc najkrócej, fundamentalne błędy popełnione przez Hiszpanię i Francję... - Machnęła ręką. - To naprawdę strasznie skomplikowany temat. W każdym razie jeśli chodzi o królową Elżbietę, to jestem absolutnie przekonana, że na trwałe zagościła w historii jako jasna gwiazda nie dzięki prawdziwym zasługom, ale na skutek sprawnie i konsekwentnie przeprowadzonej przez jej popleczników akcji propagandowej.

- Cóż, nie jestem biegły w historii. Pamiętam trochę ze szkoły, wpadają też w ucho jakieś obiegowe opinie o tym czy owym... - Skrzywił się. - Nie tylko nie jestem biegły. Po prostu nie cierpię historii.

- Szkoda.

- Może jednak ją polubię? A przynajmniej epokę Tudorów? Muszę trochę o nich poczytać, żebyśmy mogli podyskutować o zaletach i przywarach Henryka, Marii czy Elżbiety.

- Bardzo bym się ucieszyła, bo uwielbiam takie dyskusje.

- Ja również... o ile na koniec wygrywam.

- No to jest nas dwoje! - Posłała mu szelmowski uśmiech i wróciła do pracy.

W nocy w baraku mieszkalnym robotników rolnych panowała cisza. Morie miała osobny pokój przeznaczony dla pracownic zatrudnianych na ranczu. Był ciasny i skąpo wyposażony, ale go lubiła. Przywiozła ze sobą iPoda, więc surfowała po internecie, oglądała filmy i programy telewizyjne. Poza tym mnóstwo czytała. Nie przesadziła, gdy wspomniała o swojej pasji do historii. Po skończeniu college'u zaspokajała ją, wyszukując tłumaczenia hiszpańskich manuskryptów dotyczących Marii Tudor i jej pięcioletniego okresu panowania w Anglii. Wynajdywała rękopisy w najdziwniejszych miejscach. Fascynowało ją myszowanie po wirtualnych bibliotekach i smakowanie historii, którą skrupulatnie przetransponowano na obrazy cyfrowe. Podziwiała pełnych oddania bibliotekarzy, którzy poświęcali swój czas i umiejętności, by udostępnić publicznie tak wielką wiedzę. Zachwycala się również utalentowanymi ludźmi, którzy władają starożytną greką i łaciną i przekładają dawne teksty na współczesną angielszczyznę, wyświadczając olbrzymią przysługę historykom, którzy nie znają tych języków.

Podziwiała też wspaniałe osiągnięcia techniki, które to wszystko umożliwiały. Zasnęła, rozmyślając o tym, jakie jeszcze cuda przyniesie postęp w dziedzinie elektroniki.

O świcie obudziła ją komórka.

- Halo - wymamrotała zasnana Morie.

- Witaj, śpioszku!

- Cześć, mamó. - Odwróciła się na plecy. - Jak tam w domu? - spytała z uśmiechem.

- Tęsknię za tobą. - Shelby westchnęła. - Twój ojciec jest tak bardzo rozdrażniony, że nawet starzy pracownicy schodzą mu z drogi. Wciąż się dopytuje, gdzie jesteś.

- Nie waż się mu tego mówić! - zawołała Morie.

- Nie powiem. - Matka znów westchnęła. - Ale grozi, że wynajmie prywatnego detektywa, by cię odszukał. Nie mieści mu się w głowie, że jego mała córeczka wyjechała pracować zarobkowo.

- Po prostu wścieka się, że nie zdołał mnie zmusić do ślęczenia nad arkuszami kalkulacyjnymi, z którymi sobie nie radzi, i nie włączyłam się w prace nad programem racjonalnego żywienia bydła. Przynajmniej na razie wolę inne zajęcia. - Ostatnie zdanie powiedziała ciszej, jakby do siebie. - Ale nie martw się, mamó, niedługo wrócę do domu.

- Mam nadzieję, że zjawisz się na pokazie naszego bydła.

Miał się odbyć dopiero za trzy tygodnie, ale King Brannt wszystko już zapiął na ostatni guzik. Podczas pokazu zamierzał zaprezentować wielokrotnie nagradzaną rasę krów Santa Gertrudis, wyhodowaną w Skylance, rodzinnym ranczu Branntów leżącym w pobliżu San Antonio. Pokaz i przyjęcie zaplanowano na olbrzymią skalę, zaproszono sławne osobistości ze świata rozrywki, sportu i polityki, a nawet członków rodziny królewskiej. Ojcu zależało na obecności całej rodziny, a zwłaszcza Morie, która powinna wspomóc matkę w pełnieniu honorów domu. Z uwagi na skalę przedsięwzięcia Shelby mogłaby sobie sama nie poradzić.

- Na pewno przyjadę, mamó, choćby tylko na ten jeden wieczór - obiecała solennie. - Powtórz to ojcu, żeby się nie zamartwiał.

- Oczywiście, kochanie... - Shelby milczała przez chwilę. - Wiesz, jesteś do niego podobna.

- Cort o wiele bardziej go przypomina. To dopiero charakterek!

- Twój brat się uspokoi, ale dopiero wtedy, kiedy spotka kobietę, która zdoła z nim wytrzymać. Co wcale nie jest takie łatwe...

- Och, mamó! - zawołała rozbawiona Morie. - Tata znalazł cię, więc dla biednego Corta też jest nadzieja.

- Obyś miała rację... Niestety od jakiegoś czasu z nikim się nie umawia, a konkretnie po tym, jak ta dziewczyna z show-biznesu próbowała uwieść go w kinie. Strasznie go zszokowała, kiedy oświadczyła, że w swoim mieście robiła to we wszystkich eleganckich

salach kinowych. - Matka się zaśmiała. - Twój brat buja w obłokach. Dla niego wszystkie kobiety to delikatne eteryczne istoty, które potrzebują opieki i ochrony. - Zamilkła na chwilę, po czym dodała: - Naprawdę powinien przestać oglądać stare filmy.

- Powiedz mi, żeby obejrzał kilka z Bette Davis - poradziła Morie. - To najnowocześniejsza aktorka, jaką widziałam, chociaż szczyt sławy osiągnęła w latach czterdziestych.

- Uwielbiałam jej filmy.

- Ja też, mammo... - Morie zawahała się na moment. - Lubię też stare filmy babci.

Maria Kane była niegdyś sławną gwiazdą filmową, lecz z córką łączyły ją bardzo trudne, czasami chłodne, a czasami burzliwe stosunki. Shelby wciąż nie doszła z tym do ładu, nadal cierpiała z tego powodu, o czym Morie doskonale wiedziała. I teraz, ku swemu zaskoczeniu, usłyszała:

- Też je lubię, kochanie. - Shelby przerwała na moment. - Wiesz, tak naprawdę w ogóle nie znałam mamy. Opiekowały się mną nianie i gosposie, aż wreszcie zamieszkałam z ciotką. - Nie kryła smutku. - Ciotka starała się jak mogła, ale cóż... Wiesz, co po śmierci mamy powiedział Brad, jej ostatni mąż?

- Tak, mammo? - ponagliła delikatnie, gdy Shelby długo milczała.

- Pojechałam do Hollywood, pogrzeb wyznaczono na następny dzień. Bardzo lubiłam Brada, był mądry, ciepły, szczerzy i bardzo cierpiał po śmierci żony. Pamiętam tamten wieczór. Siedzieliśmy na tarasie, zapadał zmierzch. Właśnie wtedy Brad powiedział coś bardzo ważnego. Że Maria tak naprawdę nigdy nie dorosła i jeśli chce się ją zrozumieć, trzeba o tym pamiętać. Oceniana jak osoba dorosła, zasługuje na potępienie, tyle że pozostała nastolatką.

- Mammo, może to jest klucz, żebyś...

- Wiem, skarbie. Wciąż się z tym zmagam. Mam kochanego męża i dorosłe dzieci, a wciąż nie uporałam się z własnym dzieciństwem... Ale porzućmy te smutki. Morie, powiedz, co w tej chwili najbardziej by cię ucieszyło?

- Pieczony dorsz à la Shelby Brannt! - zawołała bez namysłu.

- Coś takiego! - rzekła ze śmiechem Shelby.

- Mammo, nikt tak nie przyrządza ryb jak ty, a tutaj nie przepadają za rybami, więc prawie ich nie jemy. Marzę o delikatnie upieczonych filetach z dorsza ze świeżymi ziołami i masłem. O rany, już mi ślinka pociekła!

- Kiedy przyjedziesz do domu, zrobię je dla ciebie. Ale powinnaś nauczyć się sama je przyrządzać. Skoro wyprowadziłaś się od nas i mieszkasz samodzielnie, musisz umieć

gotować.

- Zawsze mogę coś zamówić.

- Owszem, ale nie ma to jak domowa kuchnia.

- Twoja na pewno. - Morie zerknęła na zegarek. - Muszę już kończyć, mam. Dzisiaj kąpiemy bydło w płynie odkażającym. Okropna robota.

- Znasz sprawę, każdej wiosny przyglądałaś się takiej kąpieli na naszym ranczu.

- Tęsknię za tobą, mam.

- A ja za tobą, skarbie.

- I kocham cię.

- Ja ciebie też. No to pędź do swoich obowiązków. Pa.

- Pa, mam.

Ubierając się, Morie wciąż myślała o matce. Jest po prostu nadzwyczajna. Czują i dobra, mądra i piękna, a przy tym, kiedy trzeba, ujawniająca ogromny temperament. No i była wszechstronnie utalentowana. A już jej sztuka kulinarna! Karmiona prostymi potrawami na ranczu, Morie marzyła, by zasiąść do matczynego stołu. Potrafiła upitrasić egzotyczne i najbardziej ekstrawaganckie potrawy albo wydać wytworną kolację dla członków rodziny królewskiej. Morie bardzo ją za wszystko podziwiała, ale mamina kolacyjka... mniem, mniem!

Podziwiała również tatę. Miała natomiast serdecznie dosyć facetów, którzy umawiali się z nią, mając na uwadze tylko jedno: małżeństwo, które ustawi ich finansowo na resztę życia. Zadziwiająco, jak wielu z nich traktowało ją jako środek do zdobycia majątku! Żalotne... Ostatni przyznał z zaskakującą szczerością, że jego ojciec poradził mu, by poślubił dziedziczkę fortuny, a tak się składa, że Morie przynajmniej jest ładniejsza od innych posażnych panien, o które zabiegał.

Sklęła go, na czym świat stoi, a wtedy do pokoju akurat wszedł tata. Gdy zorientował się, w czym rzecz, natychmiast przegonił na cztery wiatry niefortunnego zalotnika.

Morie poczuła się zdruzgotana. Naprawdę lubiła młodego księgowego, który przyjechał do miasta, aby przeprowadzić audyt w jednej z firm. Kompletnie go nie wyczuła, dlaczego zabiegał o jej uwagę podczas fiesty. Okazało się jednak, że wcześniej zrobił dokładne rozpoznanie i wiedział, kim jest Morie, z jakiej rodziny pochodzi i na jaki posag może liczyć. Miał nienaganne maniery, umiejętnie ją uwodził, grał na niej jak wirtuoz na instrumencie, sprawił, że poczuła się piękna i pożądana, rodziło się w niej prawdziwe uczucie.

I nagle zaczął mówić o pieniądzach, sprawdzać, czy kalkulacje dotyczące posagu Morie są prawdziwe. Poczuła się głęboko urażona, rozczarowana i poniżona, oczywiście też

wściekła, dlatego z hukiem zerwała znajomość. Marzyła o mężczyźnie, który pokocha ją ze względu na nią samą, a nie na pieniądze przyszłego teścia, jednego z najbogatszych teksańskich ranczerów.

Dlatego cyniczny i podły księgowy nawet w jej myślach pozostał tylko cynicznym i podłym księgowym. Symbolicznie dokonała na nim egzekucji, wymazując z pamięci jego imię i nazwisko.

O tym wszystkim myślała, pomagając kapać bydło w obrzydliwie śmierdzącym płynie odkażającym. Był maj, krowy się cieleły i trzeba je było zabezpieczać przed pasożytami. I znów tknęła ją myśl, czy jednak nie zwariowała, gdy postanowiła wyjechać z domu i podjąć tutaj pracę.

- Pachnie jak eleganckie perfumy, co? - zagadnął z uśmiechem Red Davis, rudy piegowaty kowboj dobiegający czterdziestki, o niebieskich oczach i szelmowskim usposobieniu.

Od wczesnej młodości pracował na ranczach, lecz nigdzie zbyt długo nie zagrzeźł miejsca. Rzuciła mu wymowne spojrzenie, po czym poskarżyła się:

- Ubranie do wyrzucenia. Nigdy nie pozbędę się tego smrodu.

- No, mogłabyś. - Red uśmiechnął się pod szerokim rondem słomkowego kapelusza. - Oto, co powinnaś zrobić, panno Morie. Idź późną nocą do lasu i zaczekaj na skunksa. Wtedy pobiegnij ku niemu. Zacznie tupać przednimi łapami, by cię ostrzec, a potem odwróci się tyłem, uniesie ogon i...

- Przestań, Red! - jęknęła.

- Zaczekaj i posłuchaj - kontynuował z powagą. - Gdy już cię spryska i będziesz musiała zakopać w ziemi ubranie i wykąpać się w soku pomidorowym, zapomnisz o tym miłym zapachu płynu odkażającego. Pojmujesz? To rozwiązałoby twój kłopot!

- Zaraz się przekonasz, co to są kłopoty! - zawołała rozeźlona.

Roześmiał się.

- No co ty! - odparł rozbawiony. - Trzeba mieć poczucie humoru, żeby pracować przy oporzędzaniu bydła.

- Jasne, zgadzam się, ale jakoś mi nie starcza poczucia humoru, gdy stoję przy sadzawce pełnej... Aaaaach! - Ten okrzyk był w pełni uzasadniony, bo wpadł na nią rozbrykany cielak.

Przewrócił ją, ale to się zdarza. Nie każdemu jednak się zdarza wylądować na brzuchu w obrzydliwym płynie odkażającym. Zbryzgał włosy, dostał się do ust i oczu. Podniosła się na klęczki i ogarnięta dziką furią walnęła rękami w śmierdzącą ciecz, co niestety tylko

pogorszyło sytuację.

Red dowiedział, że ma rewelacyjne poczucie humoru, jako że po prostu wył ze śmiechu.

- Przestań rzeć! - wrzasnęła.

- Czyżbyśmy odkażali również ludzi? - odezwał się Mallory.

- A tak! - jeszcze głośniej wrzasnęła Morie, bo już nie zwykła furia ją napędzała, ale całe ich stado. I oczywiście znów walnęła dłonią w płyn, opryskując twarz i nieskazitelnie białą koszulę Mallory'ego.

I nagle się opamiętała. Nie wygląda to dobrze, pomyślała, sponiewierałam szefa. Czyli wylatuję z roboty. I jak niepyszna muszę wracać do domu...

Mallory otarł twarz chusteczką i obrzucił Morie długim, wymownym spojrzeniem.

- Oto dlaczego moje koszule tak krótko pozostają białe - skomentował, spoglądając cierpko na Reda, który nadal zwijał się ze śmiechu. - Już się boję, co powie Mavie, kiedy będzie musiała usunąć te plamy. A wszystko przez ciebie. - Oskarżycielsko wskazał Morie. - Na ciebie ceduję wszelkie wyjaśnienia, gdy zaczniesz ciskać talerzami, miskami, nożami czy co tam wpadnie jej w ręce!

Mavie była gospodynią na ranchu i miała krewkie usposobienie, toteż wszyscy się jej bali.

- Nie zwolni mnie pan? - spytała Morie bardzo nieśmiało, co raczej nie leżało w jej charakterze.

Wydał zmysłowe wargi, a w jego czarnych oczach coś zamigotało.

- W dzisiejszych czasach mało kto zgadza się pławić bydło w tym paskudztwie - odparł rozbawiony. - Już wolę się wykąpać, niż szukać kogoś na twoje miejsce.

Morie wytarła nos chusteczką, ale niewiele to pomogło, bo smród był wszechobecny, dlatego skomentowała w przyływie czarnego humoru:

- Przynajmniej jest z tego jakaś korzyść. Wszystkie komary puciekały.

- Akurat! - zaoponował Red. - Uwielbiają ten fetorek. Rozejrzyj się tylko... Gdzie pan idzie, szefie?

Mallory nie odpowiedział, tylko zachichotał i tyle go widzieli.

Morie westchnęła z ulgą i dokładnie wytarła twarz.

- A to niespodzianka - mruknęła. - Byłam pewna, że mnie wyleje.

- Co ty, szef to równy gość. Pewnego razu Cane wdał się z nim w bójkę z powodu kobiety, która natrętnie do niego wydzwaniała. Szef dla żartu przełączył rozmowę na siebie. Cane się wściekł i wrzucił go głową naprzód do koryta z wodą.

- Dobry Boże!



- Szef był zszokowany, lecz nie zrobił z tego afery. Cane po raz pierwszy od powrotu z wojska tak się zachował, jak prawdziwy facet. Dotąd uważał, że brak ręki spowalnia go i ogranicza sprawność. Ale można powiedzieć, że wreszcie przystosował się do kalectwa. Szef to nie ułomek, a jednak przerzucił go przez ramię i cisnął do koryta.

- O rany!

- Musisz coś wiedzieć. - Red spoważniał. - Każdy z braci Kirków ma swoje problemy, ale to przyzwoici, uczciwi i ciężko pracujący ludzie. Zrobilibyśmy dla nich wszystko, a przede wszystkim nikt się nie obija. A oni troszczą się o nas i wybaczą różne wpadki. - Skrzywił się. - Gdyby było inaczej, już dawno by mnie wylali.

- Popełniłeś jakąś pomyłkę w pracy, tak? A może ochlapałeś szefa pestycydami?

- Nie, zrobiłem coś o wiele gorszego. A skończyło się tylko na tym, że przesiedziałem trochę w areszcie i usłyszałem kazanie od szefa. - Uśmiechnął się. - To mój najpoważniejszy wyskok w ciągu ostatnich lat.

- Większość ludzi co jakiś czas pakuje się w kłopoty - powiedziała sentencjonalnie.

- To prawda. Jedyne, za co cię tu wyleją, to kradzież. Nie wiem, dlaczego szef inne występki bagatelizuje, a do tego przywiązuje tak wielką wagę, ale w zeszłym roku zwolnił faceta za to, że buchnął wiertarkę. Powiedział, że dla złodziei nie ma tu miejsca. Cane omal nie pobił tego gościa. - Potrząsnął głową. - Pod pewnymi względami Kirkowie to dziwni ludzie.

- Może chodzi o jakieś dawniejsze przeżycia?

- Możliwe. - Zniżył głos. - Ta dziewczyna, Gelly, z którą szef się spotyka, wygląda podejrzanie. Kiedy sprowadziła się w te strony z ojcem, krążyły różne plotki o tym, w jaki sposób stali się właścicielami dawnej posiadłości Barnes'a, gdzie zamieszkali. - Skrzywił się. - To ślicznotka, nie przeczę, ale moim zdaniem szef głupio robi, że się z nią zadaje. Dziwna rzecz z tym zaginięciem wiertarki. - Zadumał się na moment. - Nie lubiła tego kowboja, ponieważ jej pyskował. Była w baraku pracowników tuż przedtem, zanim szef znalazł wiertarkę w torbie tego faceta, a on przysięgał, że jest niewinny. Jednak nic mu to nie dało, natychmiast został zwolniony.

Przez plecy Morie przebiegł zimny dreszcz. Tylko raz widziała przyjaciółkę Mallory'ego, ale to wystarczyło, by zyskała pewność, że ta kobieta jest fałszywa i jedynie udaje wyrafinowaną. Większość mężczyzn nie orientuje się w bieżącej modzie obowiązującej w wyższych kręgach towarzyskich, lecz Morie dobrze się na tym znała i od pierwszego spojrzenia poznała, że Gelly Bruner nosi stroje w zeszłorocznych kolorach i stylu. Morie oglądała pokazy Tygodnia Mody, w domu prenumerowała kilka angielskich i francuskich

żurnali, a jej garderoba odzwierciedlała najnowsze trendy. Shelby w młodości była topową modelką i zna wielu sławnych projektantów mody, którzy chętnie ubierają także jej córkę.

Oczywiście Morie na ranchu Kirków nie zdradziła swojej wiedzy o modzie, bo to dałoby innym wiele do myślenia, a chciała żyć jak zwykła, niezależna, pracująca młoda kobieta.

- Chodziłaś do college'u, prawda? - Red uśmiechnął się, widząc jej zaskoczenie. - Pamiętaj, że na ranchu nie mamy żadnych sekretów. Jesteśmy jedną wielką rodziną i wiemy o sobie wszystko.

- Tak, niedawno ukończyłam college - przyznała, bo nic innego jej nie pozostało. Zresztą wyjawiała to już szefowi.

- Mieszkałaś w koedukacyjnym akademiku? Faceci i dziewczyny razem na kupie? - spytał wyraźnie zaciekawiony.

- Nie. Rodzice wychowali mnie według surowych zasad. Pewnie uznasz, że jestem staroświecka, ale mieszkałam z przyjaciółką w wynajętym lokalu poza kampusem.

- Prawdziwy dinozaur z ciebie! - zawołał zdziwiony, lecz w jego oczach błysnęła wyraźna aprobata.

- Zgadza się, powinni mnie trzymać w ogrodzie zoologicznym - zakpiła, po czym dodała już z powagą. - Nie ze wszystkim pasuję do współczesnego społeczeństwa. Dlatego znalazłam się tutaj.

- Rozumiem... Nie ty jedna jesteś w Rancho Real z tego powodu. Wielu z nas ucieka przed tak zwaną nowoczesną cywilizacją. - Pochylił się ku niej. - Uwielbiam to miejsce.

- Ja również.

Spojrzał na niebo i powiedział:

- Morie, pośpieszmy się z robotą. Popatrz na te chmury. Znowu zapowiadano deszcz. - Zasepił się. - Gdy dodać topniejące śniegi, pozostaje nam się tylko modlić, by ominęła nas powódź.

- Albo kolejne śnieżyce. - Wiedziała już, że pogody w Wyomingu nie da się przewidzieć. Na przykład całkiem niedawno zasy śnieżne uniemożliwiły wielu ranczerom dotarcie do bydła, w efekcie czego agencje rządowe w trybie ratunkowym musiały zorganizować lotnicze zrzuty paszy dla głodujących zwierząt.

Obecnie problem stanowił topniejący śnieg, a także, z uwagi na nietypowo wysoką temperaturę, plaga komarów i innych szkodników zagrażających zdrowiu bydła.

- Pochodzisz z Południa, prawda? - zapytał Red. - Skąd dokładnie?

- Coś taki ciekaw? - Wydeła wargi. - Okej, z Południa, ale skąd dokładnie, tego ci nie

powiem.

- Z Teksasu. - Gdy spojrzała na niego zaskoczona, wyjaśnił rozbawiony: - Szeff ma w komputerze kopię twojego prawa jazdy, to sobie ją obejrzałem, jak włamałem mu się do komputera.

- Red! - zawołała oburzona.

- No co? Przynajmniej już nie włamuję się do systemu CIA. A uwielbiałem to robić, zanim wpadłem!

- To... to okropne!

- Każdy ma jakieś hobby. - Wzruszył ramionami. - Na szczęście nie przymknęli mnie na długo. Dasz wiarę, że nawet mi zaproponowali pracę w oddziale do zwalczania cyberprzestępczości? Może kiedyś przyjmę ich ofertę. Ale jak na razie wolę pracować fizycznie na ranchu.

- Red, jesteś zadziwiającym człowiekiem!

- Niewiele jeszcze o mnie wiesz, panienko Morie - rzucił kpiąco. - No, wracajmy do roboty.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Małe miasteczko CateLOW w pobliżu rancza Kirków wzięło nazwę od osadnika, który na początku dziewiętnastego wieku ze względu na stan zdrowia przeniósł się z rodziną na zachód. Wraz z kilkoma zaprzyjaźnionymi kupcami uzyskał zgodę na doprowadzenie do jego rancza linii kolejowej, by mógł przewozić bydło na Wschodnie Wybrzeże. Do dziś mieszkali tu jego potomkowie, jednak coraz więcej młodych ludzi po ukończeniu college'u opuszczało stan i wyjeżdżało do dużych miast w poszukiwaniu lepiej płatnej i wymagającej wyższych kwalifikacji pracy.

CateLOW miało jednak rzutkiego administratora zatrudnionego przez radę miejską, który rozruszał niemrawy dotąd zarząd miasta. Posiadało też wszelkie niezbędne udogodnienia: sprawną policję, straż pożarną, egzotyczne restauracje, kilka kościołów protestanckich i jeden katolicki oraz sąsiadujące ze sobą duży sklep z paszą i jeszcze większy magazyn z artykułami żelaznymi.

Znajdowało się tam również przedstawicielstwo firmy handlującej ciągnikami rolniczymi. Morie od dzieciństwa fascynowały te wielkie maszyny i zawsze towarzyszyła ojcu, gdy je kupował. Kiedyś, w okresie jej nauki w college'u, tata w prezencie urodzinowym wynajął koparkę firmy Caterpillar i polecił operatorowi, by nauczył Morie ją obsługiwać. Poprosiła Corta, by uwiecznił to kamerą filmową. Kochany braciszek, a mówiąc bez ogródek, zwykły drań, nie wyciął sceny, gdy wjechała ciężkim pojazdem do rowu i ugrzęzła w błocie. Cort miał złośliwe poczucie humoru, podobnie jak młodszy brat ojca, Danny, sędzia sądu okręgowego. Przed laty zakochał się w rudowłosej Edie Jackson, swojej sekretarce, która porzuciła pracę, by z podwładnej sędziego przemienić się w jego żonę. Stworzyli szczęśliwy związek, mają dwóch synów.

Otrząsnęła się z tych wspomnień i znów ruszyła wzdłuż rzędu ciągników. Westchnęła z podziwu, gdy popatrzyła na wielki zielony traktor. Kosztować musiał naprawdę sporo, ale należał do najnowszej generacji, więc naszpikowano go elektroniką. Pewnie tylko gotować nie potrafi, pomyślała.

- Tak spędzasz wolny dzień? Gapisz się na traktory?

Odwróciła się zaskoczona na tę zjadliwie drwiącą zaczepkę i ujrzała Gelly Bruner uwieszoną ramienia Mallory'ego.

- Lubię traktory. - Zmierzyła gniewnym wzrokiem farbowaną blondynkę, bo z pewnością nie był to naturalny kolor. Gelly luźno rozpuściła włosy, spięła je tylko z tyłu

spinkami z drogimi kamieniami. Miała na sobie obcisłą jedwabną sukienkę, sweter i pantofle na wysokich wąskich obcasach, choć był dopiero początek maja i zdarzały się naprawdę chłodne dni. - Coś w tym złego?

- To niezbyt kobiece zainteresowanie, nieprawdaż? - Gelly obróciła się tak, by zademonstrować smukłe kształty. Przysunęła się jeszcze bliżej do Mallory'ego i uśmiechnęła się do niego promiennie. - Raczej bym wolała poszperać w sklepie Victoria's Secret z luksusową damską bielizną.

- No jasne, wyobrażam sobie, jak oporzędzam bydło ubrana w kusą haleczkę na ramiączkach - rzuciła ironicznie Morie.

- A ja jakoś nie mogę sobie wyobrazić ciebie w żadnym kobiecym stroju - zripostowała Gelly z nieprzyjemnym uśmiechem. - Nie jesteś zbyt seksowna.

Morie doskonale pamiętała, jak przyciągała męskie spojrzenia ubrana w elegancką perłową suknię od sławnego francuskiego projektanta mody. Nie zamierzała jednak dyskutować z Gelly, nie miało to bowiem sensu. Użyła innego języka, mianowicie spojrzała na nią w taki sposób, że Gelly poczuła się wdeptana w ziemię z całą swoją sztywną sukienką i diamentami. Oczywiście doprowadziło ją to do furii, na co Morie uśmiechnęła się leciutko. Gelly miała mord w oczach.

Tylko kobiety potrafią tak rozmawiać.

- Nie cierpię traktorów, a tu na dworze jest zimno. - Gelly pociągnęła Mallory'ego za ramię. - Możemy napić się cappuccino w tym nowym barku obok kwaciarni?

- Czemu nie? - Popatrzył na Morie. - Chcesz pojechać z nami?

Ta propozycja zaskoczyła ją, ale też sprawiła przyjemność. Szef zaprasza pracownicę na kawę? Ale po co? By jeszcze bardziej rozwścieczyć Gelly, która aż poczerwieniała z gniewu? Oczywiście nie zdawał sobie z tego sprawy, była tego pewna.

Tylko faceci potrafią być tacy ślepi i głusi.

- Dziękuję, ale chciałabym obejrzeć maszyny rolnicze - odparła.

Gelly się odprężyła, natomiast Mallory wyraźnie czuł się skonsternowany.

- Morie, ja stawiam - powiedział.

Nie tyle sama propozycja, co ton głosu ją uraził. Mallory był przekonany, że nie stać jej na drogą kawę, więc sam się na nią szarpnie! Pomyślała, jak by się czuła, gdyby nie udawała, ale naprawdę była biedną robotnicą, której nie stać na żadne frykasy. Po prostu okropnie! A może jestem przewrażliwiona? - mitygowała się w duchu. Mallory zwykle jest zdystansowany i chłodny, ale nie ma wielkopańskich manier, przez co nawet przyjazne gesty wydają się pełne pogardy.

Nagle dziwnie poczuła się w swoim przebraniu. Grała robotnicę, ale tak naprawdę należeli z Mallorym do tej samej sfery społecznej. Oby ta mistyfikacja nigdy nie wyszła na jaw. Mało prawdopodobne, by skojarzył ubogą Morie Brannt ze słynnym ranczerem Kingiem Branntem, choć oczywiście mógł poznać jej ojca. Mallory hodował bydło Santa Gertrudis, a tata miał wysoko cenione byki rozplodowe tej rasy.

- Dzięki, ale może innym razem - zakończyła sprawę.

- Trudno. - Posłał jej dziwny uśmiech. - A zatem baw się dobrze.

- Dziękuję.

Odeszli, lecz nie na tyle szybko, by Morie nie usłyszała, jak Gelly mruknęła uszczypliwym tonem:

- To miłe, że zaproponowałaś cappuccino zwykłej robotnicy. Założę się, że panna Traktor nawet nie wie, co to takiego.

Morie, jak łatwo się domyślić, poprzysięgła jej srogi rewanż, co bardzo ją uspokoiło. Następnie, jak na pannę Traktor przystało, z zainteresowaniem znów zaczęła oglądać rolnicze maszyny.

Po jakimś czasie przed budynek biurowy zajechał z rykiem silnika czerwony sportowy samochód i zahamował gwałtownie. Trzasnęły drzwiczki, a po chwili do Morie podszedł sympatyczny wysoki mężczyzna o jasnokasztanowych włosach i czarnych oczach. Miał na sobie garnitur. W tym wiejskim regionie nie ubiera się tak nikt oprócz bankierów.

- Zamierza pani kupić któryś z tych ciągników? - spytał z uśmiechem.

- Nie, nie! - Też się uśmiechnęła. - Takie decyzje należą do szefa. Nie jestem ranczerką, tylko pracuję na ranczu. I bardzo lubię ciężkie maszyny.

- Naprawdę?

- Wiem, powinnam lubić fatalaszki, błyskotki i pastelowe pejzaże...

- A lubi pani?

- Owszem. Prawie tak samo jak traktory.

- Świetnie to rozumiem. - Roześmiał się ciepło. - Mama często powtarzała, że wyszła za mojego tatę, bo miał mnóstwo koparek i spychaczy. Uwielbiała je prowadzić.

- Niesamowite! Choć czemu ja się dziwię? Jestem taka sama.

- To wszystko należy do mojego ojca. - Wskazał wokół szerokim gestem. - Natomiast ja zajmuję się sprzedażą i marketingiem. - Spochmurniał na moment. - Wolałbym pracować w reklamie, ale tata nie ma nikogo innego do pomocy. Jestem jedynakiem.

- Narzeka pan, ale przecież nie jest to zła praca, prawda?

- Oczywiście. Wielu mogłoby mi pozazdrościć. - Wyciągnął wypielęgowaną dłoń. -

Jestem Clark Edmondson.

- Morie Brannt. - Uścisnęła mu rękę.

- Bardzo mi miło, panno... pani...?

- Panno - odrzekła ze śmiechem. - Nie ma żadnego pana Brannta.

- Cóż za zbieg okoliczności. Bo nie ma żadnej pani Edmondson! - Uśmiechnął się promiennie. - Proszę się przyznać, naprawdę tylko ogląda pani maszyny? A może przeprowadza pani rekonesans dla szefa?

- Szef sam zajmuje się takimi sprawami. Pracuję u Mallory'ego Kirka na Rancho Real.

- Ach, u niego - mruknął Edmondson bez szczególnego entuzjazmu.

- Zna go pan?

- Owszem, znam. Parę razy pokłóciliśmy się o naprawy sprzętu. Dawniej kupował u nas, ale teraz zaopatruje się u przedstawiciela handlowego w Casper. - Wzruszył ramionami. - Ale to stare dzieje. Zatrudnia wielu ludzi, a nie ma nawet dużej spulchniarki do ziemi. Mówi się, że dobrze traktuje pracowników, za to wiem doskonale, że bywa okropny w kontaktach ze sprzedawcami.

- Jakoś mnie to nie dziwi - skomentowała rozbawiona. Mallory mówi bez ogródek i bywa ostry, co może prowokować konflikty. Ale nie wdaje się w spory bez powodu...

Nie miała jednak czasu, by dłużej się nad tym zastanawiać, bo Edmondson, który przyglądał się jej uważnie, spytał:

- Wybacz, że zapytam wprost, ale to wiele ułatwi...

- Tak?

- Spotykasz się z kimś?

- Tak jakby...

- Hm... tak jakby? - Uśmiechnął się uroczo.

- To znaczy... ostatnio nie.

- Lubisz filmy?

- Zależy jakie.

- Na przykład horrory.

- Podoba mi się ta sławna trylogia o wampirach - oświadczyła, a gdy się skrzywił, dodała: - Lubię też nowe animacje, serię z Harrym Potterem, filmy z cyklu Narnii oraz wszystko, co ma związek z serialem „Star Trek” i „Gwiezdnymi wojnami”.

- No, no!

- A ty?

- Nie przepadam za science fiction, ale nie widziałem nowego filmu o wilkołakach.

Może byśmy wybrali się na niego? Tutejsze kino jest całkiem przyzwoite, choć nie ma tak nowoczesnego wyposażenia jak multikina. W pobliżu jest otwarta do późna chińska restauracja. To jak, zgadzasz się?

Morie zawahała się. Wprawdzie Clark Edmondson wyglądał na miłego faceta, jednak Mallory, który, jak wyczuła, jest dobrym znawcą charakterów, przestał robić z nim interesy. To dało jej do myślenia.

- Zazwyczaj jestem niegroźny - dodał. - Zdrowie mi dopisuje, klnę jedynie wtedy, gdy zostanę sprowokowany, noszę buty o rozmiarze dwanaście i wlepiono mi tylko pięć mandatów za przekroczenie prędkości. Och, i znam norweski.

- No, wreszcie mnie zainteresowałeś - odparła z uśmiechem. - Ale dlaczego norweski? Wśród przodków masz wikinga?

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł rozbawiony. - Po prostu ten język mi się przyda, jeśli kiedyś wybiorę się do Norwegii. Właściwie to muszę tam pojechać, bo tak naprawdę tylko Bóg jeden wie, po co mi ta cała nauka. No, po prostu chciałem, choć bardziej sensowny byłby hiszpański, francuski czy nawet niemiecki.

- Myślę, że powinniśmy się uczyć tego, czego chcemy.

- Racja. A zatem co z tym kinem?

Zerknęła na zegarek.

- Muszę pomagać przy cieleniu się krów, więc przez resztę weekendu będę zajęta. Właściwie już powinnam wrócić do pracy. Mam wolne tylko pół dnia w soboty.

- Psiakrew, szkoda! Więc może wieczorem w przyszły piątek, jeśli pozwolą ci na to obowiązki?

- Zapytam szefa. - Gdy spojrzał na nią ze zdziwieniem, wyjaśniła: - Muszę. Dopiero niedawno dostałam tę pracę i nie chcę jej stracić z powodu samowolnej nieobecności.

- Hej, naprawdę pracujesz na ranczu? Bo mówisz tak, jakbyś służyła w wojsku.

- Owszem, na tym ranczu trochę tak to wygląda.

- Wiem, że wszyscy bracia Kirkowie brali udział w zagranicznych misjach wojennych. Dwaj nie wyszli na tym zbyt dobrze, natomiast Mallory'ego trudno złamać.

- Zauważyłam. - Nie wiedziała, że Mallory był w wojsku, ale to tłumaczyło jego stanowczą postawę i posłuch wśród podwładnych. Najpewniej był oficerem. Spostrzegła, że Clark wpatruje się w nią wyczekująco, więc odpowiedziała: - Jeśli dostanę wolne, chętnie zobaczę ten film.

- Świetnie! - ucieszył się.

- Już zapomniałam, jak się chodzi na randki - wyznała z westchnieniem. - Będę



musiała przyjść w dżinsach i bluzce. Kiedy zatrudniłam się na ranczu, nie przywiozłam ze sobą żadnej sukienki czy choćby spódnicy. Cała garderoba została u rodziców.

- Pewnie zwróciłaś uwagę na mój garnitur. Wkładam ze względu na klientów, ale gdy nie jestem w pracy, ubieram się całkiem zwyczajnie. Spodnie, T-shirt albo koszula. Będzie pasowało do twoich dżinsów. Nie wybieramy się na bal, Kopciuszkę - dodał z błyskiem w oczach. - I żaden ze mnie księżę.

- Czasy się zmieniły, teraz ta bajka ma inną treść. Kopciuszek jest prezeską korporacji i ratuje ubogiego robotnika portowego przed złymi przyrodnymi braćmi - powiedziała ze sztuczną powagą.

- Boże uchoj! - wykrzyknął. - Czy kobiety nie chcą już być kobietami?

- Najwidoczniej nie, sądząc z tego, co widzi się w kinach i telewizji. - Spojrzała z westchnieniem na swój roboczy ubiór. - W dzisiejszych czasach musimy same zarabiać na życie, a tylko takie zajęcia są dla nas dostępne. Nie ma zbyt wielu dobrze płatnych posad dla kobiet, które potrafią tylko przesiadywać w salonach i popijać herbatkę, ubrane w koronkowe suknie i wytworne pantofelki - powiedziała z kpiącym błyskiem w oczach.

- Czy to, co powiedziałem, zabrzmiało ironicznie? Nie miałem takich intencji. Cenię feministki, ale na zapaśniczki lubię patrzeć tylko wtedy, gdy walczą w błocie.

- Seksista! - zrugła go ze śmiechem.

- Nieprawda. Morie, chętnie bym też obejrzał tak walczących facetów. Po prostu lubię walki w błocie.

Przypomniała sobie, jak upaprała się błotem i pestycydami, skomentowała więc kwaśno:

- Przestałbyś je lubić, gdybyś musiał przeprowadzać przez błoto krowy.

- Okej, nic nie wiem o pracy na ranczu - rzucił bez troski. - Morie, poproś szefa o wolny wieczór w piątek i wybierzemy się na ten film o wilkołakach.

- Nie będzie zbyt krwawy? - spytała z wahaniem.

- Zawsze możemy pójść na animowany western, w którym Johnny Depp dubbinguje kameleona.

Zaśmiała się. Clark był sympatyczny, przystojny i obdarzony poczuciem humoru. A ona od wielu miesięcy z nikim się nie spotykała, dlatego odparła:

- Więc dobrze. Lubię Johnny'ego Deppa, nawet jeśli to będzie tylko jego głos.

A zatem jesteśmy umówieni.

- Owszem. - Odwzajemnił jej uśmiech.

W okresie cielenia się krów na ranczu było mnóstwo roboty, więc mało kto był

wyspany. Szczególnie pieczołowicie doglądano jałówek, które cielily się po raz pierwszy. Była też jedna stara krowa, która zawsze kryła się w zaroślach, by tam urodzić. Nikt nie wiedział, dlaczego tak robiła. Morie nazwała ją Bessy i miała na nią oko.

- Nie chodź bez przerwy za tą swoją Bessy, bo zaniedbujesz inne - pouczył ją Darby. - Gdziekolwiek się schowa, znajdziemy ją.

- Wiem, ale jest stara, a znowu zapowiadają opady śniegu - odparła zatroskana Morie.  
- Jeśli utknie gdzieś w zaspie? Gdyby znów dopadła nas śnieżna burza, możemy jej nie odszukać. Ciężko przejechać konno przez śnieg sięgający wyżej głowy.

- Rozumiem twój niepokój, ale musisz wziąć pod uwagę, że to wielkie rancho, mamy setki cielnych krów, w tym dużo jałówek, które pierwszy raz są cielne. Cielaki to wielki zysk, a przy recesji nie możemy sobie pozwolić na straty.

- Przecież wiem. - Ojciec z powodu wzrostu cen ziarna na paszę musiał ograniczyć hodowlę cielnych krów, zapoczątkowaną przez jego ojca, nieżyjącego już Jima Brannta, i w zamian skupił się na hodowli rasowych byków.

- Cholera, jak zimno - mruknął Darby, zakończywszy oględziny jednego z byków rozplodowych.

- Owszem. - Otuliła się ciasniej dzinsową kurtką i zapięła ją. W domu miała świetne ciepłe ubrania, ale przywiozła tutaj tylko najstarsze, by nie wzbudzić podejrzeń.

- Morie, lepiej weź konia i sprawdź ogrodzenie rancha.

- Już ruszam. Oczywiście w towarzystwie iPoda. - Wyjęła go z kieszeni. - To cała fonoteka. Nie mogę żyć bez muzyki.

- Jakiej słuchasz?

- No wiesz, country, muzyka filmowa, blues, jazz, wielcy klasycy baroku...

- Czyli w zasadzie każdej.

- To prawda. Lubię też muzykę etniczną. Fajnie jest słuchać zagranicznych piosenkarzy, nawet jeśli nie rozumiem, o czym śpiewają.

- Ja jestem prosty facet i lubię Johna Denvera. - Widząc, że to nazwisko nic jej nie mówi, wyjaśnił: - Był piosenkarzem folkowym w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Nagrał piosenkę „Calypso” o tym statku, którym Jacques Cousteau pływał po całym świecie i badał życie w morzach i oceanach. Psiakrew, wydałem majątek, puszczając ją w szafach grających. Ale pewnie nawet nie wiesz, co to takiego.

- Owszem, wiem. Nie widziałam żadnej szafy grającej, ale mama mi o nich opowiedziała.

- Jak ten świat się zmienił od czasu, kiedy byłem małym chłopcem. - Westchnął. - Coś

tam na lepsze, przyznaję, ale per saldo na gorsze, i to bardzo.

- Mogę tyle powiedzieć, uwielbiam mojego iPod'a. Muzyka, filmy, internet, wszystko to mam, gdy tylko jestem w zasięgu Wi-Fi. - Podłączyła słuchawki. - Do zobaczenia później.

- Masz strzelbę lub rewolwer?

- Żartujesz?! - Jednak w oczach Darby'ego była powaga. - Nie zamierzam polować na wilki. Prawo na to nie pozwala.

- Zabrania prawie wszystkiego, co dotyczy ranczerów - mruknął. - Ale nie o wilki mi chodzi, tylko o znacznie groźniejszego drapieżnika. Dzwonili z biura szeryfa, że w okolicy pojawił się zbiegły więzień, groźny morderca.

- Myślisz, że może dostać się na teren rancza? - spytała wystraszona i zaraz sobie odpowiedziała: - Co za problem...

- No właśnie, co za problem sforsować ogrodzenie. To zwykły płot, nic więcej. Poczekaj chwilę. - Darby wszedł do baraku mieszkalnego i po chwili wrócił z małym rewolwerem w skórzanej kaburze. - To smith&wesson, kaliber 32. Weź go, Morie. - Gdy się zawahała, dodał: - Nie musisz zabijać tego faceta. Wystarczy, że go odstraszysz, strzelając obok, i uciekniesz. Umiesz posługiwać się bronią?

- Ojciec nauczył mnie i brata strzelania ze wszystkiego, od rurki dmuchawki z ziarnami grochu, do wszystkich czterech kalibrów śrutówek.

- To dobrze. Włóż broń do torby przy siodle. Będę o ciebie spokojniejszy.

- Dzięki. Jest pan bardzo miły - rzekła z uśmiechem.

- Raczej leniwy - burknął. - Harujesz jak wół, a gdybym cię stracił, spadłoby na mnie.

Pokazała mu język, wskoczyła na kasztanka i odjechała.

Rozległy teren rancza był piękny. W oddali widziała wyniosłe szczyty łańcucha górskiego Teton, rysujące się niczym iglice na tle szarego pochmurnego nieba. Jodły wciąż pyszniły się głęboką zielenią pomimo ostatnich rozpaczliwych ataków odchodzącej zimy. Pora roku była jeszcze zbyt wczesna, by zaczęła kiełkować delikatniejsza roślinność, ale wiosna zbliżała się szybkimi krokami.

Większość ranczerów stara się, by ich krowy cielili się wczesną wiosną, gdy wyrastają trawy i zboża. Bujna świeża pasza jest bardzo wskazana dla krów, które opiekują się potomstwem, a także dla odstawionych od wymion cielaków. Oby tylko w tym okresie dopisały opady, dzięki czemu trawa jest zielona, soczysta i smaczna.

Podobała jej się dbałość braci Kirków o ekologię, o środowisko. Wybudowali wiatraki pompujące wodę do zbiorników dla bydła. Uprawiali naturalne gatunki traw i dbali o to, by nie przeciążyć gleby nadmierną eksploatacją. Stosowali płodozmian zbóż, aby zachować

ziemię świeżą i urodzajną, i używali nawozów naturalnych. Wykorzystywali odchody bydła również do produkcji metanu dostarczającego energię elektryczną do obór dla cielaków i do innych budynków gospodarczych. Wyposażone w nowoczesną technologię rancho było fascynującym miejscem. Gdy bracia je przejęli, było bliskie ostatecznego upadku, jednak dzięki ciężkiej pracy, fachowości i inteligencji najpierw uratowali je przed bankructwem, a później rozbudowali i doprowadzili do rozkwitu. Nie zbili jeszcze fortuny, ale stworzyli ku temu solidne podstawy i już należeli do ludzi zamożnych, którzy w powszechnej opinii na hodowli bydła dorobią się milionów. Byli bystrzy, obrotni, pracowici i oddani rancho, a o Mallorym, który był szefem rodzinnego biznesu, mówiono, że jest geniuszem finansowym.

Morie zauważyła, że Cane nie pije już jakiś czas. Darby wyjaśnił, że wybiera się na pokaz bydła z nagradzanymi bykami rozplodowymi wyhodowanymi w Rancho Real, więc chciał być w dobrej formie. Cane trochę ją przerażał, lecz miał żywe, błyskotliwe usposobienie i potrafił oczarować kupców.

Dalton, którego nazywano Tankiem, był specjalistą od marketingu. Przygotowywał broszury reklamowe, podróżował na konferencje i zjazdy hodowców, uczestniczył w zebraniach komitetów wyborczych przed wyborami do władz stowarzyszenia ranczerów na szczeblu okręgowym, stanowym, a nawet krajowym, a także zajmował się propagowaniem nagradzanego bydła z Rancho Real. Pracował niestrudzenie, ale sprawiał wrażenie człowieka znękanego i udręczonego.

Mallory kierował ranchem i podejmował najważniejsze decyzje, choć oczywiście nie ignorował opinii Cane'a i Daltona. Był liderem tego trio, jednak wszyscy bracia Kirkowie odznaczeni się pewnością siebie i nie znosili sprzeciwu. Darby twierdził, że odziedziczyli te cechy po rodzicach.

Morie świetnie to rozumiała, przecież jej ojciec miał równie apodyktyczny charakter. Natomiast matka była łagodna i urocza, chociaż zdarzało jej się wpadać w złość. Życie w rodzinnym domu zawsze wydawało się Morie interesujące, tyle że ostatnio stała się obiektem zakusów chciwych łowców posagu. Wierzyła jednak, że w końcu spotka mężczyznę, który pokocha ją szczerze ze względu na nią samą, nie zaś zapala miłością do majątku jej rodziców.

Jechała konno wzdłuż ogrodzenia, wypatrując uszkodzeń, co było jednym z uciążliwych obowiązków na rancho, jednak zaniedbania w tym względzie bywały katastrofalne w skutkach. Przez wyrwę w płocie bydło może wydostać się na tereny publiczne i narobić szkód, ale największym zagrożeniem było, gdy wychodziło na dwupasmową

autostradę stanową. Wypadek spowodowany przez krowę naraziłby jej właściciela, w tym przypadku braci Kirków, na rujnujący proces sądowy.

Niedawno Darby w rozmowie z Morie ostro wypowiedział się o zwyczaju wytaczania procesów pod byle pretekstem, co bardzo się nasiliło w ostatnich latach. Powiedział, że za jego czasów od adwokatów wymagano przestrzegania wyższych standardów zawodowych, nie zezwalano nawet na to, by reklamowali swoje usługi. W latach młodości żaden z jego znajomych nie pozwał kogokolwiek do sądu, jednak obecnie ludzie procesują się o byle głupstwo. Nie darzył zbytnim szacunkiem dzisiejszych adwokatów, lecz Morie stanęła w obronie tej profesji. Jej stryj, nim został sędzią sądu okręgowego, przez wiele lat prowadził praktykę adwokacką. Był nieskazitelnie uczciwy i pomagał ludziom niesłusznie oskarżonym, których nie stać było na adwokata, na co Darby po namyśle powiedział:

- No cóż, być może mamy kilku uczciwych prawników, ale to nie zmienia faktu, że pochopne pozwy sądowe z pewnością doprowadzą do upadku amerykańskiej cywilizacji.

Morie uśmiechnęła się na tak radykalną opinię, po czym wytoczyła mocne kontrargumenty. Ostatecznie uznali, że o wspólnym stanowisku nie ma mowy, więc każde pozostanie przy swoim zdaniu, przy czym oczywiście nadal będą nawzajem lubić się i szanować, jako że oboje wyznawali zasadę tolerancji. Przecież to ona sprawiała, że życie stawało się znośne, choć ludzie wyznawali skrajnie różne poglądy.

Zatrzymała się przy potoku na tyle długo, by wałach mógł ugasić pragnienie. Włożyła słuchawki i zasłuchała się w muzykę Marka Manciny do filmu „Cudowne dziecko”. Było tam solo na organach, które przyprawiało ją o rozkoszne ciarki. Podobne wrażenia wywoływała w niej zawsze organowa toccata i fuga d-moll Bacha. Muzyka zajmowała w jej życiu ważne miejsce. Morie od dziecka uczyła się grać na fortepianie, poznała głównie repertuar klasyczny, również w college’u nie zaniechała muzyki, ćwiczyła regularnie. W salonie Kirków widziała koncertowy fortepian, lecz nie wiedziała, który z braci na nim gra, i dotąd o to nie spytała.

Wstrzymała konia w miejscu, gdzie podczas niedawnej burzy śnieżnej zwałił się na ogrodzenie konar drzewa. Śnieg już stopniał, lecz gałąź nadal opierała się o płot, przyginając go tak, że krowy mogłyby wyjść poza teren rancza. Gruby konar wyglądał na ciężki, ale Morie była silna. Zsiadła z konia, zapięła kieszeń kurtki, żeby nie wypadł iPod, i podeszła do płotu.

Kiedy odłamywała od konara mniejsze gałęzie, by łatwiej mogła go dźwignąć, jedna z nich drasnęła ją w policzek. Morie mruknęła niezadowolona, gdy dotknęła skaleczenia i zobaczyła na palcach krew. Cóż, zagoi się, pomyślała.

Krzywiąc się z wysiłku, zepchnęła konar na ziemię. Na szczęście płot nie został uszkodzony, tylko trochę się przechylił. Wyprostowała go, na ile zdołała, następnie wprowadziła notkę do iPoda, aby poinformować braci Kirków o dokładnej lokalizacji tego miejsca, określonej za pomocą urządzenia GPS, które zawsze nosiła przy sobie. Pomyślała, że bracia, choć dopiero są na dorobku, nie żałują pieniędzy na wyposażenie techniczne. Na przykład mieli najlepsze, a więc bardzo drogie laptopy, dzięki którym koordynowali prace na ranczu.

Znieruchomiała, zamknęła oczy i napawała się powolnym crescendo muzyki filmowej. Jak cudownie musi się czuć kompozytor, który potrafi pisać utwory poruszające serca i dusze słuchaczy. Była muzykalna, ale nie miała talentu kompozytorskiego. Umiała jedynie interpretować muzykę stworzoną przez innych, kiedy grała na fortepianie lub na gitarze.

- Zraniłaś się? - ktoś spytał głębokim, przeciągłym głosem.

Wystraszona odwróciła się błyskawicznie i jeszcze bardziej się przeraziła, gdy ujrzała nieznanego mężczyznę stojącego zaledwie metr od niej. Wyglądała niczym spłoszona łania, do której myśliwy mierzy ze strzelby.

Mężczyzna był wysoki i szczupły, miał ciemne oczy i włosy. Nosił dzinsy i sfatygowany czarny kapelusz z szerokim rondem. Uśmiechał się.

- Dzień dobry, panie Kirk - wyjąkała, gdy w końcu dotarło do niej, że ma przed sobą Daltona. Dotąd widywała go rzadko i tylko w przelocie. - Przepraszam, nie zauważyłam, kiedy pan podszedł...

Wyjął jej z ucha słuchawkę, na chwilę przytknął do swojego, po czym oddał ze słowami:

- "Cudowne dziecko".

- Zna pan muzykę do tego filmu? - spytała zaskoczona.

- To takie dziwne? Słuchasz jej, więc musisz ją lubić, ale innym też wolno. - Uśmiechnął się. - A już to solo na organach... - Popatrzył na przekrzywiony płot. - Zanotuj koordynaty, żebyśmy wiedzieli, gdzie wymienić fragment ogrodzenia. Na razie płot zatrzyma bydło, trzeba pośpieszyć się z naprawą.

- Już to zrobiłam - oznajmiła, wciąż jeszcze oszołomiona niespodziewanym spotkaniem.

- Gdzieś w tej okolicy ukrywa się zbiegły więzień. Mówi się o nim, że to groźny morderca, choć przypuszczam, że nie popełnił zbrodni, za którą go skazano. Nie zmienia to faktu, że jest gotowy na wszystko. - Z powagą spojrział na Morie. - Też lubię muzykę, ale to

nieodpowiednie miejsce i pora do jej słuchania. Gdyby on tu się zjawił, mógłby cię zabić lub porwać jako zakładniczkę, tak bardzo jest zdesperowany.

- Nie pomyślałam o tym, choć Darby mówił mi o zbiegu.

- Teraz rozumiesz, dlaczego prawo zabrania słuchania muzyki przez słuchawki podczas prowadzenia samochodu. Kierowca nie usłyszy syreny alarmowej.

- Tak, proszę pana.

- Mów mi Tank - powiedział z błyskiem w czarnych oczach. - Wszyscy tak mnie nazywają.

- Dlaczego? - spytała, nim zdołała się powstrzymać. Według niej to było zbyt osobiste pytanie, przecież tak naprawdę w ogóle się nie znali.

Jednak on uznał inaczej, bo odpowiedział:

- Podczas inwazji na Irak nasz oddział został zaatakowany przez czołg wroga. Ponieśliśmy duże straty, straciliśmy łączność z artylerią, która miała nas osłaniać, a nie mieliśmy broni przeciwpancernej. - Wzruszył ramionami. - Zdesperowany rzuciłem w czołg granatem i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu załoga się poddała. Od tamtej pory jestem Tank.

Morie się odprężyła. Dalton nie wydawał się już tak bardzo przerażający, więcej, wzbudził w niej pewną sympatię.

- Pouczająca historia - mruknęła. - Człowiek rzuca, Pan Bóg granaty nosi.

- No właśnie... - Uśmiechnął się leciutko. - Morie, schowaj słuchawki. Muzyką jeszcze zdążysz się nacieszyć w stosownym miejscu i o właściwej porze.

- Oczywiście. - Wyłączyła iPoda.

Dalton dosiadł czarnego wałacha, którego stukotu kopyt wcześniej nie usłyszała, po czym spytał:

- To nie jest telefon, prawda?

- Nie jest. Ale mam to. - Wyjęła z kieszeni telefon do kontaktu ze służbami ratowniczymi. - Łączy tylko z numerem 911, ale mi wystarczy.

- Nie wystarczy. Musisz mieć normalną komórkę, jest tu po prostu niezbędna. Powiem Darby'emu, żeby się tym zajął.

- Dziękuję. - Taka hojność wobec zwykłej robotnicy zdziwiła ją. Oczywiście Morie mogłaby używać własnej komórki, ale miała bardzo drogi model, co mogłoby ją zdradzić. - Nie spodziewałam się...

- Że zachowam się jak należy? - Zgromił ją wzrokiem. - Musisz wiedzieć, że my, Kirkowie, jesteśmy bardzo mili, po prostu superfaceci - mówił z podejrzaną powagą. - Mamy niezłomne charaktery, nigdy nie przeklinamy ani na nic się nie skarżymy, zawsze można się

z nami dogadać i... - urwał, widząc, że Morie z trudem hamuje śmiech. - To, że Cane czasem puści więchę, a Mallory ciśnie w kogoś butem, wcale nie znaczy, że tak ogólnie nie jesteśmy sympatyczni.

- Zapamiętam, proszę pana.

- Mów mi Tank - powtórzył z uśmiechem. - Jeżeli będziesz czegokolwiek potrzebowała, zadzwoń. - Spowaźniał. - Zachowaj czujność, miej oczy szeroko otwarte. Tego zbiega skazano za zabójstwo z premedytacją. Nazywa się Joe Bascomb. Był ze mną w Iraku, znam go dobrze i ufam mu, ale zdesperowani ludzie są zdolni do desperackich czynów. Mógłby skrzywdzić kogoś nieznajomego, nawet kobietę, gdyby uznał, że wyda go policji. Poprzysiągł, że już nigdy nie wróci do więzienia. - W oczach Daltona zamigotał smutek. - Nigdy nie sądziłem, że ucieknie. Jestem pewien, że nie zamierzał zabić tamtego mężczyzny, nawet jeśli rzeczywiście to zrobił. Ale policja musi robić swoje i zrobi wszystko, by go schwytać, a on zrobi wszystko, by nie dać się złapać. Dlatego naprawdę uważaj na siebie.

- Teraz już będę ostrożniejsza.

- Nalegam. Trudno o dobrą pracownicę. - Nasunął kapelusz na oczy i odjechał.

Morie westchnęła z ulgą i wsiadła na konia.



## ROZDZIAŁ TRZECI

Morie dowiedziała się, że na przyszły piątek zaplanowano wielkie przyjęcie. Przygotowania spadły oczywiście na gospodynię, która wcale nie była zachwycona, gdy dowiedziała się od braci Kirków, jakie menu sobie życzą na tę okazję.

- Nie potrafię przygotować wykwintnych kanapek. - Mavie Taylor gniewnym gestem odgarnęła z czoła kosmyk siwiejących włosów. - Skąd mam umieć robić coś takiego, skoro wszyscy chcą zawsze tylko steków z ziemniakami?

- Kanapki łatwo przygotować - wtrąciła się Morie. - Można owinąć koktajlowe kiełbaski bekonem, zabezpieczyć wykałaczkami i upiec. - Podała odpowiednią temperaturę i czas pieczenia. - Potem niech pani pokroi tartinki z ogórkiem na małe trójkąty. Można podać do tego również słodkie bułeczki z rodzynkami, paluszki serowe...

- Zaczekaj - rzuciła Mavie, notując gorączkowo na kartce. - Co jeszcze?

Morie poczuła się pewniej, bo z natury uszczypliwa i zjadliwa gospodyni po raz pierwszy mówiła do niej normalnym tonem. Wymieniła więc kolejne proste i łatwe do przygotowania przystawki, które zwykle serwowano na przyjęciach.

- Skąd to wszystko wiesz? - spytała ją na koniec podejrzliwie Mavie.

- Na poprzednim ranczu, na którym pracowałam, musiałam pomagać w kuchni. - Nie było to tak do końca kłamstwo, gdyż w domu często wraz z matką szykowały poczęstunek dla gości.

- To miło. - Gospodyni spróbowała się uśmiechnąć, lecz niezbyt jej to wyszło, nie była w tym bowiem zbyt biegła. - Dziękuję - dodała sztywno.

- Nie ma za co - przyjaźnie odparła Morie.

- No dobrze, a co z obrusami i zastawą? - Małe oczka gospodyni się zwęziły.

- Czy będzie z czego wybrać?

- Mam nadzieję. - Westchnęła z udręczoną miną. - Podjęłam tu pracę zaledwie dwa tygodnie przed tobą. Wcześniej nigdy nie musiałam gotować na uroczyste przyjęcia i nie mam zielonego pojęcia o rozkładaniu zastawy na stole. Żadna ze mnie szefowa kuchni dla wyższych sfer. Tylko spójrz na mnie! - Wskazała swoje spodnie od dresu i podkoszulek z nadrukiem: „Prawa dla kurczaków!”.

- I dla kogutów - dodała Morie, tłumiąc chichot. Jak się okazało, zgryźliwa gospodyni Kirków jednak miała poczucie humoru.

- Gotowałam dotąd tylko dla najemnych robotników rolnych - oznajmiła Mavie. -

Mówiłam o tym Kirkom, a jednak oczekują wyszukanych potraw dla gości z Waszyngtonu! Zjawią się tu jacyś politycy... - Zmeła w ustach przekleństwo. - Mam we właściwy sposób nakryć do stołu. Ozdobny obrus, bezcenna porcelanowa zastawa, delikatne kryształ i srebrne sztuce!

- Proszę się nie martwić, pomogę pani - zaofiarowała się Morie.

- Ty? - Zamrugła zaskoczona. - Kirkom się to nie spodoba. - Kiwnęła głową w stronę salonu.

- Przecież nie muszą o niczym wiedzieć.

- No dobrze... Dziękuję. - Gospodyni poruszyła się niespokojnie. - Ta Bruner zawsze skarży się na moją kuchnię.

- Niech pani się nie przejmuje. Mnie krytykuje za to, jak się ubieram.

W oczach Mavie zamigotał cieplejszy błysk. Nic tak nie cementuje przyjaźni, jak wspólny wróg.

- Mówi, że nie potrafię przygotować potraw na eleganckie przyjęcie, i naciska na Mallory'ego, żeby zatrudnił na takie jej przyjaciółkę z towarzystwa. Ponoć jest znakomitą kucharką, więc trzeba by jej zapłacić fortunę.

- Pokażemy jej, że i bez fortuny można zabłysnąć w kuchni - energicznie skomentowała Morie.

- Zgoda. - Mavie zachichotała. - Więc co dalej?

Morie chętnie poświęciła wolny czas na poinstruowanie Mavie Taylor w kwestii menu. Narysowała też schemat rozłożenia na stole sreber i kryształów. Poradziła, żeby kupiono przezroczystą plastikową serwetę i przykryto nią zabytkowy obrus, by uchronić go przed poplamieniem czerwonym winem, w którym, jak zdradziła, gustują bracia.

- W żadnym razie nie pozwolą mi tego zrobić - rzekła z westchnieniem.

- Chyba rzeczywiście nie - przyznała Morie. Nie potrafiła sobie wyobrazić swojej matki, wytwornej pani domu, przykrywającej plastikiem bezcenną, sprowadzoną z zagranicy bieliznę stołową. - Ale na pewno jest w okolicy pralnia chemiczna, gdzie usuną z obrusa świeże plamy.

- Nie mogę podawać do stołu w dresie - jęknęła Mavie.

- Możemy wynająć firmę cateringową - zaproponowała Morie.

- Najbliższa, jaką znam, mieści się w Jackson, sto czterdzieści kilometrów stąd - odparła gospodyni. - Nie sądzę, by bracia Kirk zechcieli sprowadzić tutaj samolotem kelnerów.

- Raczej nie - przyznała Morie. W obecnej sytuacji ekonomicznej byłoby to po prostu

ekstrawagancja.

- Zatem będziemy musiały poradzić sobie same - zdecydowała Mavie. - Mam jedną znośną sukienkę, która chyba się nada, mogę też poprosić o pomoc żony kilku pracowników. Ale nie wiem, jak podawać do stołu.

- Ja wiem - uspokoiła ją Morie. - Poinstruuję ciebie i te kobiety.

- Nie jesteś taką, na jaką wyglądasz, prawda? - Mavie popatrzyła na nią przenikliwie.

- Po prostu gotowałam na wielkim ranczu - odparła jakby nigdy nic.

- Jasne... Skoro tak mówisz.

- Mówię - potwierdziła z uśmiechem Morie. - A zatem porozmawiajmy o głównym daniu!

Kiedy poczyniły już niezbędne przygotowania i siedziały przy kawie, wszedł Mallory. Zakłopotana Morie podniosła na niego wzrok, a on popatrzył na nią znacząco.

- Mam wolne popołudnie - powiedziała tonem usprawiedliwienia.

- Przecież nic nie mówię.

- Ale pomyślał pan.

- Ciężko pracuje i jeszcze umie czytać w myślach. - Pokiwał głową. - Korzystna kombinacja.

- Podsunęła mi kilka pomysłów na kanapki na to przyjęcie dla wytwornego towarzystwa, które na pana rozkaz muszę przygotować - burknęła Mavie, mierząc go gniewnym wzrokiem. - Nigdy nie pichciłam dla żadnych cholernych polityków. Jak ja ich nie cierpię! - dodała chmurnie. - Może uda mi się zdobyć cykutę albo...

- Przestań - przerwał jej Mallory. - Po to ich nakarmimy, żebyśmy mogli przepchnąć kilka spraw. Potrzebujemy w Waszyngtonie ludzi sprzyjających hodowcom bydła.

- Powinno się trzymać bizony w parkach narodowych, zamiast pozwalać im buszować po pastwiskach ranczerów i зараżać krowy brucelozą - mruknęła Morie. - A ludzie, którzy tu nie mieszkają, nie powinni narzucać praw miejscowym. Odnoszę wrażenie, że politycy z Waszyngtonu usiłują wyprzeć stąd wszystkich niezależnych ranczerów.

- Właśnie. - Mallory przysunął sobie krzesło i usiadł. - Mavie, czy mógłbym dostać kawę?

- Jasne, szefie. - Wstała, by spełnić jego prośbę.

- Kolejna kwestia to biopaliwa - ciągnął. - Naturalnie to pożyteczna technologia, sprzyjająca naturalnemu środowisku. Już teraz wykorzystujemy do produkcji energii wiatr, słońce, nawet metan z odchodów zwierzęcych. Ale przeznaczają się tak wiele zbóż na biopaliwa, że dzieje się to kosztem paszy dla zwierząt. Musieliśmy zacząć karmić nasze

krowy naturalną trawą, ponieważ ceny kukurydzy rujnują budżet rancza.

- Karmienie bydła trawą jest lepsze - wtrąciła Morie. - Zwłaszcza dla konsumentów, którzy wolą chudą wołowinę, bez nadmiaru tłuszczu.

- Nie hodujemy bydła na wołowinę. - Spiorunował ją wzrokiem.

- Ale jest tu stado byków rozplodowych, więc na jedno wychodzi. Zależy wam na bykach, które płodzą cielaki z chudym mięsem.

Mallory poruszył się nerwowo na krześle, po czym oświadczył:

- Nie produkujemy również cielęciny.

- Ani... - Urwała, nie dodała „my”, mając na myśli ranczo ojca. - Ani większość ranczerów jej nie produkuje - dokończyła koślawą składnią. - Musicie mieć dobry program hodowlany.

- Owszem. Na studiach zgłębiłem zasady hodowli zwierząt. Nauczyłem się, jak podrasować bydło, aby uzyskać określone pożądane cechy.

- Takie jak niższa waga cieląt po urodzeniu i konformacja białka zapewniająca chudsze mięso.

- Tak. A także większa... - Zakłopotany przerwał w pół zdania. - To znaczy zwiększenie... ee... płodności byków.

Morie musiała zacisnąć wargi, by nie wybuchnąć śmiechem. Było to zwyczajne wyrażenie, jednak Mallory, używając go w rozmowie z nią, poczuł się zażenowany, zdradzając tym samym, jak bardzo jest staroświecki. Niczym osiemnastowieczny dżentelmen, był wobec niej nadmiernie delikatny, innymi słowy, chronił ją. Powinno ją to zdenerwować, przecież nie jest nieświadomą różnych aspektów życia panienką z dworku, a jednak w sumie się jej spodobało.

- Bardzo dużo wiesz o hodowli bydła - dodał, patrząc na nią z nieskrywanym zaciekawieniem.

- Sporo się nauczyłam, pracując na poprzednim ranczu - odparła. - Wiele razy słyszałam, jak właściciel rozmawiał o sposobach podniesienia jakości stada.

- Czy był dobrym szefem?

- Tak, bardzo dobrym. - Robotnicy rolni zatrudnieni na ranczu ojca rzadko przenosili się do innych pracodawców. Traktował ich uczciwie, zapewniał ubezpieczenie i wszelkie inne możliwe udogodnienia.

- Więc dlaczego stamtąd odeszłaś?

Wiedziała, że wkroczyła na śliski temat, ale miała gotową odpowiedź na takie pytanie:

- Jeden z mężczyzn zachowywał się wobec mnie zbyt natarczywie. - Nie było to

kłamstwo, choć tamten facet nie pracował na ranchu, jak zasugerowała.

- Tutaj to ci się nie przytrafi. - Oczy Mallory'ego błysnęły ostro. - Jeżeli któryś z kowbojów zacznie ci sprawiać kłopoty, od razu mi o tym powiedz, a ja to załatwię.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się promiennie.

- Nie ma sprawy. Dzięki, Mavie - zwrócił się do gospodyni, gdy postawiła przed nim filiżankę. - Parzysz najlepszą kawę w Wyomingu.

- Mówi pan tak tylko dlatego, żeby dostać na kolację szarlotkę.

- Do diabła, czy to aż tak widać? - spytał rozbawiony.

- Naturalnie - rzekła Mavie.

- Cóż, przyznaję, że szarlotka to moja słabość.

- Trudno tego nie zauważyć. Obiorę jabłka i posłucham, jak rozmawiacie o hodowli bydła. - Wstała i podeszła do lady kuchennej.

- Raczej o mężczyznach - skorygowała Morie, bo zależało jej na tym, by kontynuować ten temat.

- Masz z tym jakiś kłopot? - Mallory zmarszczył brwi.

- Nie, w żadnym razie - zaprzeczyła żywo. - Natomiast chodzi mi o wolne popołudnie. Poznałam w mieście miłego młodego człowieka, który chce się ze mną umówić. Jego ojciec jest właścicielem sklepu z ciągnikami...

- Wykluczone! - zawołał porywczo Mallory.

- Słucham?! - Patrzyła na niego zdumiona.

- Clark Edmondson ma złą reputację - mówił dalej szorstkim tonem. - Kiedyś zaprosił córkę Jacka Corriego, a potem upił się i zostawił ją samą w barze, gdy odmówiła obściskiwania się z nim w samochodzie.

- Nie wybieramy się do baru, tylko do kina - odparła mocno zmieszana, co nie było dla niej typowe.

- Na jaki film? - Spojrzał na nią z ukosa.

- Na animowany western o kameleonie.

- To całkiem miła animacja, choć raczej bym się spodziewał, że Clark wybierze horror o wilkołakach.

- Istotnie, najpierw zaproponował ten horror, ale nie lubię krwi i przemocy, a czytałam, że jest tam tego mnóstwo. Do tego recenzja była bardzo nieprzychylna.

- Wierzysz w opinie krytyków? - zapytał Mallory z kąpiącym błyskiem w oczach. - Ani nie czytają książek, ani nie oglądają filmów, o których piszą - dodał złośliwie. - A nawet jeśli, to i tak jest to opinia zwykłego człowieka, który ma swoje gusty i wcale nie musi błyszczeć

inteligencją oraz smakiem. Zauważ przy tym, że w ostatecznym rozrachunku decyduje rynek, a jedna recenzja nie przesądzi o powodzeniu czy klapie filmu lub powieści.

- Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób - przyznała. - Po przeczytaniu książki czy obejrzeniu filmu oczywiście mam swoją ocenę, jednak w tym natłoku propozycji recenzje traktuję jako wstępne sito.

- Nigdy ich nie czytam. Dowiaduję się, o czym jest dana książka czy film, i sam decyduję, czy ją kupię lub pójdę do kina. A ten film o wilkołakach ma wspaniałe zdjęcia i znakomite efekty komputerowe, chyba najlepsze, jakie widziałem. Podobała mi się zwłaszcza scena z piękną blondynką w czerwonym kapeluszu sfilmowaną na śnieżnobiałym tle. A jak mówisz, recenzja schłostała ten film... Krytycy! Co oni wiedzą? - dokończył drwiąco.

- Clark Edmondson nie jest ideałem, bo kto z nas nim jest, ale moim zdaniem padł ofiarą obmowy - wtrąciła Mavie, nie przerywając obierania jabłek. - Tę historię o córce Corriego na pewno opowiedział panu Bill Duvall. Czuje do niej miętę i nie cierpi Clarka. Powinien pan wziąć to pod uwagę, kiedy powtarza pan jego opinię. - W zamyśleniu utkwiała wzrok w jabłku. - Łatwo komuś przyczepić łątkę i ten ktoś nie ma jak się jej pozbyć, bo trudno walczyć z plotką. A moim zdaniem Clark wcale nie jest złym człowiekiem, tylko trochę zbyt zadufanym w sobie. Nie, powiedziałabym raczej, że jego największą wadą jest lekkomyślność. A pan nie rozumie takich ludzi. Bracia Kirkowie, cała wasza trójka, jesteście solidni jak skała, a wobec innych bardzo krytyczni i pełni uprzedzeń.

Mallory skomentował to krótkim śmiechem, wypił łyk kawy, jakby chciał zyskać na czasie, wreszcie odparł:

- Wcale nie jestem krytyczny i pełen uprzedzeń.

- Owszem, jest pan - twardo oznajmiła Mavie.

- Może i tak... - Wzruszył ramionami, spoglądając na Morie. - Okej, życzę ci udanej randki. Ale weź ze sobą komórkę, a jeśli Clark stanie się zbyt nachalny, zadzwoń do mnie.

- Och... dobrze - mruknęła z jawną niechęcią. Poczowała się jak w rodzinnym domu. Mallory mówił tak samo jak jej ojciec, kiedy w liceum umówiła się z chłopakiem, którego nie znał. - Chciał zabrać mnie do kina w sobotę, ale mam doglądać cielienia się krów...

- Namówię któregoś z pracowników zatrudnionych na niepełnym etacie, żeby cię zastąpił - oświadczył Mallory. - Tylko ten jeden raz - dodał szorstko. - Nie oczekuj taryfy ulgowej. Nie możemy sobie na to pozwolić.

- Tak, proszę pana. - Czuła się zła i zażenowana, z tej emocji oblała się rumieńcem. - Dziękuję.

- Ona skończyła dwadzieścia jeden lat, jest pełnoletnia - rzuciła sucho Mavie.

- Pracuje u mnie - odrzekł z uporem. - Jestem odpowiedzialny za każdego z moich pracowników. A za niektórymi szczególnie. - Spojrzał wymownie na Morie.

Miała wrażenie, że przenikał ją do głębi. Już nie była ani zła, ani zażenowana. Ogarnęły ją całkiem inne emocje. Zabrakło jej tchu w piersi, a serce zabiło mocniej. Poczula dziwną, wręcz niepojętą rozkosz, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyła.

- Cóż, możesz się z nim spotkać, ale bądź ostrożna. - Mallory z widocznym wysiłkiem oderwał od niej wzrok. - Nadal uważam, że to ryzykowne, jednak sama decydujesz o swoim życiu.

- Owszem - odparła wciąż głęboko poruszona. - Dziękuję za kawę - rzekła do gospodyni. - Pora wziąć się do pracy. - Wstała.

- Nie wpadnij do zbiornika z płynem odkażającym - powiedział Mallory.

Minę miał poważną, lecz w oczach zamigotał mu błysk, który był dla niej nie tylko czymś nowym, ale i ekscytującym.

- Tak jest, szefie - odrzekła z uśmiechem, po czym wyszła z kuchni, starając się nie gapić na niego. Myślała przy tym, jak zdoła ukryć te jakże silne reakcje na widok Mallory'ego Kirka.

Włożyła parę spodni i różowy sweter z cytrynowożółtym haftem. Ciuchy nie były nowe, ale prezentowały się całkiem nieźle. Rozpuściła długie włosy, a potem uczesała je szczotką. Były czarne, lśniące, gęste i piękne. Miała je po matce. Kiedy spojrzała w lustro, dostrzegła liczne podobieństwa do niej. Nie była piękna, ale nie była też pospolita. Miała takie same delikatne rysy, które w swoim czasie uczyniły z Shelby Kane słynną modelkę. A babka Morie, Maria Kane, była niegdyś sławną i utalentowaną gwiazdą filmową. Jednak Morie nie odziedziczyła po niej zdolności aktorskich. Próbowała swych sił w amatorskim teatrze w college'u i doszła do wniosku, że scena nie jest jej przeznaczona.

Ponieważ było chłodno, na sweter narzuciła dżinsową kurtkę. Pogoda zmieniała się co rusz. Nieprzewidywalna aura była typowa w tych stronach. Wyoming i Teksas przynajmniej w tym są takie same, pomyślała rozbawiona.

Usłyszała, że przed barak mieszkalny zajechał samochód. Pośpiesznie przypięła do paska saszetkę i wyszła na zewnątrz. Clark siedział uśmiechnięty za kierownicą sportowego wozu. Uderzyło ją, że nie wysiadł, by otworzyć dla niej drzwiczki, tylko przechylił się i pchnął je.

- Cześć - rzuciła, gdy zajęła miejsce pasażera.

- Cześć. Gotowa na miły film?

- Pewnie.

Wrzucił bieg i z rykiem silnika wyjechał z podjazdu.

- Nie rób tego! - napomniała go. - Mamy w oborze cielące się jałówki!

- Oj, przepraszam, nie pomyślałem o tym. - Jednak widać było, że wcale się nie przejął. - Nic im nie będzie - dodał beztrąsko. - Ładny wieczór. Zapowiadają śnieg, ale nie wierzę prognozom pogody, bo często okazują się błędne.

- Tak, oczywiście. - Paplanina Clarka rozdrażniła ją. Morie pomyślała o troskliwie doglądanych jałówkach, które po raz pierwszy w życiu się ocielą i są bardzo zdenerwowane, a więc i płochliwe, a także o tym, jak zrugą ją Mallory, jeśli coś im się stanie z powodu bezmyślności Clarka.

- Przestań się zamartwiać - rzucił drwiąco. - Na litość boską, to tylko krowy.

Tylko krowy! W oborze uwielbiała przystawać przy nich i głaskać. Lubiała te ogromne oczy, duże wilgotne nosy i miękką sierść. Były takie łagodne. A jałówki są bardzo wystraszone. Rozumiała je, sama panicznie bała się porodu. Nie było żadnego konkretnego powodu dla tego lęku, a jednak w niej tkwił, nie dawał się zracjonalizować, choć mocno się o to starała, i napawał równie bezrozumną, ale tym silniejszą obawą przed zamążpójściem. Choć przed tym krokiem wzbraniała się również z innych powodów.

- Wiesz, że królowa Elżbieta I nigdy nie wyszła za mąż ani nie miała mieć dzieci? - zagadnęła.

- Nie cierpię historii - rzucił, nie kryjąc niechęci. - Porozmawiajmy lepiej o tym, kto wygra w "Amerykańskim Idolu".

- Hm... - Poczula się zdezorientowana. To wszystko zmierzało w nieoczekiwanym i bardzo niepożądanym kierunku. - Rzadko oglądam telewizję, a jak ognia unikam programów... - szukała neutralnego słowa -...z udziałem publiczności - wybrnęła. - Natomiast śledzę kanały militarny i naukowy, a także prognozy pogody, bo to ważne w mojej pracy.

- Z tego wniosek, że mamy niewiele wspólnych tematów do rozmowy - stwierdził z protekcyjną nutą w głosie. - Nieważne. Jesteś milutka i podobasz mi się, więc zacznijmy od tego.

Nie wiedziała, czy robić dobrą minę do złej gry z dyżurnym uśmiechem na twarzy, czy też zamienić się w złośliwego i kąśliwego babsztyla.

Film okazał się inteligentny i zabawny, dlatego z kina wyszli w dobrych humorach.

- A teraz zapraszam na pyszną chińszczyznę - powiedział Clark. - Mam nadzieję, że zgłodniałaś?

- I to bardzo. Ale rachunek dzielimy po połowie - zaznaczyła stanowczo. - Zapłaciłam



za mój bilet, zapłacę też za to, co zjem.

- To, że postawię ci kolację, do niczego cię nie zobowiązuje - odparł zaskoczony.

- Wiem, ale dla mnie ważne jest równouprawnienie, także finansowe. - Zdecydowany ton okrasila uśmiechem.

- Dziwna z ciebie dziewczyna - skomentował w zadumie.

- Może i tak. - Wzruszyła ramionami.

- Więc chodźmy coś zjeść.

Gdy weszli do restauracji i usiedli przy wskazanym przez kelnerkę stoliku, Morie powiedziała:

- Jak tu pięknie. - Przyglądała się z podziwem orientalnemu wystrojowi. Szczególnie zachwyciły ją artystyczne kopie zabytkowych pomników i reprezentujące wysoki poziom sztuki snycerskiej rzeźby z Chin. Morie potrafiła to ocenić, bo odbyła kilka podróży po Dalekim Wschodzie, co pozostawiło na niej trwałe ślady. Zafascynowała ją tamtejsza kultura, której znajomość pogłębiła przez poważne lektury, miło też wspominała poznanych tam ludzi.

- Dziadostwo - rzucił pogardliwie Clark. - Jarmarczne ozdóbki warte kilka dolców, nic więcej.

Nie zamierzała polemizować. Było oczywiste, że Clark nie jest partnerem do dyskusji o sztuce, kulturze... W ogóle patrzyła na niego innym okiem niż po pierwszym spotkaniu. Mavie powiedziała o nim, że jest „trochę zbyt zadufany w sobie”. Okej, zgadza się, tylko po co to słówko „trochę”?

- Chciałam powiedzieć, że jest tu miło - powiedziała z uśmiechem.

- Być może. - Rozejrzał się wokół. - Powtórzę jednak, że jak na mój gust, zbyt tu jarmarcznie.

Mimo wszystko miała już dość roli słodkiej idiotki i zamierzała ostro zaripostować, gdy w drzwiach ujrzała Mallory'ego Kirka. Szef zjawił się tu w towarzystwie Gelly Bruner. Zamienił kilka słów z kelnerką, która poprowadziła ich do pobliskiego stolika, i nim usiadł, z chłodnym uśmiechem skinął głową Morie i Clarkowi.

Uznała to za zwykły zbieg okoliczności. Przecież szef nie miał powodu, by ją śledzić...

Natomiast Clark ocenił to zupełnie inaczej.

- Co za tupet! - pieklił się zszokowany. - Zawsze tak robi, gdy z kimś się umawiasz? Słyszałem o zaborczych pracodawcach, ale to, co on wyprawia, przechodzi ludzkie pojęcie!

- Ma prawo zaprosić swoją dziewczynę, gdzie mu tylko przyjdzie ochota. - Morie siliła się na bez troski ton. - A to jedyna naprawdę dobra restauracja w mieście.

- Może i racja.

- On nie ma żadnego powodu, by mnie szpiegować. Pracuję u niego, nic więcej.

- Jasne... - w zadumie odparł Clark.

Mallory też na nią patrzył, z lubością kontemlował bujne czarne włosy, które spływały lśniąca kaskadą na plecy niemal do bioder.

- Dlaczego tak się na nią gapisz? - wycodziła Gelly. - To pospolita dziewczyna, twoja pracownica. I dlaczego przyszliśmy tutaj? Wiesz przecież, że nie cierpię chińskiego jedzenia!

Nie słuchał jej. Rozmyślał o tym, że nigdy nie widział czegoś tak pięknego, jak te długie czarne włosy. Przywodziły mu na myśl pewien wiersz - Morie też na pewno go zna - o Bess, czarnookiej córce oberżysty, wpinającej ciemnoczerwoną klamrę w długie kruczoczarne włosy. Był to utwór Alfreda Noyesa, poemat „Rozbójnik” o dziewczynie, która poświęciła życie dla ukochanego. Miał w uszach muzyczną wersję tego wiersza, przerobionego przez Loreenę McKennitt na przesyconą celtycką magią balladę. Powtórzył w duchu natchnione miłością i rozpaczą słowa Bess:

*Przyjdę do ciebie, mój kochany,*

*Wiedziona srebrnym blaskiem księżyca.*

*Nie tylko Szatan, lecz i piekło całe*

*Nigdy nie zdoła mnie powstrzymać...*

- Co takiego? - spytała zdumiona.

- Nic. - Było oczywiście, że bezwiednie zanucił ten fragment na głos. - Co chcesz zamówić? - Zmusił się, by oderwać wzrok od Morie i spojrzeć na naburmuszoną Gelly.

Clark próbował rozmawiać z Morie o programie telewizyjnym, o którym nie miała pojęcia. Ku jej zakłopotaniu i rozdrażnieniu nie zwracał na to uwagi, tylko perorował:

- Wiesz, ten facet w gruncie rzeczy nie umie śpiewać, ale zyskał popularność i podbił widownię. Podoba mi się ta dziewczyna. Ma klasę i świetny głos... - Nagle dotarło do niego, że wprawdzie jako nadawca miał się znakomicie, jednak były problemy z odbiorem. - Słuchasz mnie?

- Przepraszam - mruknęła. - Myślałam o prognozach pogody. Zapowiadają kolejną śnieżycę, a na ranchu mamy wiele krów, które pierwszy raz się ocielą.

- Już o tym mówiłaś - odparł znudzonym tonem. - Morie, życie nie składa się

z samych krów i krowich pierworódek. Poza chodzącymi stekami jest jeszcze mnóstwo...

- Pan Kirk nie hoduje bydła na mięso! - gwałtownie wpadła mu w słowo. - Prowadzi hodowlę byków rozplodowych.

- Byków... rozplodowych? - powtórzył powoli.

- Tak. Hoduje wysoko cenione rasowe byki. - Pochyliła się do przodu. - Sprzedaje je do celów rozplodowych, a nie na wołowinę.

- Wiesz co, Morie? - Pokiwał w zadumie głową. - Jesteś najdziwniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek znałem.

- Dzięki za tak... oryginalny komplement! - odparła z uśmiechem.

- Na pewno nie chcesz już więcej wina? - Uniósł kieliszek i wypił spory łyk.

- Źle reaguję na alkohol. Szkodzą mi również gazowane napoje. Pijam tylko kawę i mrożoną herbatę. Albo - uniosła filiżankę z parującym płynem - gorącą zieloną herbatę. - Wypiła łyk i z lubością przymknęła oczy. - Wspaniała!

- Nawet jej nie posłodziłaś - powiedział zde gustowany.

- W Japonii nikt nie słodzi herbaty - powiedziała, nim ugryzła się w język. - W każdym razie tak czytałam - dorzuciła pośpiesznie.

- Nigdy bym jej nie wypił bez cukru. Smakuje okropnie. - Odstawił kieliszek. - Mają tu smaczne desery. Słodki ryż z owocami mango albo z lodami kokosowymi.

- Uwielbiam lody! - oznajmiła uradowana.

- Ja też. - Skinął na kelnerkę. - Przynajmniej to jedno mamy wspólne - dodał w zadumie.

Mallory przyglądał się im, gdy szykowali się do wyjścia. Kiedy Morie płaciła rachunek za siebie, skinął ręką na Clarka, a gdy ten pochwycił jego gest, odwołał go na bok.

Stanęli sami w głębi restauracji, Clark najpierw spojrzał nerwowo na Mallory'ego, zaraz jednak się opanował i oznajmił bardzo, ale to bardzo uprzejmym tonem:

- Dzień dobry, panie Kirk. Co za szczęśliwy traf, że znów pana widzę.

Na to drwiące powitanie oczy Mallory'ego zwężyły się groźnie.

- Uważaj, Edmondson - powiedział cicho. - Ona nie jest aż tak młoda, by mogła być moją córką, ale odpowiadam za nią. Jeżeli zachowasz się wobec niej niestosownie, złożę ci wizytę. - Uśmiechnął się zimno.

- To oburzające! - zapienił się Clark. - I karalne! Nie panu grozić ludziom!

- Och, to nie jest groźba, synu. - Mallory mocno zacisnął szczęki. - To obietnica. - Poszedł do swojego stolika, po czym opuścił wraz z Gelly lokal.

Clark odprowadził niczego nieświadomą Morie do samochodu. Był czerwony na

twarzy wskutek wypitego wina i wściekłości spowodowanej postępkami Mallory'ego Kirka.

- Powinienem wezwać policję - oznajmił, gdy wsiedli do auta i wyjechali z parkingu z rykiem silnika.

- Dlaczego? - spytała zdziwiona.

- Twój szef mi groził! - odparł gniewnie.

- Mój szef? O czym ty mówisz?

Już miał jej wyjaśnić, lecz się zreflektował. Morie bardzo mu się spodobała, a czuł, że nie wszystko idzie gładko, więc niepotrzebne mu były dodatkowe komplikacje. Natomiast gdyby zaczął opowiadać zbyt szczegółowo, Morie mogłaby pomyśleć, że Mallory naprawdę miał powód do grózb.

- Nikt nie lubi, gdy ktoś go poucza niczym nauczyciel głupawego ucznia. - Roześmiał się. - A twój szef nakazał mi surowo, żebym bardziej się o ciebie troszczył, bo na jego oko zaniedbuję się w tym.

- Do licha! - Patrzyła na niego zdumiona. - Dlaczego miałby ci powiedzieć coś takiego? - Mallory znów zachowywał się jak jej ojciec, a przecież nim nie był. No właśnie! Ojcowski niepokój to jedno, a tutaj... Kiedy mężczyzna wtrąca się kobiecie w życie? Tylko wtedy, kiedy mu na niej zależy! Gdy uświadomiła sobie tę dość oczywistą prawdę, dotarło do niej, jak bardzo jej to pochlebia.

- Nie mam pojęcia. - Clark czujnie zerknął na nią. - Chyba się w tobie nie buja, co?

- Nawet jeśli nie we mnie - odparła ze śmiechem - to w moim wielomilionowym funduszu powierniczym, jak i w tym, że bryluję w najwyższych sferach po obu stronach Atlantyku.

Clark też się roześmiał. Pomyślał, że mu odbiło. Morie nie jest kobietą, którą taki potentat mógłby uznać za odpowiednią kandydatkę na żonę. Słyszał, że bracia Kirkowie wydają wystawne przyjęcia dla sławnych oraz wpływowych ludzi, dzięki czemu korzystnie sprzedają byki, o których wspomniała Morie. Muszą mieć wysoko postawionych przyjaciół. Nie chwala się tym, co świadczy o ich mądrości, za to wpływy i władza braci rosną z roku na rok. Natomiast Morie jest zupełnie z innej półki. Ot, choćby to, że na randkę przyszła w starych ciuchach... To prosta i uboga dziewczyna. Clark uznał, że się wygłupił z tymi podejrzeniami. Po prostu Mallory jako pracodawca czuje się za nią odpowiedzialny. Może Morie ma nadopiekuńczych rodziców, o czym Mallory wie i obawia się, że gdyby spadł jej z głowy choćby włos, wytoczą mu proces, co dla biznesmena niezależnie od wyniku zawsze jest niekorzystne. Tak więc nie kierował się prywatnymi celami, lecz dbał o interesy.

- Podobał mi się film - powiedziała Morie. - Dziękuję.

- To ja ci dziękuję. Nie bywam w mieście tak często, jak tego bym chciał, ale moglibyśmy czasami wybrać się do kina, a potem zjeść kolację w restauracji. Co ty na to?

- Zastanowię się nad tym - odparła z uśmiechem.

Planował zabrać ją do punktu widokowego, po zmroku popularnego miejsca miłosnych schadzek, jednak po ostrzeżeniu ze strony Mallory'ego nie chciał ryzykować, dlatego odwiózł Morie prosto na ranczo. Poza tym zaczynało do niego docierać, że coś jest nie tak między nimi.

- Mieszkaś tutaj z tymi wszystkimi kowbojami? - spytał zdziwiony, gdy zatrzymali się przed barakiem.

- Mam swój pokój, poza tym to mili ludzie.

- Skoro tak mówisz...

- No cóż, jeszcze raz dziękuję - rzekła z wahaniem.

On zaś delikatnie przytknął wargi do jej ust.

Zniosła pocałunek, lecz go nie odwzajemniła. Nic nie poczuła, absolutnie nic.

Clark oczywiście to zauważył. Wiedział już na pewno, że z jakichś przyczyn nie zaiskrzyło między nimi na tyle, by mogli zostać parą. Zanadto różnili się od siebie? Zabrakło chemii? Nieważne. Prawdziwego związku z tego nie będzie, jednak Morie była milutka, a on chciał mieć towarzystwo podczas wieczornych wypadów do miasta.

- Wkrótce znowu gdzieś się wybierzemy - powiedział.

- Jasne. - Weszła do baraku.

Darby, który siedział przy drzwiach, skinął jej głową i by nie zbudzić kowbojów śpiących w głębi baraku, spytał ściszym głosem:

- Dobrze się bawiłaś?

- Tak... chyba.

- Chyba? - powtórzył zdziwiony.

- Szef zjawił się w restauracji. Nie wiedziałam, że lubi chińszczyznę.

- Nie cierpi jej! - Darby był coraz bardziej zdziwiony.

- Była z nim Gelly Bruner. Może ona ją lubi.

- Może...

- Z jałówkami wszystko w porządku?

- W jak najlepszym. Miejmy tylko nadzieję, że nie sprawdzi się prognoza i nie będzie śnieżycy.

- Też na to liczę. Dobrej nocy, Darby.

- Dobranoc, Morie.

Zniknęła w swoim pokoju. Miała o czym myśleć. Darby był zaskoczony tym, że Mallory poszedł do restauracji, w której była wraz z Clarkiem. Morie też to zdziwiło, a zarazem sprawiło przyjemność, pochlebiło, ekscytowało...

Gdy wreszcie zasnęła, miała cudowne sny.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Ostatnie, czego Morie się spodziewała, to wizyta Gelly Bruner, która w porze lunchu czekała na nią przed barakiem. Mówiąc dokładniej, nie tylko czekała, ale i kipiała złością, a na widok Morie oznajmiła bez powitania:

- Nienawidzę chińskiego zarcia!

- W takim razie powinnaś unikać chińskich restauracji - usłużnie poradziła Morie, okraszając te słowa uśmiechem.

- Poszedł tam z twojego powodu! - piekliła się Gelly. - Ten facet, z którym byłeś w knajpie, miał się dowiedzieć, że Mallory Kirk czuwa nad tobą!

- Dlaczego miałby tak postąpić? - spytała z miną niewiniątka. - Przecież nie jest moim ojcem.

- Ani twoim narzeczonym! - zawołała Gelly. - Dlatego radzę ci, przestań robić do niego słodkie oczy - niemal wyszczała. - W przeciwnym razie szybko stąd wyfruniesz.

- Ja tutaj tylko pracuję.

- Zobaczyłaś, jak żyją bracia Kirkowie, i bardzo ci się to spodobało. - Gelly obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem. - Popatrz tylko, co masz na sobie! Bieda aż piszczy, co za nędzne łąchy. Chciałabyś ubierać się w drogich butikach, zadawać się z bogaczami...

- Zadaję się z właściwymi ludźmi - odparła mocno urażona Morie.

- Ze śmierdzącymi pastuchami, którzy ledwie potrafią czytać - z pogardą skomentowała Gelly.

- Nie znasz ich! Wcale tacy nie są. - Morie nie kryła narastającej złości.

- Jeśli uczynisz cokolwiek, by zainteresować sobą Mallory'ego, szybko zrobię z tym porządek - powiedziała ściszym głosem. - Nie będziesz pierwszą osobą, której pozbędę się z rancza. Każdy, kto ma choć trochę oleju w głowie, wie, że nie warto robić sobie ze mnie wroga.

- Pracuję tutaj - powtórzyła Morie, czując narastający gniew. Po matce odziedziczyła urodę, ale po ojcu porywczy charakter. - I nikt nie będzie mi groził!

Gelly drgnęła nerwowo. Nie przywykła, by ktokolwiek się jej przeciwstawił.

- Mam bogatych rodziców - rzekła chłodno. - Gorzko pożałujesz, kiedy się z tobą policzę.

- Ty też - zripostowała Morie.

- Nie musimy toczyć wojny. Jeśli chcesz tu nadal pracować, trzymaj się z dala od

Mallory'ego - powiedziała protekcyjnym tonem Gelly. - Należy do mnie, nie zamierzam z nikim się nim dzielić.

- On o tym wie?

- Słucham?! - Gelly aż zamrugła na to bezczelne pytanie.

- Że należy do ciebie. Muszę go o to spytać...

- Zamknij się! - Poczerwieniała ze złości Gelly zacisnęła pięści. - Jeszcze cię dopadnę!

- Krowa, która głośno ryczy, mało mleka daje - ze stoickim spokojem rzuciła Morie.

- Ty suko! - Gelly zaatakowała z furją.

Jednak została błyskawicznie usadzona.

- Mam brązowy pas taekwondo - z gniewnym błyskiem w oczach poinformowała ją Morie. - Więc lepiej nie próbuj, bo rozgniotę cię na miazgę.

- Powiem Mallory'emu! - wrzasnęła Gelly.

- Proszę bardzo - odparła Morie. - Jego też mogę nauczyć kilku chwytów, na wypadek gdybyś chciała go zaatakować.

Gelly odeszła w kierunku domu, mamrocząc coś wściekle pod nosem.

- Niemądrze postąpiłaś - stwierdził Darby, podchodząc do niej. - To wyjątkowo mściwe babsko. Straciliśmy jednego z pracowników, ponieważ oskarżyła go o kradzież. Mówiłem ci już o tym.

- Jeżeli spróbuje czegoś takiego ze mną, gorzko tego pożałuje. Nikt nie będzie mi mówił, z kim wolno mi się widywać, a z kim nie - szorstko odparła Morie. - Na litość boską, nie poluję na szefa! Ja tu tylko pracuję! Pra-cu-ję! - wyskandowała na koniec.

- Spokojnie, Morie, nie unos się tak. - Ojcowskim gestem poklepał ją po ramieniu. - Za parę dni zapomnisz, o co się z nią kłóciłaś. A teraz zjedz lunch. Mavie przyrządziła chili i chleb kukurydziany. Jest wspaniałą kucharką.

- Owszem... - Odetchnęła głęboko kilka razy. - Przepraszam, rzadko kiedy tracę panowanie nad sobą, ale ta cholerna Bruner strasznie mnie wkurzyła. Co za wstrętny babsztyl!

- Masz rację, ale chwalić Boga to nie nasze zmartwienie, tylko szefa.

- Owszem... - Weszła za Darbym do baraku.

Jednak na tym się nie skończyło. Mallory wezwał Morie do głównego budynku. Z kamienną twarzą wprowadził ją do salonu i zamknął drzwi.

- Usiądź, proszę. - Wskazał skórzany fotel, a nie wygodną białą kanapę przykrytą brokatową narzutą.

Morie przyszła od cielących się krów, więc miała dzinsy powalane trawą i błotem.



Jaśnie pan boi się, że pobrudzę sofę, pomyślała złośliwie, siadając.

- Słucham, o co chodzi? - spytała.

- Gelly powiedziała, że jej groziłaś. - Zaczął przechadzać się po pokoju.

- Naprawdę? Czyż to nie dziwne?

- Chce usłyszeć twoją wersję - patrzył na nią intensywnie - zanim podejmę decyzję.

- Powiem, skoro pan nalega. - Zerknęła na niego z ukosa. - Ale nie będę niczego upiększać, chociaż zależy mi na tej pracy i nie chciałabym jej stracić.

- Dobrze... - Wydawał się zaskoczony. - Proszę, mów.

- Gelly Bruner oznajmiła, że mam się trzymać od pana z daleka. I nie była to prośba - powiedziała Morie. - Zagroziła, że gdy się do tego nie zastosuję, każe mnie wylać. W końcu próbowała uderzyć mnie w twarz. Cóż, nie pozwoliłam jej na to. Wtedy odeszła, a ja wróciłam do pracy.

- Chyba coś pominęłaś, Morie. Co takiego jej powiedziałaś, że chciała cię spoliczkować?

- Zarzuciła mi, że czynię na pana zakusy, ponieważ jest pan zamożny, a ja biedna. - Taki zarzut bardzo ją zabolął. Owszem, pochodziła z bogatej rodziny, ale tutaj była ubogą robotnicą, która za cały majątek miała dumę i honor. - Stwierdziła dobitnie, że należy pan do niej. Nazwała też pańskich pracowników śmierdzącymi pastuchami i analfabetami i mocno podkreślała, że może wyrzucić mnie z pracy. Zabrzmiało to tak, jakby była właścicielką nie tylko pana, ale i Rancho Real. Poinformowałam ją, że bardzo nie lubię gróźb, dodałam też, że spytam pana, czy godzi się pan, by traktowała pana jako swoją własność. Wtedy próbowała mnie spoliczkować.

Mallory w milczeniu wpatrywał się w Morie. Bóg wie, jak Gelly przedstawiła mu ten incydent, pomyślała.

- Nigdy nie widziałem, by wobec kogokolwiek użyła przemocy fizycznej - odrzekł wreszcie. - Ona płakała.

- O rety, jak mi przykro! - rzuciła zjadliwie Morie. - Wszczęła kłótnię, a kiedy przegrała, poszła wyplakać się przed wielkim, silnym mężczyzną, żeby stanął w jej obronie. Tak było, prawda?

- Ja tu jestem szefem - oznajmił, zaciskając szczęki.

- Poza panną Bruner nikt tego nie kwestionuje, panie Kirk. Więc śmiało, niech mnie pan zwolni, skoro taka pana wola. Jest kilka rancz, na których jeszcze nie pracowałam. Chętnie spróbuję.

Westchnął gniewnie.

- Mogłabyś po prostu przyznać - rzucił gniewnie - że popełniłaś błąd i ją przeprosić.

- Za to, że się broniłam? Nie pozwoliłam, by mną pomiatała?! - nakręcała się z każdym słowem. - O to panu chodzi?

- Powiedziała, że to ty zaczęłaś.

- A ja mówię, że ona.

- Gelly należy do towarzystwa, a ty jesteś najemną pracownicą. - On też był coraz bardziej rozgniewany. - Na tym polega różnica!

- Rozumiem. - Morie skinęła głową. - Różnica klasowa, tak? Gelly Bruner jest bogata, a ja jestem biedna, więc z samej definicji to ona ma rację. Chyba pomyliły się panu epoki, Wasza Wysokość - zakończyła ze zjadliwą ironią.

- Do cholery, pracujesz u mnie! I brakuje zaledwie tyle... - pokazał palcami, jak niewiele - żebyś przestała tu pracować!

- Nie pozwolę, by ktokolwiek podnosił na mnie rękę! - Zaciśnęła drobne dłonie w pięści. - Nie obchodzi mnie, kim ona jest! Gdyby zdołała mnie uderzyć, oskarżyłabym ją przed sądem i powiadomiłabym każdą cholerną gazetę i stację telewizyjną w Wyomingu, żeby wszyscy się dowiedzieli, co zrobiła!

- Podobno powiedziałaś jej - rzucił z błyskiem w oczach - że mnie pragniesz i zdobędziesz, a ona zostanie na lodzie!

- Na litość boską! - Wywróciła oczami. - Co ona plecie?! Nie ta liga, panie Kirk. - Demonstracyjnie otaksowała go wzrokiem. - Ma pan prawie tyle samo lat co mój ojciec!

Mallory, który dotychczas chodził po salonie, przystanął i spojrzał na Morie. A potem błyskawicznie znalazł się przy niej i mocno przycisnął usta do jej ust.

Oniemiała. Co tu się wyrabia?! - zadudniło jej w głowie. Zanim zdążyła jakoś zareagować, przyparł ją do ściany, podniósł i przywarł do niej całym ciałem. Z początku pocałunek wyrażał gniew, lecz nagle stał się całkiem inny.

Poczuła na biodrze jego dużą, ciepłą dłoń. Wsunął nogę między jej uda. Był tuż przy niej. Wyczuwała jego fizyczne podniecenie, którego nie zamierzał przed nią kryć. Zaczął kusząco rozwierać wargami jej wargi, a jednocześnie otoczył ręką szczupłe biodra i przygarnął ją do siebie jeszcze bliżej.

Zadrzała. Nigdy dotąd żaden mężczyzna tak jawnie i władczo nie dał poznać, że jej pożąda - i jeszcze nigdy fizyczna bliskość nie sprawiła Morie takiej potężnej, czysto zmysłowej rozkoszy.

Jednak gdy bliskość stawała się coraz bardziej intymna i gdy Morie poczuła potężne pragnienie, by pomóc Mallory'emu rozpiąć jej zamek błyskawiczny, odzyskała trzeźwy

rozsądek i z ociąganiem oderwała usta.

- Nie - wyszeptała. - Nie rób tego! - Pchnęła go w pierś. Gdyby nalegał, nie zdołałaby go powstrzymać. Prawdę mówiąc, nie chciała...

Namiętność doprowadzała Mallory'ego do szaleństwa. Nie doświadczył czegoś takiego od lat, a już z pewnością nie z Gelly, która mimo kokieterii tak naprawdę była zimna i wyrachowana. W głębi duszy pragnął czegoś całkiem przeciwnego, a Morie... Do tego jej bezceremonialna uwaga dotycząca wieku dotknęła go do żywego, rozjuszyła, straszliwie pobudziła. Lecz to tylko takie nędzne usprawiedliwienie, bo wiedział już, że zachował się niedopuszczalnie, wręcz karygodnie. Próbował wykorzystać podwładną!

Z wysiłkiem oderwał się od Morie. Była zaczerwieniona i cała drżąca, lecz nie z lęku. Znał kobiety, wiedział, że jest tak samo jak on podniecona. Nie sprzeciwiła się pocałunkowi, ale nie chciała posunąć się dalej. Zachowywała się, jakby nigdy jeszcze nie spała z mężczyzną. Dziewica... Czy na tym świecie można jeszcze taką spotkać? Czasami mocno w to wątpił.

- Nie jestem taki stary - rzucił gniewnie.

- Och, wcale nie jest pan stary... - Nadal czuła smak jego ust, wdychała woń wody kolońskiej o leśnym zapachu.

Zakłopotany umknął wzrokiem. Nigdy dotąd nie tracił nad sobą kontroli.

- Przepraszam - rzekł sztywno.

- Nic się nie stało - rzuciła nerwowo. - Ale powinnam już wrócić do pracy.

- Owszem.

Odsunęła się od ściany. Miała nadzieję, że nie jest zbyt potargana i że po wyjściu stąd nie natknie się na Mavie.

Mallory przyglądał się w milczeniu, jak odchodziła. Rozmyślał o słowach Gelly, która nazwała Morie rozwiązłą awanturką szukającą bogatego starszego opiekuna. Wiedział, że to nieprawda. Owszem, Morie jest uboga i może nawet snuje wobec niego jakieś plany ze względu na majątek, ale założyłby się o swoje ranczo, że to niewinna dziewczyna.

Morie wyruszyła na konny objazd ogrodu, unikając innych pracowników. Miała nadzieję, że nie wygląda na tak zmieszaną i zdenerwowaną, jak się czuje. Mallory ją pocałował. Nie, poprawiła się w duchu, to było coś bardziej intensywne i zmysłowe niż zwykły pocałunek. Jak do tego doszło? Na moment sytuacja wymknęła się spod kontroli. Celowo zachowała się zuchwale i prowokacyjnie. Podrażniła śpiącego niedźwiedzia, lecz nie spodziewała się takiej reakcji.

Nadal czuła na wargach pocałunek. Mallory może nie jest szczególnie przystojny, lecz

wie, jak postępować z kobietami. Nie chciała, żeby przestał, jednak to doprowadziłoby do katastrofy. Wprawdzie powiedział, że pragnie usłyszeć jej wersję tamtego zajścia, ale nie wątpiła, że uwierzył Gelly. Nalegał przecież, żeby przeprosiła tę blond wydrę. Po moim trupie, pomyślała zawzięcie. Została skrzywdzona, więc to wydra powinna ją przeprosić.

Tyle że Mallory jest związany z Gelly, kobietą zamożną, ładną, brylującą w towarzystwie. Morie pochodziła z tej samej sfery, lecz odgrywała rolę ubogiej robotnicy. Gdyby prawda wyszła na jaw, natychmiast zostałaby zwolniona.

Zaraz też pomyślała o kolejnym problemie. Mallory w sobotę wydaje uroczyste przyjęcie. Morie pomagała gospodyni, a tak naprawdę była mózgiem całych przygotowań. Ułożyła menu, poinstruowała, jak należy nakryć stół i obsługiwać gości, a także jak udekorować salę. Mavie nalegała, by czuwała nad wszystkim, poprosiła też szefa, by przydzielił ją do obsługiwanego imprezy.

Znalazła się więc w bardzo kłopotliwej sytuacji. Dopóki będzie ukrywać się w kuchni, nic jej nie grozi, jednak jej rodzice obracali się w tych samych kręgach towarzyskich co bracia Kirkowie, dlatego musi się liczyć z tym, że na przyjęciu pojawi się ktoś, kto ją rozpozna. Nie mogła do tego dopuścić. Zadała sobie wiele trudu, by zdobyć pracę w Rancho Real, pragnęła bowiem udowodnić rodzicom i sobie, że potrafi sama poradzić sobie w życiu, bez pieniędzy i rodzinnych koneksji. Chodziło jej również o to, by uwolnić się od natrętnych i cynicznych łowców posagu.

Nie może stracić tej pracy, dlatego zostanie w kuchni, nie pokaże się gościom. Gdyby odmówiła udzielenia pomocy Mavie, wzbudziłaby tym podejrzenia i sprowokowała pytania, na które nie potrafiłaby odpowiedzieć, ale włoży chustkę na głowę, wdzieje fartuch i nie wychyli nosa z kuchni. Miała nadzieję, że żadnemu z gości nie przyjdzie do głowy, by zajrzeć tam i porozmawiać z kucharką. Ale to mało prawdopodobne, pocieszała się w duchu.

Wielki budynek jarzył się światłami na zewnątrz i w środku. Pogoda dopisała, była piękna wiosenna noc, niezwykle ciepła jak na tę porę roku. Goście przechadzali się po domu i na dworze, jedząc pyszne przekąski i pijąc piekielnie drogiego francuskiego szampana.

Zafascynowana Mavie przyglądała się elicie towarzyskiej, dla której z pomocą Morie przygotowała wyszukane potrawy.

- Zauważyłaś tego gwiazdora filmowego? - wykrzyknęła. - Niedawno oglądałam jego najnowszy film, a obecnie gra w serialu. Czyż nie jest zabójczo przystojny?

Morie zerknęła z kuchni i zachichotała. Dobrze знаła tego aktora, przy różnych okazjach pogadywali przyjaźnie. Był uroczy, nie uległ gwiazdorskiej chorobie, gdy zdobył wielką popularność.

- Równy gość - powiedziała.

- A tam stoi ten sławny futbolista, który zarabia ciężkie miliony - ciągnęła gospodyni.

- A to prezydent jednego z zamorskich pustynnych krajów.

- Philippe Sabon - wyrwało się Morie. Dzięki ojcu też poznała go osobiście. Żona prezydenta Sabona pochodziła z Teksasu. Gdy Mavie zerknęła na nią podejrzliwie, dodała: - Czytałam o nim w gazetach. A tu mogę na niego popatrzeć! Na żywo jest jeszcze przystojniejszy niż na zdjęciach.

- Owszem - przytaknęła Mavie.

- Lepiej wróćmy do pracy - ponagliła Morie. - Spójrz, jak szybko opróżniają tace.

- Masz rację.

Przez następną godzinę pracowały, przygotowując smaczne przekąski. Orkiestra grała powolne bluesowe kawałki, kilka par tańczyło w salonie wychodzącym na patio.

- Też powinnaś tańczyć, flirtować, miło spędzać czas - powiedziała Mavie. - Jesteś młoda, powinnaś cieszyć się tym przyjęciem.

- Ja tutaj pracuję, jestem najemną robotnicą.

- Bzdury! Szef wcale tak nie myśli.

- Akurat... - Przekonała się już, jak Mallory traktuje przedstawicielki niższej klasy społecznej, co bardzo ją ubodło.

Gospodyni zerknęła na nią, po czym powiedziała przyciszonym głosem:

- Szkoda, że nie widziałaś, jak ta Gelly wściekała się na ciebie przed szefem. Poskarżyła się, że potraktowałaś ją jak szmatę, nazwałaś beznadziejną lafiryndą.

- To kłamstwo! Nic takiego nie powiedziałam! - zaprzeczyła z oburzeniem Morie.

- Tylko powtarzam jej słowa. A co sobie myślę, to myślę. Przez te wszystkie lata widziałam wiele takich kobiet jak ona. Łaszą się do bogatych wpływowych mężczyzn, a za ich plecami pokazują pazury. Musisz jednak wiedzieć, że ta cała Bruner wcale nie jest taka bogata, za jaką się podaje. Jedna z moich przyjaciółek pracowała u jej rodziców i nie zapłacili jej ani grosza. Mówi, że puszą się i udają bogaczy, ale tak naprawdę ledwie zipią. Dlatego Gelly tak zajadle poluje na bogatego męża. To jedyna nadzieja na podreperowanie kiepskiej sytuacji finansowej rodziny. Upatrzyła sobie naszego szefa i łowy trwają w najlepsze.

- Jeśli jest na tyle głupi, by się z nią ożenić, dostanie to, na co zasłużył - stwierdziła Morie. - To wredna megiera.

Gospodyni przytaknęła kiwnięciem głowy.

- Wyjęłaś mi to z ust - poparła ją Mavie.

Dochodziła dziesiąta. Wkrótce wyjdzie personel, a także większość gości. Morie

marzyła tylko o tym, by położyć się do łóżka, jako że była na nogach od świtu. Poza tym zgłodniała, ponieważ, podobnie jak Mavie, nie miała przerwy obiadowej.

- Umieram z głodu - westchnęła.

- Ja także. Ocalimy dla siebie kilka kanapek - powiedziała Mavie. - Odłożę ci na talerz, żebyś mogła zabrać je do pokoju.

- Dziękuję.

- To ja ci dziękuję. Bardzo mi pomogłaś. Sama nie dałabym sobie rady.

- Nic wielkiego. Lubię pracę w kuchni.

- Ja również. Możesz mnie nazwać staroświecką, ale uwielbiam gotować.

- Gdzie ta wspaniała kucharka?

Morie doskonale znała ten głęboki głos. Po chwili do kuchni wszedł roześmiany Danny Brannt i dosłownie wrósł w ziemię na widok bratanicy, która za plecami gospodyni przytknęła palec do ust i gwałtownie potrząsnęła głową.

- Kto jest tą kucharką? - Promiennie uśmiechnął się do Mavie. - Byłoby czarną niewdzięcznością nie podziękować za pyszne przekąski. A już te cudownie skomponowane kanapki! Od niepamiętnych czasów nie jadłem nic równie smacznego.

- To ja jestem kucharką - odparła rozpromieniona Mavie. - Ale większość przepisów podała mi moja pomocnica. Ma na imię Morie. Ja jestem Mavis, lecz wszyscy mówią do mnie Mavie.

- Miło mi was poznać. - Danny Brannt zerknął znacząco na bratanicę. - Podoba ci się praca na Rancho Real?

- Tak, i to bardzo.

- Mogę z tobą chwilę porozmawiać? Chciałbym wyciągnąć od ciebie przepis na te przekąski z kiełbaskami. Moja gospodyni bardzo się ucieszy.

- Naturalnie - odrzekła Morie.

Podszedł do tylnych drzwi, otworzył je i puścił ją przodem. Martwiła się, że to może wzbudzić w Mavie podejrzenia, ale musiała wyjaśnić stryjowi swoje postępowanie.

- Co ty knujesz, u licha? - zapytał z powagą. - Twój ojciec wpadłby w szal, gdyby się dowiedział, że wynajęłaś się do pracy na ranczu!

- Nie wolno ci mu tego wyjawić - odparła stanowczo. - Chcę udowodnić, że sama potrafię sobie poradzić. Jestem pełnoletnia, to moja sprawa, a tacie nie musi się to podobać. Ale jeśli mu zdradzisz, gdzie jestem, zjawi się tu i narobi mi kłopotów. Zacznie dyktować szefowi, jakiej pracy może ode mnie wymagać, a jakiej nie, i wszystko zepsuje. Znasz go przecież.

- Owszem. - Stryj się zachmurzył. - Jak udało ci się tutaj zatrudnić?

- Znajoma poinformowała mnie, że poszukują pracowników. A skąd ty się tu wzięłaś?

- Poznałem Cane'a Kirka podczas procesu sądowego. Chodziło o prawa własności do ziemi. Pozew wniósł jego przyjaciel, a ja prowadziłem sprawę w sądzie okręgowym w Teksasie. Poszliśmy z Cane'em na lunch i zaprzyjaźniliśmy się. Dobry Boże, nie przyszło mi do głowy, że kiedy zjawię się u niego na przyjęciu, znajdę tam bratanicę gotującą dla gości!

- Cóż, ktoś musiał się tym zająć - rzekła ze śmiechem. - Mavie nie miała zielonego pojęcia o koktajlowych kanapkach i innych przekąskach, a mama przygotowuje najlepsze na świecie, podobnie jak ciocia Edie i wasza gospodyni.

- Jeżeli twój ojciec się dowie, że zatałem to przed nim...

- Nie dowie się. A nawet jeśli, wstawię się za tobą - przyrzekła solennie.

- Morie, Morie... - Pokiwał głową. - Już w kołysce byłaś niesforna i uparta i tak ci zostało.

- A ty od kołyski mnie kochasz, stryжку Danny, i tak ci zostało. - Pocałowała go w policzek.

- Owszem. - Uściskał ją serdecznie. - No dobrze, mam nadzieję, że wiesz, co robisz. Nic nie powiem Kingstonowi, ale gdy prawda wyjdzie na jaw, rozpęta się awantura. Będziesz musiała mnie obronić - dodał z wesołym błyskiem w oczach. - To nie przypadek, że skracamy jego imię i wychodzi z tego King.

- Król... Jeszcze lepiej byłoby Zeus - dodała kpiąco. - Ale obiecuję, że obronię cię przed gromowładnym bogiem. I dzięki, że jesteś po mojej stronie.

- Co ty robisz tutaj na dworze, zamiast pracować? - gniewnie zawołała stojąca w progu Gelly. - Nie wolno ci prowadzić prywatnych rozmów z moimi gośćmi, ty nędzna naciągaczko!

Danny wyszedł z cienia. Też był wściekły. Nikt nie ma prawa zwracać się w ten sposób do jego bratanicy! Zresztą zdążył już wyrobić sobie jak najgorsze zdanie o panie Bruner.

- Nie jestem twoim gościem - stwierdził porażająco zimnym tonem. - Przyjechałem spotkać się z braćmi Kirkami.

- No tak, ale... - Urwała gwałtownie, czerwona z zakłopotania.

- Radzę ci, wracaj na przyjęcie i przestań się czepiać personelu twojego przyjaciela - mówił dalej. - Tak czy siak, muszę z nim o tym porozmawiać.

- Przepraszam - powiedziała sztywno i zmusiła się do chłodnego uśmiechu. - Proszę

mi wybaczyć. - Odeszła tak szybko, jakby ją ktoś gonił.

Morie stłumiła śmiech. Stryj potrafił wywrzeć równie groźne wrażenie, jak jej ojciec, chociaż tak naprawdę był najłagodniejszy z braci Branntów.

Po rejteradzie Gelly gospodyni podeszła do drzwi. Niewątpliwie słyszała każde słowo, gdyż oczy jej się śmiały.

- Zostanie pan u nas na dłużej? - spytała. - Ugotuję panu, cokolwiek pan zechce.

- Przykro mi, ale niestety mam sprawy do załatwienia - odparł przyjaźnie. - Kanapki były naprawdę pyszne. I dzięki za przepis - zwrócił się do Morie. - Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś się spotkamy.

- Ja również - odrzekła z uśmiechem. - Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Skinął dłonią na pożegnanie i wrócił na salę.

- Kim on jest? - zapytała Mavie.

- Powiedział, że jest sędzią sądu okręgowego w Teksasie i przyjacielem Cane'a - odpowiedziała Morie. - Poprosił mnie o przepis na kielbaski koktajlowe, żeby gospodyni mogła przyrządzić je na przyjęcie, które wkrótce wydaje. Wyobraź sobie! Rozmawiałam z prawdziwym sędzią!

- I to całkiem przystojnym - zauważyła z uśmiechem Mavie. - Powiedziałaś coś Gelly? - spytała z niepokojem.

- Nie, ani słowa, za to pan sędzia ją obsztorcował. Kazała mi przestać zadawać się z jej gośćmi i wracać do pracy, a wtedy on powiedział, żeby pilnowała własnego nosa.

- Ha! - wykrzyknęła z satysfakcją Mavie. - Tylko coś tam słyszałam w kuchni, szkoda, że nie widziałam miny tej zołzy!

- To prawda, masz czego żałować. - Morie uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - To taki miły człowiek. Szkoda, że nie zabawi tu dłużej.

- Tak, szkoda... - Mavie nagle się zaniepokoiła. - Pogonił tę Bruner, ale tak czy inaczej będziesz miała kłopoty.

- Wciąż je mam - rzuciła beztrąsko Morie. - Sprzątnijmy naczynia, a potem chciałabym już pójść spać.

- Ale pamiętaj, weź do pokoju kanapki.

- Dzięki.

- Wspaniale się spisałaś - powiedziała Mavie. - Cieszę się, że tu jesteś.

- To najmiłsza rzecz, jaką usłyszałam, już nawet nie pamiętam od jak dawna...

Morie oglądała na małym telewizorku starą czarno-białą komedię i jadła kanapki. Rzeczywiście były bardzo smaczne. Dumiała przy tym o spotkaniu ze stryjem Dannym. Nie



wiedziała, że przyjaźni się z Cane'em. Na szczęście obiecał, że zachowa tajemnicę i nie zdradzi bratu, gdzie pracuje jego wychuchana córeczka. Wzdrygnęła się na myśl o tym, co rozjuszony ojciec powiedziałby jej szefowi.

Wiedziała, że matka też dochowa tajemnicy. Powiedziała Kingowi, że Morie pracuje w domu towarowym jako ekspedientka. Dobrze sobie! Oszalałaby z nudów na takiej posiadzie...

Minęło już kilka dni, odkąd Mallory ją pocałował. To zdarzenie było nieoczekiwane i szokujące, lecz zarazem stanowiło uroczne interludium, które Morie bez końca odgrywała w pamięci. Cóż, interludium to taka wstawka, urozmaicenie, odmiana, po której następuje zasadnicza część koncertu... Jednak było coraz bardziej oczywiste, że Mallory traktuje to inaczej. Powinna porzucić złudne marzenia, nie będzie dalszego ciągu, koniec, kropka. Gdy nawet z nią rozmawiał, przybierał suchy, rzeczowy ton. Żadnych żarcików, żadnych miłych pogawędek, tylko sprawy zawodowe.

Zjadła ostatnią kanapkę i zgasła telewizor. Po ciężkim i długim dniu bolały ją wszystkie mięśnie. Nim zajęła się szykowaniem przyjęcia, pomagała Darby'emu przy cielących się krowach. Nagrodą był widok skomlących cicho cielaków, które tuż po urodzeniu się stały chwiejnie, a matki lizały im sierść.

Pomaganie przy przyjściu na świat cielaka było niezwykłym doświadczeniem. Proces narodzin fascynował wszystkich, którzy zajmowali się żywym inwentarzem. Na ranczu trwał niekończący się cykl życia i śmierci.

Morie uwielbiała pracę na świeżym powietrzu, z dala od miejskiego zgiełku i gorączkowego rytmu życia poddanego ścisłym regułom. Tutaj czas odmierzał bieg słońca po niebie. Ludzie wstawali wraz z nim i wraz z nim kładli się spać. Nauczyli się rozpoznawać ptaki po ich śpiewie. Nauczyli się przepowiadać pogodę z subtelnych oznak, które umykały elektronicznym prognozom. Żyli w zgodzie z naturą, blisko ziemi. Morie uważała, że jest to najwspanialsza praca, choć zarazem była to fizyczna harówka, a zarobki nie są wysokie. Pracowała w roboczym ubraniu, pogniecionym i poplamionym, lecz nie zamieniłaby tego na prezentowanie na wybiegu najmodniejszych paryskich kreacji, choć kiedyś namawiano ją, by została modelką. Ta propozycja bardzo uradowała i usatysfakcjonowała jej matkę, która jednak wcale się nie zdziwiła, gdy Morie odparła, że zamiast uczyć się chodzić jak modelka, woli opanować umiejętność łapania bydła na lasso.

Ojciec nigdy by jej tego nie nauczył, chociaż Cort, jej brat, przeszedł szkolenie pracy na ranczu. Często nazywała tatę prymitywem z epoki kamienia łupanego, ponieważ chciał, żeby nigdy nie pracowała zarobkowo i zajmowała się wyłącznie tym, co przystoi kobietom.

Przekonywała go, że potrafiłaby doglądać krów nie gorzej od brata, i pragnęła tego dowieść. Ojciec kwitował jej słowa lekceważącym śmiechem i odpowiadał, że na jego ranchu nigdy na to nie pozwoli.

Tak więc by dowieść swoich racji, zatrudniła się na cudzym ranchu. Wcześniej jednak ukończyła college. Tata, któremu bardzo na tym zależało, powinien być zadowolony, ale nastał czas, by robiła w życiu to, co zadowoli ją samą.

Dumając o tym, co było i co ją jeszcze czeka, znużona ciężkim dniem zasnęła jak kamień.

Następnego ranka szef przyszedł do obory, gdzie karmiła cielaka, którego matkę zaatakowało stado wilków. Krowa zginęła i wezwano odpowiednie służby stanowe, aby schwytały wilki i przetransportowały je w inny rejon.

Mallory popatrzył na Morie, która trzymała na kolanach cielątko, i poczuł, że lód w jego sercu zaczyna topnieć. Wyglądała uroczo i wzruszająco, pielęgnując cielaczka, jednakże odegnał od siebie sentymenty. Nie wolno mu pozwolić pracownicy na kolejne kłopotliwe wybryki.

Podniosła głowę i spostrzegła, że się jej przygląda.

- Dzień dobry, szefie - powiedziała, odwracając wzrok.

- Dzień dobry - powiedział surowym tonem.

Zerknęła na niego, po czym dodała:

- Przypuszczam, że znowu mam kłopoty.

- Gelly powiedziała, że kiedy podczas przyjęcia poleciła ci wrócić do pracy w kuchni, nakłoniłaś jednego z gości, by ją obraził.

- A także pobił i skopał - mruknęła drwiąco.

- Daruj sobie, po prostu podaj swoją wersję - rzucił chłodno.

- Dobrze, panie Kirk. Więc moja wersja jest taka. Pana gość, sędzia sądu okręgowego, poprosił mnie o przepis na przekąski dla swojej gospodyni, więc wyszłam z nim na dwór, byśmy przez chwilę mogli spokojnie porozmawiać. Panna Bruner przerwała nam w obcesowy sposób, co pana sędziego bardzo rozgniewało, nie przywykł bowiem do takich manier. A już szczególnie zdenerwowało go to, jakich słów panna Bruner użyła wobec mnie. Zaznaczam, że jest to jego opinia i jego reakcje, bo ja do niczego go nie nakłaniałam. Gdzieżbym śmiała cokolwiek sugerować panu sędziemu!

- Sędzia? - Zmarszczył brwi.

- Podczas rozmowy o zawijanych kiełbaskach wspomniał, że jest sędzią - odparła jakby nigdy nic. - Choć nie doszukałam się związku - dodała z kamienną miną. Nie

powstrzymała się przed zawołaną kpina, jednak Mallory sobie na to zasłużył. Uważał, że jako robotnica, a podczas przyjęcia pomoc kuchenna, nie miała prawa nic wiedzieć o jego gościach, tylko harować i służyć. Owszem, szanowała szefa, ceniła też jego konserwatywne zasady, ale akurat takich feudalno-konserwatywnych reliktyw szczerze nienawidziła.

- Rozumiem... - mruknął jakby do siebie.

Nieprawda, nic nie rozumiesz, pomyślała ze złością. Gelly wodzi cię za nos, wykorzystując twój porywczy charakter, a ty jej na to pozwalasz.

- Hm... - Zawahał się. - Przekąski i kanapki były nadzwyczaj smaczne.

- Dziękuję. Bardzo się z Mavie starałyśmy.

- Tak. - Spojrzał na nią przenikliwie. - Skąd tyle wiesz o organizowaniu wytwornych przyjęć? Gdzie się tego nauczyłaś?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Morie gapiała się na niego, rozpaczliwie usiłując wymyślić jakąś odpowiedź, która by jej nie zdradziła.

- W... ee... poprzednim miejscu pracy - wydukała. - Gospodyni znała się na tym, a właściciel rancza nie chciał zatrudniać z okazji przyjęć dodatkowego personelu, więc musiałam jej pomagać.

- Rozumiem.

- Podłapałam tylko trochę, zresztą wolę karmić cielaki, niż pracować w kuchni. Mówię to na wypadek, gdyby chciał pan zaproponować mi pracę z Mavie zamiast przy krowach.

- Nie miałem takiego zamiaru.

- To dobrze.

- Morie... - Milczał przez chwilę. - Nie lubisz Gelly, co?

- Lubię czy nie lubię? Proszę wybaczyć, ale to dziwne pytanie. Po prostu nic mi do pańskich przyjaciół. Nie mój świat, nie moja bajka. Jestem pracownicą rolną, nie bywam na salonach. W dodatku jestem tu od niedawna.

- Gelly z twojego powodu czuje się zagrożona. Bóg jeden wie dlaczego... - Dlaczego? Pomyślał, że Morie mogłaby uchodzić za ładną, gdyby zrobiła coś z włosami, malowała się i nosiła lepsze ubrania. Zazwyczaj jednak wyglądała niechlujnie i niezbyt pociągająco. Wciąż jeszcze szokowało go, że ją pocałował i nawet sprawiło mu to tak wielką przyjemność. Starał się nie wracać pamięcią do tego incydentu.

- To nie mój problem - skomentowała, trzymając się wersji: „Nie mój świat, nie moja bajka”.

- Odniosła wrażenie, że ten sędzia dobrze cię zna.

- Więc było to mylne wrażenie - odparła z niewinnym spojrzeniem. - Pan sędzia jest miłym i bezpośrednim człowiekiem, poza tym był mi wdzięczny za przepisy, więc rozmawiało nam się sympatycznie. Może to zmyliło pannę Bruner? Ale nie obracam się w takich sferach, wiem, gdzie moje miejsce. W oborze i w kuchni. Waśnie, pan sędzia mógł widzieć mnie w kuchni, gdy pracowałam na innym ranczu.

- Gdzie to było? - zapytał.

Milczała, bojąc się wpakować w kolejne kłamstwo. Miała wybrane ranczo, miała też zapewnione alibi. Mianowicie gospodyni jej przyjaciółki obiecała potwierdzić tę wersję,

gdyby ktokolwiek zadzwonił i chciał to sprawdzić. Tyle że to już robiło się piętrowe kłamstwo!

- A więc? - naciskał Mallory.

Ze zdenerwowania przechyliła butelkę, którą karmiła cielaka, i mleczko sojowe zaczęło wyciekać na ziemię. Szybko się jednak opanowała, podejmując decyzję, że wyjawí szefowi prawdę.

Jednak w tym właśnie momencie na dworze rozległ się hałas, a potem dobiegł ich potok najbardziej wyszukanych i najbardziej prostackich przekleństw.

Mallory wybiegł na zewnątrz. Zaciekawiona Morie umieściła cielaka w boksie, wyszła za szefem i ujrzała ciskającego się w furii Cane'a, siodło leżące na ziemi, a w oddali galopującego konia.

- Pieprzony niepodkuty skur... - Na widok Morie ugryzł się w język.

- Do diabła, co ty wyprawiasz? - spytał zdumiony Mallory.

Cane obrzucił go złym wzrokiem. Gęste, krótko ostrzyżone czarne włosy były potargane, duże ciemnobrązowe oczy miały pioruny. Zacisnął pełne, zmysłowe wargi.

- Próbowałem osiodłać Old Billa - burknął. - Myślałem, że sobie z nim poradzę. Od powrotu do domu nie siedziałem na koniu. Ten skur... ten przekłety drań przewrócił mnie, zrzucił siodło i uciekł!

Morie poruszył widok pustego rękawa spiętego przy łokciu w miejscu, gdzie amputowano rękę. Cane był ogromnie drażliwy na punkcie kalectwa. Nigdy nie wspominał, w jakich okolicznościach stracił rękę, ani w ogóle o służbie w wojsku. Większość ludzi go unikała, zwłaszcza gdy wściekał się i kłął, jak choćby teraz.

Mallory polecił któremuś z kowbojów, by złapał uciekiniera, natomiast Morie weszła do stajni, a po chwili wyprowadziła jednego z łagodnych i dość już wiekowych wierzchowców, które trzymali dla gości tylko okazjonalnie jeżdżących konno. Podniosła siodło, ignorując wściekle spojrzenie Cane'a. Osiodłała konia i wprawnie zapięła popręg.

- Proszę się nie przejmować - powiedziała do Cane'a, podając mu wodze. - Każdy z nas czasami potrzebuje niewielkiej pomocy. To żaden wstyd, gdy ktoś wyświadcza panu przysługę, nawet gdy tym kimś jest zwykła robotnica.

On jednak znów zmierzył ją gniewnym wzrokiem. Była przygotowana na to, że albo bez słowa odejdzie, dusząc się z wściekłości, albo nim to uczyni, najpierw zruga ją za bezczelność. Jednak potrząsnął głową, jakby chciał się uspokoić, i powiedział:

- W porządku, dziękuję. - Wziął od niej wodze i popatrzył z powątpiewaniem na konia. Niewątpliwie odkąd został inwalidą, nie próbował żadnego dosiąść.

- W Teksasie mam przyjaciela, z którym jeździmy na konne przejażdżki - powiedziała, uważając, by nie wyjawic zbyt wiele. - Stracił rękę, gdy był najemnikiem w zamorskim kraju. Dosiada konia od okaleczonej strony, dzięki czemu może chwycić łąk zdrową ręką i wskoczyć na siodło. Świetnie mu to idzie.

Popatrzył na nią zaskoczony

- Aha... - Przyglądał się jej, jakby zobaczył jakieś dziwo. - Nikogo się nie boisz, co?

- Bez przesady, czegoś tam się boję - odparła z uśmiechem. - Ale akurat pan nie jest groźny, tylko czasami trochę nieprzyjemny.

- No dobrze... - Znowu zerknął na nią ciekawie. - Spróbuję tego sposobu. Ale jeśli wyląduję na ziemi, wyleję cię z pracy.

- Nic z tego - zaproponował Mallory. - Nie ty ją zatrudniłeś, więc to nie twoja działka. A teraz się pośpiesz. Wskakuj na konia, musimy spędzić rozproszone jałówki. Jestem pewien, że tym razem meteorolodzy się nie mylą, jak nic będzie śnieżycy.

- Okej... - Za pierwszym razem Cane'owi się nie powiodło, za drugim i trzecim też, ale było coraz lepiej, aż wreszcie wskoczył na siodło i ujął wodze. Zatoczył koniem koło, spojrzał na Morie i rzucił z uśmiechem: - Dzięki.

Mallory dosiadł konia, wjechał między nich i powiedział:

- Ruszajmy, Cane. Niedługo zapadnie zmrok. - Po czym z surową miną zerknął na Morie. Nie podobało mu się, że Cane się do niej uśmiechnął. Nie pojmował swojej reakcji, co jeszcze bardziej go rozgniewało. - Wracaj do pracy, Morie. - Odjechał w ślad za bratem.

Morie popatrzyła za nim z irytacją.

- Właśnie zamierzałam to zrobić - mruknęła. - A co, myślałeś, że mam narzeczonego, z którym poześluję na Karaiby albo polecę na kolację do Honolulu?

- Gadasz do siebie? - podkpiwał Darby. - Lepiej uważaj, bo wylądujesz w wariatkowie.

- Jeśli psychiatrzy uznają, że zwariowałam i trzeba zamknąć mnie u czubków, powiem im, że to szef doprowadził mnie do obłądu.

- Jasne... - Spowaźniał. - Miło, że pomogłaś Cane'owi. Od powrotu z wojska nawet nie próbował wsiąść na konia. Byłem przekonany, że zrezygnuje, kiedy Old Bill mu uciekł. Nikt z nas nie odważyłby się na to, co zrobiłaś. Kilka miesięcy temu strzelił z piąchy pracownika tylko za to, że zaproponował mu pomoc.

- Jest poraniony nie tylko na ciele, ale i na duszy. Nie radzi sobie z kalectwem, nie wie, jak odnosić się do ludzi, nie potrafi prowadzić normalnego życia. Słyszałam, że nie chce uczęszczać na fizykoterapię, nie ma też szans, by porozmawiał z psychologiem. Utrata ręki to

coś strasznego, a on z natury jest aktywny, ma mnóstwo energii, co w tej sytuacji tylko pogarsza sprawę.

- Był mistrzem rodeo. Zabija go to, że nie może już brać udziału w zawodach.

- Darby, jestem przekonana, że wreszcie przywyknie do tego. Potrzebuje tylko czasu i pomocy. Kiedy to sobie uświadomi, nauczy się żyć ze swoim kalectwem, a to znaczy tyle, że wróci do społeczeństwa. Tak samo było z naszym przyjacielem.

- Dziwny przyjaciel... - Spojrzał na nią z uwagą. - Najemny żołnierz.

- Mamy różnych przyjaciół - odparła z uśmiechem. - Mój ojciec lubi buntowników i oryginałów.

- No cóż, świat jest duży, znajdzie się miejsce nawet dla największych dziwaków i odszczepieńców. - Milczał przez chwilę zadumany, wreszcie powiedział energicznym tonem: - Lepiej wracajmy do roboty. Czasy są niepewne, źle byłoby stracić pracę.

- Mnie to mówisz?

Cane i szef wrócili, gdy wyjeżdżała konno na objazd ogrodzenia.

- Kiedy będziesz tam sama, trzymaj tę swoją pozytywkę w kieszeni i nie wkładaj do uszu słuchawek, jasne? - polecił szorstko Mallory.

Zdradzając tym samym, że Tank opowiedział mu o ich spotkaniu, gdy usuwała złamany konar.

- Dobrze, szefie.

- Jaką muzykę lubisz? - spytał Cane.

- Każdą. - Uśmiechnęła się promiennie. - Teraz mam na topie ścieżkę dźwiękową z filmu „Cudowne dziecko”.

- Tank też ją uwielbia. Kupił partyturę i ćwiczy.

- Aha, więc to Dalton muzykuje. - Gdy napotkała zdziwione spojrzenie Mallory’ego, dodała: - Widziałam fortepian w salonie, ale nie wiedziałam, kto na nim gra.

- Tank jest bardzo muzykalny i ma wielki talent, choć brakuje mu wytrwałości - poinformował ją Cane. - Odwrotnie niż Mallory. Zapał ma wielki i ćwiczy do upadłego, choć talentu i słuchu nie ma za grosz.

- Gram lepiej od Tanka! - gwałtownie zaoponował Mallory.

- Wiem, wiem. - Cane roześmiał się pogodnie. - Tylko mu tego nie mów, dobra?

- Kazaliśmy naprawić tamten odcinek płotu - powiedział Mallory do Morie. - Nie powinnaś była dźwigać sama tej gałęzi. - Wymownie spojrzał na zadrapanie na jej twarzy.

- To tylko draśnięcie. - Musnęła dłonią policzek. - Na mnie goi się jak na psie.

- Sprowadziłbym kogoś, żeby ci pomógł - powiedział z uporem.

- I to mówi ktoś, kto próbował podnieść i przesunąć samochód, który blokował wejście do obory - rzekła z uśmiechem.

Najpierw spiorunował ją wzrokiem, dopiero potem odparł:

- Gdy trzeba, zawsze wzywam ludzi do pomocy. No, prawie zawsze... Ale to ja tu rządę. Nie kwestionuj tego, co robię, tylko wykonuj moje polecenia. Rozumiesz?

- Tak jest, proszę pana - odparła słuźbiście.

- I przestań się ze mnie śmiać - mruknął.

- Wcale się nie śmiałam!

- Owszem, śmiałaś się w duchu. A ja to zauważyłem.

- Obiecuję, że przywołam ducha do porządku.

Wzniósł oczy do nieba, po czym powiedział do brata:

- Idziemy, Cane.

Jednak brat nie ruszył się z miejsca, tylko patrzył uważnie na Morie, jakby dostrzegł w niej coś niezwykłego, wreszcie powiedział:

- Wydajesz mi się znajoma. - Zmarszczył czoło. - Myślę, że już cię gdzieś widziałem.

Też tak się jej zdawało, gdy na ranczu po raz pierwszy spotkała Cane'a, lecz nie skojarzyła go z żadną z imprez towarzyskich organizowanych przez ojca. Mógł być jednak jednym z ranczerów, którzy często zwiedzali jej rodzinne ranczo Skylance, by podziwiać wyhodowaną przez Kinga Brannta rasę bydła Santa Gertrudis. Jeśli tak właśnie było, Cane w każdej chwili może skojarzyć, że jest córką owego Kinga Brannta, wielkiego hodowcy i milionera.

- Och, po prostu mam taki wygląd, że wielu ludziom wydaję się znajoma - odparła jakby nigdy nic. - Poza tym ponoć każdy z nas ma gdzieś w świecie swojego sobowtóra.

- Możliwe... - Zamilkł na chwilę. - Zachowałaś się bardzo... uprzejmie, siodłając konia. Przepraszam, że dla odmiany ja zachowałem się jak gbur.

- Nic się nie stało. Zresztą przywykłam do gburów. Pracuję u takiego. - Wskazała na szefa.

- Jeszcze jedno słowo, a wylecisz - odparował Mallory, lecz przy tym nieznacznie się uśmiechnął.

Roześmiała się i wróciła do pracy.

Tej nocy jedna ze stacji telewizyjnych prezentowała serię starych filmów, w których występowała Maria Kane. Jej wnuczka z fascynacją kontemlowała sztukę aktorską babci, a także odnajdywała w pięknej, delikatnej twarzy i wspaniałej figurze podobieństwa do Shelby Kane, a nawet do siebie.



- Żałuję, że cię nie poznałam - szepnęła do obrazu na ekranie telewizora.

Maria zmarła przed ślubem córki z Kingstonem Branntem, który właśnie na jej pogrzebie uświadomił sobie, że nie wyobraża sobie życia bez Shelby.

Morie poznała ze szczegółami historię romansu rodziców. Kiedy King i Shelby się poznali, początkowo odnosili się do siebie wrogo. Wcześniej łączyła ją czysto platoniczna przyjaźń z jego bratem Dannym. Po pewnym czasie Danny poprosił Shelby, aby udawała, że się z nim zaręczyła, i przywiózł ją na rodzinne ranczo Skylance. King otwarcie krytykował ten związek i zachowywał się wobec niej w niewybaczalnie przykry sposób, czego później ogromnie żałował. Odkąd pojął Shelby za żonę, traktował ją jak księżniczkę, jakby chciał wynagrodzić jej swoje okropne i bolesne nietakty. Zmienił się tak diametralnie, że Shelby mówiła pół żartem, pół serio, że nie jest to ten sam mężczyzna, którego wcześniej знаła.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, by tata był dla ciebie niemiły - odrzekła wtedy Morie. - Wciąż daje ci kwiaty i czekoladki. Ilekroć pojedzie do miasta, kupuje ci prezent, obdarowuje piękną biżuterią, zabiera na zakupy do Paryża...

- Tak, obecnie jest najcudowniejszym mężem, jakiego kobieta mogłaby sobie wymarzyć - przyznała z uśmiechem Shelby. - Ale nie znałaś go dawniej. Okres, kiedy o mnie zabiegał, był dla nas obojga bardzo trudny. King został zraniony w poprzednim związku i odreagowywał to na mnie. Kiedyś demonstrowałam kolekcję strojów firmy Western na pokazie w Nowym Jorku podczas Tygodnia Mody. Zjawił się na widowni, wziął mnie na ręce i wyniósł z budynku. Wierzyłam i protestowałam, ale nie robiło to na nim żadnego wrażenia.

- O rany! - Morie wybuchnęła śmiechem. - Akurat takiego tatę świetnie sobie wyobrażam. Zakochany bez pamięci rycerz porywa swoją księżniczkę...

- To były czasy. - Shelby westchnęła z rozmarzeniem. - Ale nie myśl, że wszystko poszło jak po maśle. Strasznie się wtedy pokłóciliśmy. Odwiózł mnie do hotelu i oznajmił, że zrywa ze mną.

- I co było dalej? - Fascynowała ją ta opowieść. Rodzice byli wtedy młodzi, jak ona teraz, w niewoli romantycznych emocji... Cóż, to byli jej rodzice, więc z trudem mogła sobie wyobrazić, że umawiają się na randki, przeżywają miłosne rozterki i dramaty.

- Poprosiłam, żeby pocałował mnie na pożegnanie. - Matka zarumieniła się. - No i... po trzech dniach wzięliśmy ślub. - Potrząsnęła głową. - Nigdy naprawdę nie pozna się kogoś, dopóki się z nim nie zamieszka. Twój ojciec zawsze sprawiał wrażenie człowieka niezwykle szorstkiego, gniewnego i porywczego. Ale kiedy jesteśmy sami... - Oblała się jeszcze głębszym rumieńcem na wspomnienie szalonej, namiętnej nocy poślubnej i nieopisanej rozkoszy, która zatrzymała ich w apartamencie hotelowym na dwie okrągłe doby. Podczas

erotycznego maratonu odżywiali się jedynie batonami i butelkowaną wodą, a efekt był taki, że po dziewięciu miesiącach pojawił się na świecie Cort, ich pierworodny. A miłość nadal kwitła, aż do dziś.

- Mamo, ty się zaczerwieniłaś! - podkpiwała Morie.

- No cóż, twój ojciec pod pewnymi względami jest niezrównany. - Shelby zachichotała. Była równie zażenowana, jak rozmarzona cudownymi wspomnieniami. - Skarbie, już nic więcej nie powiem, to zbyt intymne. Mam tylko nadzieję, że gdy już wybierzesz sobie męża, szczęście dopisze ci przynajmniej w połowie tak jak mnie.

- Jeżeli się stąd nie wyrwę, nigdy nie wyjdę za mąż - kwaśno odparła Morie. - Tutejsi faceci kochają pieniądze ojca, nie mnie.

- Znajdzie się mężczyzna, który szczerze cię pokocha. Tamten księgowy był fatalnym kandydatem na męża. Drapieżnik, który upatrywał sobie ciebie jako bezbronną ofiarę! - Shelby wciąż gniewnie reagowała na tamto zdarzenie. - Miał mnóstwo szczęścia, że zdążył wynieść się z miasta, zanim twój ojciec rozerwał go na strzępy.

- Święta racja. - Morie spojrzała na matkę. - Dlaczego tata nie chce pozwolić, żebym pracowała na naszym ranchu tak jak Cort?

- Cort i ojciec są pod pewnymi względami bardzo do siebie podobni. Jim Brannt wpoił w Kinga wielki szacunek dla kobiet i przekonanie, że to istoty zbyt delikatne do pracy fizycznej. - Zadumała się na moment. - Niestety jest w tym również trochę mojej winy. Mieszkałam u ciotki, a ona wyznawała bardzo podobne poglądy. Uważała, że damy nie powinny parać się żadną pracą. Ponadto nie cierpiała mojej matki i nie chciała, żebym poszła w jej ślady.

- W telewizji puszczają filmy, w których grała babcia - powiedziała Morie. - Była wspaniałą aktorką. I aż czterokrotnie wychodziła za mąż.

- Tak, a najlepszym mężem był ostatni, Brad. Zginął w wypadku samochodowym tuż po moim ślubie z Kingiem.

- Mamo, jak to było? Babcia naprawdę popełniła samobójstwo? A może to tylko parszywa plotka?

- Nigdy się tego nie dowiedziałam, kochanie. Brad powiedział, że świadomie przedawkowała środki nasenne, ponieważ studio filmowe nie odnowiło z nią kontraktu. Ale ciotka mawiała często, że Maria nie była typem samobójczyni. Może po prostu przez przypadek zażyła zbyt wiele proszków, gdyż nie mogła zasnąć. Wolę wierzyć, że tak właśnie było.

- Też w to wierzę, mamo.

Shelby uściskała ją czule, po czym rzuciła kpiąco:

- W każdym razie chyba nie chcesz paradować powalana błotem i cielęcymi kupami, co? Wprawdzie podczas wykopalisk archeologicznych też się brudziłaś, ale to była przynajmniej czysta ziemia.

- Czysta ziemia... Dobrze sobie! - Morie wybuchnęła śmiechem.

W tym momencie do pokoju wszedł ojciec, pocałował Shelby, objął ją i przytulił, po czym oznajmił:

- Mam te bilety.

- Na „Ognistego ptaka”? - zawołała podekscytowana. - Przecież wszystkie już wyprzedano!

- Namówiłem doktora Caldwell, by odstąpił nam swoje. Jego żona z wdzięczności zacałowała mnie niemal na śmierć, gdyż nie znosi Strawińskiego - powiedział uradowany, wyjął bilety z kieszeni i wręczył Shelby.

- Kiedy jest ten koncert? - spytała.

- Dziś wieczorem. - Zerknął na Morie i pogładził ją czule po policzku. - Przepraszam, córeczko, nie udało mi się zdobyć trzeciego biletu.

- Nie szkodzi, tato - odparła. - Wolę muzykę Debussy'ego. Strawiński jest jak dla mnie jednak zbyt nowatorski.

- Chciałabyś pokazać się w nowej kreacji? - zapytał żonę. - Możemy polecieć do Dallas i odwiedzić dom towarowy Neiman Marcus.

- Mam w szafie piękną suknię, którą kupiłam właśnie na taką okazję. - Przytuliła się do męża, a on objął ją namiętnie. - Ale dziękuję za propozycję, kochanie.

Pocałował ją we włosy.

- Moja piękna dziewczyna zasługuje na wszystko, co najlepsze.

Przyglądając się im, Morie uświadomiła sobie po raz kolejny, że od czasu ślubu ich miłość jeszcze się wzmogła. Wciąż zachowywali się jak nowożeńcy, często wpatrywali się w siebie, zapominając o całym świecie. Miała nadzieję, że też przeżyje równie namiętny romans, lecz jak dotąd nic takiego się nie przydarzyło. Cort również dostrzegwał, że rodziców łączy niezwykła więź, i zazdrościł im tego.

Owszem, durzył się w córce sąsiada i przyjaciela rodziny Branntów, Cole'a Everetta, który miał dwoje dzieci i mieszkał na ranchu Big Spur. King i Cole często sprzedawali wspólnie byki rozplodowe i jeździli razem na konwenty hodowców bydła. Odalie Everett odziedziczyła jasne włosy i błękitne oczy po pięknej matce i chociaż właściwie nie była ładna, miała jednak cudownie liryczny głos, czysty i dźwięczny jak dzwonek. Brzmiał

podobnie do głosu jej matki, tyle tylko że Heather, zanim poślubiła przybranego brata Cole'a, była słynną śpiewaczką specjalizującą się w repertuarze współczesnym, natomiast Odalie przygotowywano do kariery operowej. Rodzice sprzeciwiali się stanowczo jakimkolwiek związkowi córki ze względu na jej aspiracje muzyczne. Uważali, że trudno byłoby jej pogodzić wymagającą wyrzeczeń karierę wokalną z posiadaniem rodziny. Głos Odalie wychwalali krytycy od Kalifornii po Nowy Jork i obecnie szkoliła się już w Metropolitan Opera. Cort, co zaskakujące, nigdy nie wyjawiał jej swoich uczuć. Udawał wręcz, iż nic do niej nie czuje, i od lat odnosił się do Odalie wrogo, zresztą z wzajemnością.

Morie wyrwała się teraz z tych wspomnień i wróciła do terażniejszości. Miała własne zmartwienia. Brat będzie musiał sam odnaleźć drogę do miłości. Ponownie skupiła uwagę na programie telewizyjnym. Właśnie skończyły się reklamy i na ekranie znów pojawiła się babcia.

Po obejrzeniu filmu Morie zerknęła w lustro i skonstatowała ze zdumieniem, że ludzko przypomina babcie z jej młodych lat. Gdyby nałożyła makijaż i odpowiednio się uczesała, można by ją wziąć za Marię Kane. Pomyślała, że wobec tego dobrze zrobiła, zaniedbując fryzurę i nie zabierając kosmetyków na Rancho Real. Tutejsi ludzie, którzy oglądają stare filmy, mogliby dostrzec to podobieństwo i zaczęliby zadawać kłopotliwe pytania.

Nazajutrz rano Darby wręczył jej telefon komórkowy.

- Szef kazał ci go dać i dopilnować, żebyś nosiła przy sobie, kiedy przebywasz sama na terenach rancza. Nadal masz w torbie przy siodle pistolet?

- Tak, mam. Złapali już tego zbiegłego mordercę?

- Nie. To myśliwy, zna tutejsze lasy jak własną kieszeń, wyżywi się tym, co upoluje. Długo potrwa, zanim go wytropią. Ma w okolicy krewniaków i szeryf podejrzewa, że niektórzy z nich pomagają mu się ukrywać.

- Na pewno bym nie pomogła zabójcy wyjętemu spod prawa - oświadczyła.

- A gdyby to był twój brat albo ojciec?

- Tu mnie masz. - Westchnęła. - To trudna decyzja.

- Ten zbieg ma kuzyna, który, jak uważa policja, go wspiera. Obserwują jego dom, są przekonani, że Bascomb ukrywa się u niego i dostaje wszystko, czego potrzebuje. - Darby potrząsnęła głową. - Ale ten kuzyn mieszka wiele kilometrów stąd. Nie sądzę, by Joe Bascomb pojawił się na naszym ranczu.

- Nie żywi żadnej urazy do braci Kirków? - spytała zaniepokojona.

- O ile wiem, nie. Tank wystąpił nawet jako świadek obrony na jego procesie. Nadal

uważa, że Bascomb jest niewinny.

- Co on zrobił?

- Zamordował człowieka, który, jak Bascomb twierdzi, pobił swoją dziewczynę. Twardo obstaje, że nie zamierzał go zabić. Ponoć tylko go uderzył, a tamten upadł, rąbnął głową o ścianę i to był koniec. Sąd mógłby to uznać za nieumyślne zabójstwo, ale dziewczyna ku zdumieniu wszystkich zeznała, że Bascomb walił głową tego mężczyzny o mur, pragnąc jego śmierci.

- Dlaczego miałyby kłamać?

- Durzyła się w Bascombie, ale on jej nie chciał, gdyż nadal kocha swą zmarłą żonę. Podobno błagała go, żeby jej pomógł, ponieważ boi się swojego faceta. Bascomb ją lubił, więc zjawiał się u niej. Tamten gość uderzył ją, a Joe stanął w jej obronie. - Darby westchnął. - Zachował się szlachetnie, uratował ją, a ona, jak twierdził, zemściła się na nim za to, że nie chciał się z nią związać. Oczywiście zaprzeczyła temu przed sądem. W efekcie uznano go winnym zabójstwa z premedytacją, za co grozi kara śmierci. Kiedy przewożono go do więzienia, uciekł, choć miał skute ręce i nogi, i ukrył się w lasach. Później znaleziono kajdanki i łańcuchy. - Uśmiechnął się. - Joe jest kowalem, więc łatwo się ich pozbył.

- Wygląda na to, że to uczciwy człowiek.

- Tak... Niestety wielu uczciwych ludzi idzie do więzienia z powodu fałszywych zeznań mściwych kobiet. - Spojrzał na zegarek. - Lepiej już jedź, bo nie zdążysz wrócić na lunch.

- Już ruszam. - Osiodłała konia i odjechała.

Gdy dowiedziała się, za co go skazano, już tak bardzo nie obawiała się zbiegłego zabójcy. Oczywiście musiał być zdesperowany, więc nie chciała się na niego natknąć, jednak potrafiła wczuć się w jego trudną sytuację. Niestety wyglądało na to, że nie ma dla niego ratunku. Trafi do więzienia na resztę życia albo umrze na krześle elektrycznym. Uważała to za niesprawiedliwe.

Nie odkryła nowych wyłomów w ogrodzeniu. Pogoda była cudowna, nie spełniły się prognozy zapowiadające opady śniegu. Wokół zieleń się bujna roślinność. Zrobiło się gorąco i Morie w końcu ściągnęła kurtkę.

Zatrzymała się przy strumyku, zamknęła oczy i wsłuchiwała się w szmer wody. Ogarnął ją spokój. Nagle trzasnęła gałązka. Morie odwróciła się błyskawicznie i rozejrzała. Na szczęście mocno trzymała wierzchowca za uzdę, gdyż wałach podskoczył spłoszony tym dźwiękiem. Cóż, konie to bardzo nerwowe stworzenia. Widziała kiedyś, jak młody ogier zerwał się z postronka, którym był uwiązany do pala, i przesadził płot tylko dlatego, że

dobiegł go odgłos upadającej w kuchni patelni.

- Co się stało, koniku? - spytała, rozglądając się czujnie.

Nic się nie poruszyło, a jednak postanowiła się wycofać. Wskoczyła na siodło i ruszyła galopem w kierunku rancza.

Po powrocie do domu udała się na poszukiwanie Mallory'ego. Był w kuchni, pił kawę z Mavie. Kiedy opowiedziała mu o tym zdarzeniu, zachmurzył się.

- Możliwe, że Joe tu się zjawił. Tank poparł go w sądzie i uważa za niewinnego. Ale jest zbiegłym więźniem skazanym za morderstwo. Jeżeli ty lub Tank mu pomożecie, poniesiecie surowe konsekwencje. Pamiętaj o tym.

- Nikogo nie widziałam, usłyszałam tylko trzaśnięcie gałązki, jakby ktoś na nią nastąpił. Pomyślałam jednak, że powinnam panu o tym powiedzieć, chociaż mogło to być jakieś zwierzę.

- Albo Joe Bascomb... Pamiętaj, zawsze miej oczy szeroko otwarte. Czy Darby dał ci tę komórkę?

- Tak. - Wyjęła telefon.

- Morie... - Popatrzył na nią przenikliwie. - Cane twierdzi, że kiedyś już chyba gdzieś cię spotkał. Kiedy o tym wspomniał, mnie również wydajesz się znajoma.

- Takie nieporozumienia często mi się zdarzają. To przez mój wygląd, wielu ludziom wydaję się znajoma. - Roześmiała się. - Tak samo jest z panem i pana bratem.

- Może nie osobiście. - Zmarszczył brwi. - Oglądaliśmy z Tankiem w telewizji stary film. Główną rolę gra aktorka, która później popełniła samobójstwo... Kane? Tak, Maria Kane. Właśnie do niej jesteś podobna.

- Naprawdę? - Uśmiechnęła się promiennie, by pokryć zmieszanie. - Dziękuję! Maria Kane była piękna i bardzo utalentowana. Też obejrzałam ten film. Lubię te stare, czarno-białe.

- Szczęśliwie, jak zamierzała, udało jej się odwrócić uwagę Mallory'ego.

- Ja również je lubię. Szczególnie cenię Randolpha Scotta, Gary'ego Coopera i Johna Wayne'a.

- A ja Bette Davis! - zawołała z zapalem.

- E tam... - Skrzywił się demonstracyjnie. - Twarda jak stal baba-chłop. Wolę delikatne kobiety.

Oczywiście Mallory celowo przesadził z tą „baba-chłopem”, jednak deklaracja o delikatnych kobietach mocno ją zaniepokoiła. Było oczywiste, że jego ideałem jest Gelly Bruner. Przecież kiedyś wspomniał, że bardzo mu się spodobała jasnowłosa aktorka z filmu o wilkołakach. Gelly też jest ładną niebieskooką blondynką. Morie pomyślała smętnie, że

z czarnymi włosami i oliwkową cerą nie ma u niego żadnych szans. Wprawdzie ją pocałował, ale nie wydaje się nią zainteresowany.

- Czy kiedykolwiek nosisz coś innego niż dżinsy i podkoszulki z nadrukami?

Zdumiało ją to niespodziewane pytanie, jednak odparła z kamienną miną:

- Trudno doglądać cielaków w wieczorowej sukni.

- Do licha, masz rację! - Roześmiał się.

- Ale mogłabym ją włożyć. Będzie jakaś odmiana.

- No i cielaki się ucieszą... O, posłuchaj.

Z salonu dobiegały dźwięki fortepianu. Z początku brzmiały łagodnie i miło, ale potem melodia się urwała i rozległ się głośny trzask.

- Cholera! - zaklął Tank.

Po chwili wszedł do kuchni i spojrzał na Morie.

- Nie mogę uchwycić rytmu kody. Może masz przy sobie iPoda z nagraną ścieżką dźwiękową z tego filmu?

- Nie, jest w baraku. Ale mogę ci ją zagrać.

- Umiesz grać na fortepianie? - spytał zdumiony.

Drgnęła, czując na sobie badawczy wzrok Mallory'ego.

- Trochę.

- Aha, trochę... - Tank chwycił ją za rękę, zaciągnął do salonu i posadził przy fortepianie. - Więc zagraj mi ten kawałek.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Podpatrzyłam tylko trochę w moim poprzednim miejscu pracy - zaprotestowała Morie, nie zamierzając wyjawiać, że przez wiele lat uczyła się gry na fortepianie. - Teraz pewnie nawet nie potrafiłabym zagrać oktawy.

- Umiesz czytać nuty? - naciskał.

- Tak, troszkę - odparła zmieszana.

- A więc jazda, graj.

Nie miała pojęcia, jak się wywikłać z tej niezręcznej sytuacji. Jeżeli bracia Kirkowie się zorientują, jak dobrze potrafi grać, zaczną zadawać mnóstwo kłopotliwych pytań. W college'u zaoferowano jej stypendium muzyczne, lecz odmówiła. Dla rodziców czesne to żaden wydatek, a stypendium mogło pomóc jakiemuś uzdolnionemu, ale biednemu studentowi.

Po krótkim wahaniu położyła smukłe palce na klawiaturze i spojrzała na rozłożoną przed nią partyturę. Odszukała stopą pedały, uniosła dłonie i zaczęła grać.

Stojący w drzwiach Mallory oniemiał, natomiast Tank z uśmiechem opadł na głęboki fotel. Po chwili zwabiony piękną grą Cane też wszedł do salonu i przysiadł na sofie.

Morie zatoneła w muzyce, grała z radosnym upojeniem. Od wielu tygodni nie miała kontaktu z fortepianem, a ten był najwyższej jakości i niedawno go nastrojono. Miał wspaniałe brzmienie, równie cudowne jak utwór, który Morie wykonywała z głęboką ekspresją.

Kiedy doszła do finałowego przejmującego crescendo i zagrała ostatnie nuty, w pokoju zapadła niczym niezmacona cisza, a potem rozległy się entuzjastyczne oklaski.

- Nie gram zbyt dobrze. - Wstała zarumieniona z zakłopotania. - Ale dziękuję.

- Jak na zwykłą pracownicę rolną jesteś pełna niespodzianek - stwierdził podejrzliwie Mallory.

- Każdy z nas ma jakiś wrodzony talent - odparła zmieszana. - Umiałam grać, odkąd sięgam pamięcią. Przez długi czas grałam ze słuchu, aż w poprzednim miejscu pracy pewna miła pani udzieliła mi kilku lekcji.

W rzeczywistości uczyła ją Heather Everett, która nie tylko znakomicie śpiewała, lecz także świetnie grała na fortepianie.

- I mówisz, że gdzie to było? - naciskał Mallory.

- Na ranchu Story nieopodal Billings - odparła gładko. Wybrała to rancho, bo



niedawno zostało sprzedane po śmierci właścicieli, więc nikt nie zdemaskuje jej kłamstwa. Poza tym zawsze mogła podać numer telefonu gospodyni, która obiecała potwierdzić jej wersję.

- Ach tak... - mruknął jakby rozczarowany Mallory.

- Właściciel był wytwornym starszym panem - rozwijała swoją historyjkę. - Miał fortepian i pozwolił mi na nim ćwiczyć. Jego śmierć bardzo mną wstrząsnęła. - Na pewno by tak było, gdyby go znała. Ojciec wyrażał się z wielką atencją o starym dżentelmenie, którego poznał na zjeździe hodowców bydła.

- Masz prawdziwy talent - stwierdził Cane. - Myślałaś o karierze pianistki?

- Zamknij się. - Mallory spiorunował go wzrokiem. - Nie zamierzam szukać nowej pracownicy do doglądania rasowych jałówek tylko dlatego, że ona... - wskazał Morie - odejdziesz, by podpisać kontrakt z wytwórnią płytową!

- Powinna wykorzystać talent! - zaoponował zapalczywie Cane. - Marnuje sobie życie, pracując za grosze, nadweręża się dźwiganiem konarów! Przypląci zdrowiem tę fizyczną harówkę. Jest za drobna na tak ciężką robotę. Przecież to chucherko!

Mallory również zdawał sobie z tego sprawę, ale zirytowało go, że brat mu to wytyka.

- Starala się o tę pracę! Nikt jej nie pędzi batem do roboty, sama tego chce! - zripostował.

- A ty to wykorzystujesz! - Rozjuszony Cane zerwał się na równe nogi.

- Mał, mógłbyś wysłać z nią kogoś do objazdów ogrodzenia. - Tank wszedł między braci, by zapobiec eskalacji konfliktu. Uśmiechnął się przy tym do Morie bezradnie przyglądającej się kłótni, którą mimo woli spowodowała. - Zresztą sam mógłbym z nią jeździć. Mam wystarczająco dużo wolnego czasu.

- Ja mogę - oświadczył Cane. - Ty musisz zajmować się marketingiem. Spośród nas trzech mam najwięcej czasu.

- Ona pracuje u mnie, do cholery! - warknął Mallory. - Słucha moich poleceń. Wy nie możecie jej ani zatrudnić, ani zwolnić! Problemy z pracownikami to moja działka!

- Nie jestem żadnym problemem! - Morie gniewnie tupnęła nogą. - Posłuchajcie, naprawdę nie mam nic przeciwko moim obowiązkom na ranczu. Doceniam waszą uprzejmość i troskę, ale ja tu pracuję jako robotnica.

Wbili w nią spojrzenia, a Cane powiedział:

- Twoje dłonie są nadzwyczaj cenne. Nie wolno ci narażać ich fizyczną pracą. - Mówił łagodnie i z pewną specyficzną nutą. Przecież sam stracił rękę.

- Wobec tego kupię jej parę cholernych rękawic! - burknął Mallory. - Chcecie, żebym

zatrudnił dla niej zastępcę do ciężkich robót, gdy sam haruję jak wół?

Morie miała tego serdecznie dość. Z opuszczoną głową ruszyła do drzwi, mówiąc przy tym cicho:

- Wracam do pracy. Przykro mi, nie zamierzałam sprawić kłopotów. - Zniknęła, nim zdążyli ją zatrzymać.

- No ładnie... Cholerny z ciebie dżentelmen! - Cane spiorunował wzrokiem Mallory'ego.

- Pójdę za nią - powiedział Tank.

- Nie, ja! - Cane ruszył do drzwi.

- Do diabła, co się z wami dzieje? - rzucił porywczo Mallory. - To tylko najemna pracownica, u licha! - A gdy bracia popatrzyli na niego gniewnie, dodał: - Już zapomnieliście, jak to było z Vanessą Wilkes?

- No tak... mruknął Cane.

- Masz rację, trzeba uważać, nim się komuś zaufa - dodał Tank.

- No właśnie. - Mallory ciężkim gestem przetarł twarz. - Kiedy ją przyłapaliśmy, podawała przez okno kochankowi nasze co cenniejsze pamiątki rodzinne. Była urocza, troskliwa i świetnie gotowała, dbała o nas jak nikt dotąd. Podczas śnieżycy, kiedy doglądaliśmy chorych byków i nie mogliśmy opuścić obory, przynosiła nam gorącą czekoladę i ciasteczka. Gotowała nam zupę, kiedy dyżurowaliśmy w nieogrzewanej szopie, zanim ceny bydła poszły w górę. A przez cały ten czas spoglądała poządliwie na cenne bibeloty, obrazy, srebrne zastawy, porcelany i kryształy, które od wielu pokoleń należą do naszej rodziny. - Widział po minach, że jego argumenty trafiały do braci. - Pamiętacie, że przyszła do nas ze świetnymi referencjami, tyle tylko że kiedy w końcu je sprawdziliśmy, okazały się sfalszowane. Próbowwała kłamać nawet wtedy, gdy przyłapaliśmy ją na gorącym uczynku. Mówiła, że jest niewinna, a do kradzieży zmusił ją kochanek. Twierdziła, że uwielbia u nas pracować i zrobi wszystko, jeśli tylko jej przebaczymy i przyjmiemy z powrotem. Zaproponowała nawet, że będzie zeznawać w sądzie przeciwko kochankowi.

- Ale miała kartotekę kryminalną grubą jak moje udo - powiedział Tank.

- I wybitny talent do łgania - dorzucił Cane.

- Omal nie straciliśmy rancza, ponieważ wytoczyła nam sprawę o zniesławienie i napastowanie seksualne.

- Na szczęście ława przysięgłych uwierzyła nam - dodał Cane.

- Tylko dlatego, że wynajęliśmy najlepszego w naszym Wyomingu i cholernie drogiego adwokata - sprecyzował Mallory. - Nie wolno nam obdarzać zaufaniem osób,

których nie znamy. Gelly nabrała poważnych podejrzeń wobec Morie. Opowiedziała o dwóch incydentach, którym Morie lekceważąco zaprzeczyła. Nie ufam jej. - Nie dodał jednak, że także szaleńczo jej pożąda, co sprawiało, że stawał się wobec niej bezbronny. Nie powinien jednak pozwolić, by rządził nim instynkt, bo to doprowadziło do zguby. - Z jakiegoś tajemniczego powodu udaje kogoś innego, niż jest w rzeczywistości. Potrafi przyrządzić eleganckie kanapki, zaplanować wytworne przyjęcie i gra na fortepianie jak profesjonalna pianistka. Takich umiejętności nie nabywa się w ubogich domach. Owszem, skończyła college, ale nauka dostępna jest dla wszystkich, są przecież stypendia. Lecz ona ma ten specyficzny szlif niedostępny rodzinom robotniczym.

- A zatem według ciebie z jakiej warstwy społecznej się wywodzi? - zapytał szorstko Cane.

- Sam pomyśl - odparł Mallory. - Kobieta próbuje wniknąć do bogatego domu, nie zdradzając prawdziwego pochodzenia, dlatego udaje, że nic nie wie o zamożnych ludziach, jednak doskonale zna ich styl życia, typowe nawyki i rozrywki, a przede wszystkim rozumie ich mentalność. Ta wiedza jest dla niej konieczna, skoro zamierza ich sobie zjednać. Następnie stopniowo ujawnia swoje talenty, aby wzmóc otaczającą ją aurę tajemniczości, aż wreszcie zostaje zaakceptowana. A jaki może być następny ruch? Ślub z milionerem? Okej, to jeszcze nie zbrodnia. Ale wszyscy pamiętamy Vanessę Wilkes...

- Wyciągasz pochopne wnioski - obruszył się Tank. - Gelly nastawiła cię przeciwko Morie.

- To możliwe, nie przeczę, ale jestem pewien, że Morie zataja przed nami prawdę o swoim pochodzeniu.

- To jeszcze nie znaczy, że knuje coś złego - zaproponował Cane. - Przez tę nieszczęsną Vanessę nieufnie patrzymy na młode pracownice, dlatego zatrudniliśmy Mavie, która nie jest ani młoda, ani piękna i nie czyni na nas zakusów. Ale Morie może być dobra i uczciwa.

- Albo wręcz przeciwnie - rzekł ponuro Mallory. - Zgadzam się, że nie powinniśmy z góry ferować wyroków, ale miejmy ją na oku. Nie obdarzajmy na wyrost zaufaniem, bacznie obserwujmy, jak każdego nowego pracownika.

Bracia musieli się z tym zgodzić. Morie ich urzekła, ponieważ była urocza, uczynna i uprzejma, ale to mogły być tylko pozory. Doświadczenie nauczyło ich, jak bardzo potrafią być łatwowierni.

- Masz rację - przyznał Cane.

- Zawsze ją mam - żartobliwie skomentował Mallory. - Jestem najstarszy.

- Ode mnie tylko o dwa lata - obruszył się Tank. - Nie masz się co tak puszyć.

- Lepiej wracajcie do pracy - odparł rozbawiony Mallory.

Morie była mocno podminowana i zmartwiona po kłótni braci. Głęboko zadumana poszła do siodlarni po siodło, bo musiała wyruszyć na objazd ogrodzenia, co zajmie sporo czasu. Miała do przebycia wiele kilometrów, bo ranczo Kirków było bardzo rozległe. Tak dużego, poza rodzinnym ranczem, nigdy jeszcze nie widziała.

Gdy wyszła z siodlarni, Darby przyjrzał się jej uważnie i spytał:

- Masz jakieś kłopoty?

- Mhm... - mruknęła niechętnie.

- Znowu z Mallorym?

- Nie tylko z nim. Wszyscy Kirkowie strasznie się pokłócili z mojego powodu. Do diabła, wcale tego nie chciałam! Tylko zagrałam na fortepianie...

- To ty grałaś? - wykrzyknął zaskoczony. - Myślałem, że włączyli płytę.

- Dzięki... - Speszyla ją ta lapidarna, ale jakże pochlebna recenzja. - Od dziecka brałam lekcje gry na fortepianie. Uwielbiam muzykę, uwielbiam grać. Tank, to znaczy pan Dalton Kirk, ma partyturę ścieżki dźwiękowej z filmu „Cudowne dziecko”, a kiedy się dowiedział, że umiem grać, poprosił, żebym mu ją zagrała. Więc to zrobiłam. Po tym moim występie panowie Tank i Cane Kirkowie orzekli, że moje dłonie są bezcenne - ironizowała - więc nie powinnam ich niszczyć pracą fizyczną. Na co Mallory, znaczy się pan Mallory Kirk wpadł w furję i powiedział, że zatrudnił mnie do roboty na ranczu...

- Domyślam się, co było dalej - rzekł cicho Darby. - Musiałaś poczuć się niezręcznie.

- Mało powiedziane, Darby. - Odetchnęła głęboko. - Mój Boże, gdybym wiedziała, że narobię takich kłopotów, nigdy bym nie zasiadła do fortepianu. Ale poczułam się cudownie, gdy znów mogłam dotknąć klawiszy, zagrać... - Uśmiechnęła się. - Od zawsze kocham muzykę. Umiem grać również na gitarze klasycznej, dawniej nigdy się z nią nie rozstawałam.

- Przymknęła oczy. - Kiedy zasypiam, słyszę sonaty. Uwielbiam prawie wszystkie utwory z muzyki klasycznej. Zwłaszcza Debussy'ego...

- Nie płacę ci za wygłaszanie pogadańek o muzyce - odezwał się zimno Mallory, stając w drzwiach.

Drgnęła i omal nie upuściła siodła.

- Przepraszam, szefie. - W takim pośpiechu ruszyła do stajni z siodłem na ramieniu, że niewiele brakowało, by potknęła się i upadła.

Darby położył dłoń na ramieniu Mallory'ego i powiedział z błyskiem w oczach:

- Niech pan przestanie. Ta dziewczyna ma już dość na dziś.

Mallory strząsnął jego rękę i rzucił gniewnie:

- Zostaw mnie w spokoju!

- Więc niech pan zostawi ją w spokoju. Na litość boską, proszę na nią spojrzeć!

Mallory niechętnie usłuchał. Morie trzęsącymi się rękami usiłowała osiodłać konia. Po jej policzkach spływały łzy. Serce Mallory'ego przeszył ostry ból.

- Cholera... - mruknął.

- Naprawdę, szefie, gdybym był na pana miejscu, dałbym jej spokój - naciskał Darby.

- A kiedy wieczorem wróci z objazdu, wie pan, co bym jej poradził? Znam paru ranczerów, którzy szukają pracowników...

- Trzymaj gębę na kłódkę! Albo sam stąd znikniesz! - przerwał mu ze złością Mallory.

- Do diabła, Darby, nie wtrącaj się. Taką mam dla ciebie radę!

- Mam się nie wtrącać? Owszem, przestanę, ale jak pan przestanie traktować Morie jak zarazę - odparował coraz bardziej zdenerwowany. - Na litość boską, to wprost niepojęte! Okropne, poniżające szykany... O co tu chodzi? Nigdy nie widziałem, żeby traktował pan tak jakąś inną dziewczynę!

- Nie jest już dziewczyną, tylko kobietą - odparował Mallory. Cóż, aż nazbyt dobrze o tym wiedział.

- Dziewczyna, młoda kobieta... Człowiek, szefie, człowiek! - W tonie Darby'ego było coś takiego, co nakazało szefowi milczeć i słuchać. - Do tego wartościowy człowiek, szefie... A już na pewno jest sto razy więcej warta od tej blond dzidzi, z którą się pan zadaje, szefie! - Darby wiedział, że tymi słowami zasłużył sobie na solidny cios w szczękę, i przyjąłby to z pokorą, jednak wciąż szczękę miał całą, dlatego kontynuował: - Pozwala pan, by Gelly podjudzała pana przeciwko Morie. Wsączyła w pana podejrzenia, dlatego dopatruje się pan podstępów w każdym uczynku Morie. A wszystko dlatego, że pana i pańskich braci oszukała ta Vanessa Wilkes. Ucierpiała wasza duma i odtąd podejrzewacie każdego, nawet biednego poczciwego Harry'ego. Do diabła, przecież on nie ukraść żadnej wiertarki! - Darby fuknął gniewnie na wspomnienie tamtego zdarzenia. - Pańska przyjaciółka Gelly była w baraku mieszkalnym tuż przedtem, zanim powiedziała panu, że widziała, jak ją zwędził. Wrobiła go, a pan jej na to pozwolił.

- Dość tego! - ryknął Mallory. - Harry Rogers był winny.

- Może pan mnie zwolnić, ale najpierw i tak powiem swoje. - Znów w jego głosie pojawiła się nuta, która kazała Mallory'emu milczeć i słuchać. Darby był mądrym, szlachetnym i wykształconym człowiekiem, który z ważnych powodów wybrał życie kowboja. - Harry w niczym nie zawinił, jest uczciwy, złodziejstwo to coś całkiem mu obcego, wiedział jednak, że nie przekona pana o tym, dopóki będzie przy panu ta cała Bruner. Odszedł

więc stąd z łatką złodziejaska, a to bardzo boli, nawet gdy człowiek wie, że nic złego nie zrobił. Ale Gelly Bruner gustuje w przyszywaniu poniżających łatek innym ludziom i wypędzaniu ich z Rancho Real. - Znow fuknął gniewnie. - Teraz próbuje to zrobić Morie, zmusić ją, żeby się stąd wyniosła. - Darby wyprostował się, popatrzył szefowi prosto w oczy. - Widywałem w życiu ludzi dobrych i złych i zapewniam, że potrafię ich odróżnić. Ostrzegałem pana przed Vanessą, ale pan w ogóle mnie nie słuchał, przerywał w połowie zdania, mówił, że zniżam się do paskudnej obmowy. No i wyszło na moje. Nie mówię tego z satysfakcją, że jaki to mądry ze mnie facet, mądrzejszy od pana. Nie, szefie, to nie tak. Żyję dłużej, więcej widziałem, to wszystko. Więc proszę, niech pan znow nie zlekceważy mojej opinii. A jest ona taka, że Morie w niczym nie przypomina tej nieszczęsnej Vanessy. Jest jak szczerze złoto, uczciwa, dobra i miła. Jeżeli nie będzie pan ostrożny, zrujnuje pan jej życie, a być może również swoje. Proszę, niech pan przynajmniej rozważy moje słowa. Morie...

- Morie nie jest taka, jaką się wydaje - rzekł z uporem Mallory.

- A kto jest? - odparł Darby. - Każdy z nas ma swoje tajemnice, ale czy jest w tym coś złego? Ważne, jacy jesteśmy wobec innych i jak traktujemy dziesięć przykazań... A Morie nie jest żadną oszustką. Owszem, ucieka przed czymś, to po prostu się czuje, choć nie wiem, przed czym tak bardzo ucieka, że aż wylądowała tutaj, w obcym dla niej świecie. Powiem panu tylko tyle: kiedy się tu zjawiała, nie miała pojęcia o pracy na ranczu.

- Co takiego?!

- Desperacko potrzebowała tej roboty, dlatego nauczyłem ją wszystkich obowiązków, odkażania i cechowania bydła, układania siana w stogi, sprawdzania ogrodzenia i pomagania przy cieleniu się krów. Musi pan przyznać, że stała się jedną z najlepszych robotnic, jakie kiedykolwiek mieliśmy. Pracuje, nie patrząc na zegarek, i nigdy na nic się nie skarży. - Oczy mu się zwężyły, skrzywił wargi w nikłym uśmiechu. - I pan uważa, że ktoś taki mógłby być nieuczciwy? Czy wówczas nie narzekałaby przy każdej nadarzającej się okazji i nie usiłowała wymigać się od ciężkiej pracy?

- Sam nie wiem - wyznał Mallory. - Vanessa sprawiła, że przestałem ufać swoim osądom. Nie jestem już pewien, czy potrafię trafnie oceniać ludzi. - Westchnął ciężko. Nie była to dla niego łatwa do strawienia prawda.

- Jeśli chce pan być podejrzliwy, niech się pan uważnie przyjrzy tej Bruner. Dałbym sobie głowę uciąć, że coś z nią jest nie w porządku.

- To tylko przyjaciółka - mruknął Mallory.

- Ona tak nie uważa. Chce pana usidlić. Gdy pan nie widzi, strasznie się tu szarogęsi, no i straszna z niej intrygantka. I na pewno znajdzie jakiś sposób, żeby pozbyć się Morie.

Niech pan zapamięta moje słowa. To zły człowiek, kobieta fałszywa, wredna i podstępna. Dla swojego dobra niech się pan jej pozbędzie, dobrze panu radzę. Teraz ma na celowniku Morie, a co będzie dalej?

- Gelly nie ma tu nic do powiedzenia. To moje ranczo i ja decyduję o zatrudnianiu i zwalnianiu pracowników.

- Tak pan myśli? No cóż, zobaczymy. A tymczasem może pan odpuści Morie, co? Bóg jeden wie, przez co musiała przejść w życiu. Na Boga, w rezultacie trafiła tutaj do pracy, której nigdy nie zamierzała wykonywać. Serce mi się kraje, gdy widzę to głębokie zadrapanie na jej twarzy. Ma nieskazitelną cerę. Powinna być modelką.

Mallory spochmurniał. Dotychczas nie rozmyślał ani o cerze, ani o pochodzeniu Morie. Trapiło go jedynie to, czy może być wyrachowaną oszustką. Będzie musiał lepiej się jej przyjrzeć. Owszem, był podejrzliwy i nie ufał swojemu osądowi, lecz zarazem wierzył, że Darby doskonale zna się na ludziach.

Klepnął go w ramię, po czym powiedział przyjaźnie:

- Z nikim oprócz ciebie nie mógłbym pogadać tak szczerze, stary piracie. Za takie słowa ktoś inny mógłby nawet oberwać w dziób.

- Zawsze powiem panu prawdę, szefie. - Darby uśmiechnął się szeroko. - Nawet jeśli się panu nie spodoba.

Mallory westchnął. Postanowił odszukać Morie. Odjechała galopem, wciąż była zapłakana. Czuł się jak podlec.

- Chyba wybiorę się na przejażdżkę - oznajmił.

- Dobry pomysł, szefie - rzekł z uśmiechem stary brygadzysta.

Morie zatrzymała się przy strumieniu i zsiadła z konia. Otarła łzy chusteczką i przemyła twarz. Była na siebie wściekła. To idiotyczne, że pozwoliła, by ten okropny człowiek doprowadził ją do płaczu! Powinna była go kopnąć, a jeszcze lepiej huknąć w pysk, i powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić tę pracę na tym cholernym ranczu. Tak postąpiłby jej ojciec. Nigdy nie rozczulał się nad sobą, tylko brał życie za bary. Spróbowała wyobrazić go sobie, jak duma smętnie czy płacze, lecz sama myśl o tym bardzo ją rozbawiła. Lwy nie płaczą, tylko z rykiem rozszarpują ofiarę!

Usłyszała stukot kopyt. Była pewna, że przyjechał Darby, jednak gdy się odwróciła, zobaczyła szefa. Miał dziwnie skruszoną minę. Oparł rękę na łęku i utkwiał przenikliwe spojrzenie czarnych oczu w jej twarzy, z której nie zdołała zmyć śladów po łzach.

- Może rzeczywiście mówiłem do ciebie za ostro - odezwał się sztywno.

Wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok, po czym powiedziała:

- Pracuję tutaj, a pan jest szefem.

- Tak, ale... - Urwał i gwałtownie wciągnął w płuca powietrze. - Dlaczego mi się nie przeciwstawiłaś, tylko uciekłaś?

Najpierw rzuciła mu gniewne spojrzenie. Bardzo wymowne i bardzo deprecjonujące. Efekt był taki, że skruszony Mallory Kirk poczuł się jeszcze bardziej podle.

- Spowodowałam już dość zamieszania jak na jeden dzień - powiedziała wreszcie, a głos miała stanowczy. - Nie takie miałam intencje, ale nie mam wpływu na to, co się dzieje. Zupełnie jakbym była marionetką w zwariowanym teatryku, a to bardzo mi nie odpowiada. Dlatego postanowiłam zrezygnować...

- Nie! - Błyskawicznie zeskoczył z konia i złapał Morie za ramiona.

W panującej leśnej ciszy słyszała szaleńcze bicie swego serca, gdy przez długą chwilę Mallory wpatrywał się jej w oczy. Rozchyliła wargi, by złapać oddech, kulila się spłoszona.

Jej bezradna reakcja go wzruszyła. Morie z pewnością nie umiałaby udawać tego, co w niej się dzieje. Wiedział już, że jest nim zafascynowana, lecz to ją przerasta, nie ogarnia swoich emocji.

Puścił jej ramiona i pieszczotliwym gestem przesunął dłońmi wzdłuż rąk. Miała na sobie bawełniany podkoszulek z długimi rękawami, lecz wydał mu się atłasem.

- Jesteś dla mnie jedną wielką zagadką - powiedział wolno głębokim głosem. - Co bardzo mi się nie podoba.

Przycisnęła dłonie do koszuli Mallory'ego, pod którą wyczuła muskularną, owłosioną klatkę piersiową. Wdychała woń jego skóry pachnącej leśną wodą kolońską i męskim mydłem. Sama bliskość tego mężczyzny przyprawiała ją o rozkoszne ciarki na całym ciele. Podniosła wzrok na zmysłowe usta, które kiedyś ją pocałowały. I to jak pocałowały! Tak bardzo pragnęła, by uczynił to ponownie...

- Do diabła! - rzucił z pasją, gdy wyczuł pożądanie Morie, potwierdzone jej pełnym urzeczenia spojrzeniem.

- Och... - Po co klął? Dlaczego się wściekał?

Nie miała jednak czasu, by znaleźć odpowiedź, bo przycisnął wargi do jej warg i pocałował namiętnie. Ogarnięty zmysłowym pragnieniem, objął ją i niecierpliwie przyciągnął do siebie.

Chciała zaprotestować, lecz ciało ją zdradziło. Jęknęła, przytuliła się do Mallory'ego i żarliwie odwzajemniła pocałunek.

Wziął ją na ręce i położył na trawie. Poczwała na sobie ciężar jego mocnego, ciepłego ciała. Wcisnął kolano między jej nogi i rozsunął je.



- Dobry... Boże - wyjąkał, gdy załała go fala rozkoszy.

Wsunął dłonie pod jej bluzkę i biustonosz i poczuł pod palcami małe, jędrne piersi z wyprężonymi sutkami, a potem, gdy podciągnął podkoszulek, dotknął ich ustami.

Zaczął je ssać. Wiła się pod nim, krzyczała. Pomyślał, że sprawił jej ból i chciał unieść głowę, lecz Morie żarliwym gestem przyciągnęła ją z powrotem do swoich piersi.

Smakowała słodko jak miód. Mallory ocierał się o Morie w powolnym, zmysłowym rytmie, który stawał się z każdą chwilą coraz bardziej natarczywy. Uniósł jej biodra i przycisnął ją do nabrzmiewającej męskości.

Z gorączkowym pośpiechem rozpiął guziki bluzki, rozchylił ją i poczuł na nagiej skórze dotyk piersi Morie. Znów zmiądzzył jej wargi w gwałtownym pocałunku. Desperacko pragnął ją mieć. Musiał! Nie mógłby już przestać, nie teraz!

Ona też nie. Nigdy dotąd nie doświadczyła równie intensywnej namiętności, dlatego nie była w stanie zaprotestować. Pragnęła poznać Mallory'ego jako mężczyznę, jako kochanka, poczuć go głęboko w sobie. Pragnęła, by ją posiadał, zawładnął nią. Chciała... mieć z nim dziecko!

Nieświadomie wypowiedziała na głos te ostatnie słowa. Zdała sobie z tego sprawę, dopiero gdy Mallory oderwał się od niej desperacko i jęknął z niezaspokojenia, jakby dręczony piekielną męką. Cóż, był nią dręczony, bo naprawdę poczuł się jak w piekle, do którego spadł prosto z nieba.

Wstrząśnięta leżała, ciężko dysząc. Zaczynało do niej docierać, jak daleko się posunęli. Skuliła się i pośpiesznie wygładziła ubranie, drżąc z powściąganego pożądania. Wstała niepewnie i odwróciła wzrok od Mallory'ego. Przerazało ją, że całkiem straciła hamulce. Gdyby nie nagła reakcja Mallory'ego... Słodki Boże, tak niewiele brakowało!

Wzdrygnęła się nerwowo. Wciąż nie mogła się zmusić, by na niego spojrzeć, chociaż wiedziała, że także się podniósł. Słyszała jego chrapliwy oddech, gdy próbował się opanować.

Spojrzał na jej sztywno wyprostowane plecy i zaklął szpetnie. Trwało chwilę, zanim rzucił szorstko:

- A więc tak to sobie wymyśliłaś. Chciałabyś dziecka, tak? Na pewno się nie zabezpieczasz, to jeden z punktów twojego planu, prawda? Uwiedziesz szefa, zajdziesz z nim w ciążę i jesteś ustawiona na resztę życia. Tak to miało wyglądać?

Popatrzyła na niego zszokowana i okropnie zażenowana, po czym znów odwróciła wzrok. Cóż mogła odpowiedzieć na takie oskarżenie? Tylko tyle:

- Wyrwało mi się... nieświadomie.

- Owszem, wyrwało ci się przypadkiem, ale myśl była całkiem świadoma - odparł

z chłodną drwiną, uśmiechając się nieprzyjemnie. - Sprytny plan, nie przeczę, tyle że dobrze poznałem kobiety i nie tak łatwo mnie podejść.

- To wcale nie tak... - Oblała się jeszcze głębszym rumieńcem.

Zmierzył ją długim, pogardliwym spojrzeniem, a na koniec rzucił ze zjadliwą ironią:

- Jasne, nie tak...

Podniósł kapelusz, który wcześniej cisnął na ziemię, otrzepał go i nasunął na oczy, a potem podszedł do swojego konia, który oddalił się nieco i skubał zieloną trawę. Dosiadł go i wbił wzrok w Morie, ale ani na niego nie spojrzała, ani się nie odezwała, tylko wsiadła na wałacha i bez słowa odjechała.

Wiedziała, że musi opuścić ranczo. Mallory aż nazbyt jasno wyraził swoją opinię o niej. Niejasne było dla niej jedynie to, dlaczego nagle zaczął całować ją tak namiętnie. Nie sprowokowała go do tego. A może jednak? Niewątpliwy pociąg, jaki do niego odczuwa, sprowadzi na nią katastrofę. Mallory już wcześniej żywił wobec niej podejrzenia, podjudzony przez przyjaciółkę, a teraz, gdy wyrwało się jej to kłopotliwe wyznanie, z pewnością uzna ją za awanturnicę i naciągaczkę.

Widocznie do głosu doszła jej podświadomość, gdyż świadomie nigdy nie myślała o założeniu rodziny. Ale myśl o posiadaniu dziecka z kimś tak męskim i atrakcyjnym jak Mallory Kirk...

A także upartym, podejrzliwym, gburowatym i opryskliwym, dodała mściwie w duchu. I właśnie z kimś takim chciałaby mieć dziecko! Z upartym jak osioł gburom!

Dotychczas nigdy nie doświadczyła takiej namiętności i pożądania. Nigdy też nie myślała o małżeństwie i urodzeniu dzieci. Choć nie, takie nieśmiałe myśli rodziły się jej w głowie, gdy była przekonana, że zakochuje się w wytrwale zabiegającym o nią księgowym. Aż wreszcie poznała jego prawdziwe pobudki i ledwie pączkująca miłość rozviała się jak mgiełka na wietrze. Teraz jednak zdała sobie sprawę, że tak naprawdę nic do niego nie czuła, mgiełka nie przeradzała się w nic trwalszego, choć przecież powinna, skoro spotykali się regularnie i wybiegali myślami w przyszłość. Boże, gdyby wpakowała się w ten związek... Fuknęła gniewnie. Cholerny księgowy, by dorwać się do pieniędzy jej ojca, na wszelkie sposoby próbował ją usidlić. Dlatego tak bardzo nalegał na seks. Wyznał przy tym, że nie muszą się zabezpieczać, bo pragnie mieć z nią dzieci, i to jak najprędzej. Ileż liryzmu i emocji było w jego głosie, gdy to mówił! Cóż, gdyby uległa, byłaby ugotowana... Na szczęście wykazała dość rozsądku, by nigdy nie pójść z nim do łóżka.

Mallory myśli teraz o niej dokładnie tak samo, jak niegdyś ona o swym niedoszłym kochanku. Ten księgowy - wciąż nie potrafiła zmusić się do tego, by choćby w myśli

wymówić jego nazwisko - chciał schwytać ją w pułapkę małżeństwa. Mallory sądzi, że uknuła taki sam niecny plan. Czuła się tym upokorzona.

Powinna bardziej nad sobą panować... tylko że on tak niebiańsko całuje. A pocałunki bardzo szybko przestały im wystarczać. Gdyby nie wyrwała się jej szokująca uwaga o dziecku, gdyby on w porę się nie cofnął...

Zaczerwieniła się na wspomnienie cudownych pieszczot. Nie mogła pozwolić, by taka sytuacja kiedykolwiek się powtórzyła. Zresztą nie zabawi już długo na ranczu. Z szefem układa się jak najgorzej, zrodziły się bardzo złe emocje, do tego mimowolnie stała się przyczyną niesnasek między braćmi, skłóciła ich. Wystarczy! Jej obecność w Rancho Real powoduje tylko problemy. Musi stąd wyjechać. Natychmiast, jeszcze dziś!

Tak, to słuszna decyzja, powiedziała sobie. Zawróciła konia i skierowała go w stronę rancza. Jednak w ostatniej chwili opuściła ją determinacja. Nie potrafiła się zmusić, by to zrobić. Zostanę tu tylko jeszcze trochę, przyrzekła w duchu. Najwyżej kilka dni, żeby popatrywać na Mallory'ego z oddali, słyszeć go i marzyć o nim. Co to szkodzi?

Zawróciła ponownie i pojechała w kierunku ogrodzenia.

Minęło kilka dni bez żadnych incydentów. W tym czasie Mallory zamienił z Morie zaledwie parę słów, a polecenia przekazywał za pośrednictwem Darby'ego, który bardzo był tym zakłopotany.

Cane odszukał ją w chatce przy pastwisku, skąd przez cały dzień pilnowała krów. Z niejakim trudem zsiadł z konia i podszedł do ganku. Morie jadła placek posmarowany masłem i popijała kawą z termosu.

- Witam - odezwała się do niego pogodnie. - Mogę podzielić się z panem lunchem.

- Niestety muszę odmówić, ale dziękuję za propozycję. Dopiero co zjadłem wielką kanapkę z pieczenią wołową i frytki domowej roboty.

Z teatralną dezaprobatą popatrzyła na swój placek, po czym skomentowała żartobliwym tonem:

- Wiedziała, że nie odżywiam się właściwie. Gdzie tam takiemu placuszkowi do mięcha i fury frytek.

Z uśmiechem zsunął kapelusz z szerokim rondem na tył głowy i zmierzył Morie przenikliwym spojrzeniem.

Wiedziała, że czas żartów się skończył, Cane zjawiał się tu z jakąś misją.

I nie pomyliła się, bo spytał prosto z mostu:

- Co się dzieje między tobą a Małem?

Mimo wszystko nie była na to przygotowana. Drgnęła i wychlapała kawę na dzinsy,

myśląc przy tym trochę bez sensu, że nie szkodzi, bo i tak są brudne.

- Co... co pan ma na... na myśli? - Owszem, starała się mówić opanowanym głosem, lecz wyszło, jak wyszło. A jakby tego było mało, przyplątał się jeszcze zdradliwy rumieniec.

- A więc to tak... - Cane pokiwał głową. - No cóż, już wszystko rozumiem...

- Nie, nie rozumie pan! - zaprzeczyła gwałtownie. - Między nami nic się nie dzieje.

Absolutnie nic!

- Dlatego że on jest właścicielem rancza, a ty tylko najemną pracownicą? - zapytał, opierając się o słup ganku. - Nie jesteśmy rodziną królewską.

- Ale równie dobrze moglibyście być - odparła złośliwie.

- Zaraz... Akurat tego nie rozumiem.

- Jego Wysokość Mallory Kirk jest przekonany, że dybię na jego pieniądze. I chcę zostać królową Rancho Real - dodała kwaśnym tonem.

- Czyżby? - spytał Cane. Wcale nie był rozbawiony, tylko mocno poruszony.

- Żartuję sobie z tego, bo co mam innego robić? Choć wcale nie jest mi do śmiechu. Zapewniam pana, że na nic nie dybię - oświadczyła z godnością. - Jednak pański brat uważa inaczej. - Uniosła dumnie głowę. - To obraźliwa insynuacja, panie Kirk. Niestety nie mam jak się jej przeciwstawić, bo chodzi nie o twarde fakty, ale o opinię. A panna Bruner zadbała o moją opinię, o czym na pewno doskonale pan wie. A pański brat ulega jej podszeptom, widzi mnie jej oczami. I nie są to łaskawe dla mnie oczy, bo przecież panna Bruner mnie nienawidzi.

- Trudno tego nie zauważyć - mruknął Cane.

Popatrzyła na niego z powagą, po czym rzekła porywczo:

- Niech pan się jej dobrze przyjrzy, dobrze panu radzę. Bo ona udaje kogoś, kim nie jest.

- Zaraz... - Uniósł brwi. - Teraz to ty coś insynuujesz. Bo niby skąd to wiesz?

- W przeciwieństwie do panny Bruner opieram się na twardych faktach, panie Kirk.

- To znaczy?

- Po pierwsze nosi stroje w kolorach, które obowiązywały w zeszłym roku. Po drugie jej ulubione pantofle są tragicznie niemodne, podobnie jak biżuteria. A torebka, chociaż znanej firmy, też nie jest nowa.

- Słucham? - Brwi Cane'a podjechały jeszcze wyżej. - Skąd to wiesz? - powtórzył.

Poruszyła się nerwowo, zaraz jednak się opanowała i oznajmiła:

- Mam przyjaciółkę modelkę. - Tak naprawdę mówiła o matce, która zarazem była jej najlepszą przyjaciółką. - Wiem, co jest stylowe i modne, a co nie, natomiast panna Bruner nie

ma o tym zielonego pojęcia. Pewnie uważa, że mężczyźni i tak nie znają się na najnowszych trendach mody, więc się nie zorientują.

- Cóż, tak z nami już jest - skomentował Cane.

- Na ogół, o ile wiem... W każdym razie panna Bruner pozuje na kobietę z wyższej sfery, ale coś w niej jest nie tak. Zdecydowanie nie tak, panie Kirk. - Zamilkła na moment. - Chce pan usłyszeć moją radę?

- Owszem...

- Proszę wynająć prywatnego detektywa, który sprawdzi jej pochodzenie. Założę się, że odkryje coś interesującego.

Zapadła chwila ciszy, wreszcie Cane zaczął:

- Gdy tak mówisz... - Przerwał na moment. - Dlaczego nie powiesz tego Malowi?

- Och, jasne, na pewno by mnie wysłuchał - rzuciła zgryźliwie. - Ma ustaloną opinię o mnie. Według niego jestem podstępą intrygantką i naciągaczką.

- Morie, to wszystko jest cholernie pogmatwane. - Westchnął ciężko. - Ty też nie jesteś tą osobą, za którą się podajesz, prawda?

- Owszem. - Uśmiechnęła się cierpko. - Każdy ma prawo do swoich tajemnic, o ile nie ukrywa się za nimi zło. Wtedy trzeba je demaskować. Natomiast ja jestem uczciwa. Nie uciekam przed prokuratorem ani nie planuję kradzieży. Nie pociąga mnie kryminalna droga, nie kieruję się też cynizmem czy zimnym wyrachowaniem, nie manipuluję ludźmi. Brzmi to jak laurka, lecz taka jest prawda. - Tym razem uśmiechnęła się ciepło. - Przed tym wszystkim chroni mnie coś jeszcze. Mam kuzyna, który służy w teksańskiej straży. Znam go od dzieciństwa i zawsze podziwiałam. Gdybym popełniła jakieś przestępstwo, wyrzekłby się mnie, podobnie jak moi rodzice.

- Więc dlaczego podjęłaś tu pracę?

- Zdziwiłby się pan, gdybym to wyjawiała.

- Być może... - Zawahał się. - Chcesz, żebym ci towarzyszył przy objeździe ogrodu? Mam trochę wolnego czasu. Ten zabójca nadal przebywa na wolności. - Spowaźniał. - Nie chciałbym, żeby spotkało cię coś złego.

- Dziękuję panu - powiedziała ciepło, miło zaskoczona jego troską. - Ale poradzę sobie. Mam telefon komórkowy, który szef uprzejmie mi dostarczył, a także rewolwer Darby'ego. Nic mi się nie stanie.

Rozważał jej słowa przez chwilę, wreszcie powiedział:

- No dobrze, skoro tak mówisz... Aha, ten twój placek... Naprawdę nazywasz go lunchem?

- Wiem, wiem. Lunch to mięcho i frytki - odparła rozbawiona. - Ale ten placek jest bardzo smaczny. Mawie go dla mnie usmażyła.

- To wspaniała kucharka.

- Tak. Jeszcze raz dziękuję.

- Nie ma za co. - Dosiadł konia, uchylił kapelusza i odjechał.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Morie czuła się zażenowana swym uczuciem do Mallory'ego. Było takie bezsensowne, pozbawione wszelkich szans na realizację w prawdziwym świecie. Marzenia pensjonarki, nic więcej.

Miała też inny kłopot, mianowicie Gelly Bruner wciąż się wtrącała i okazywała jej jawną wrogość, która wyglądała na prawdziwą obsesję. Nienawidziła jej z całej duszy i niewątpliwie znajdzie jakiś sposób, by przysporzyć kolejnych kłopotów. To nie znaczy, że Morie zamierzała ustąpić bez walki. W najgorszym razie zawsze może ujawnić prawdę o sobie. Tyle tylko że wówczas Mallory, który nie cierpi łgarstw, uzna ją za skończoną kłamczuchę i najpewniej nie będzie chciał jej więcej znać.

Dokończyła jeść zimny placek, wypila resztę stygnącej kawy i westchnęła. Gdy już miała wstać, usłyszała trzaśnięcie gałązki, a potem miarowy odgłos kroków. Każdy myśliwy wie, że idąc w taki sposób, zdradzi się przed tropioną zwierzyną. Zwierzęta nigdy tak się nie poruszają, a gdy słyszą miarowe kroki, od razu wiedzą, że zbliża się człowiek, zanim jeszcze poczują jego zapach.

Popatrzyła na wałacha. Pistolet był w torbie przy siodle. Szczęśliwie miała w kieszeni komórkę. Wstała, wyjęła ją i usiłowała włączyć, gdyż akurat teraz musiała być wyłączona!

- Nie rób tego!

Był to rozkaz wypowiedziany twardo, groźnie.

Odwróciła się szybko, przestraszona i zszokowana. Zaledwie kilka metrów od niej stał jasnowłosy mężczyzna uzbrojony w strzelbę myśliwską.

Zadrzała i upuściła komórkę, przerażonym wzrokiem patrząc na broń. Przemknęło jej przez głowę, że nie zrobiła w życiu niczego bardzo złego, więc chyba nie trafi po śmierci do królestwa Lucyfera.

Milczała, bo co miałyby powiedzieć? Ten człowiek albo ją zabije, albo nie. Wpatrzyła się w wylot lufy strzelby, który wydawał się jej olbrzymi. Podniosła rękę i czekała.

Lecz ku jej zaskoczeniu agresor nie strzelił, tylko opuścił broń i spytał:

- Dokąd pojechał Tank?

- Taa...taa...ank? - wyjąkała.

- Tank Kirk - poprawił szorstko, a niebieskie oczy błysnęły.

- To nie był Tank, tylko Cane - powiedziała już bez dukania. - Zjawił się, by mi zaproponować, że pojedzie ze mną na inspekcję ogrodzenia, ponieważ w okolicy przebywa

zbiegły morderca.

- Morderca! - powtórzył szyderczo. - Sąd tak orzekł, więc nim jestem, prawda?

- Nn...nie jestem są...sądem. - Znów zaczęła się jąkać. Serce waliło jej szaleńczo. - Pan jest...

- To był wypadek! - przerwał jej gwałtownie. - Ten dureń upadł na ścianę, a jego jeszcze głupsza dziewczyna skłamała, że celowo go zabiłem. Zemściła się na mnie, gdyż wiedziałem, jakie z niej ziółko, i nie chciałem mieć z nią nic wspólnego.

- Joe Bascomb to... to pan... - wyjąkała.

- Niestety tak - odrzekł z westchnieniem. - Masz coś do jedzenia? Rzygam już od królików i wiewiórek. Kiepska pora roku, by upolować coś innego. Ale trzeba coś jeść.

- Mam tylko placek. Przepraszam, ale wypiliśmy już całą kawę. Została mi butelka wody. - I dodała uprzejmie: - Proszę się częstować, panie Bascomb.

- Dziękuję... - Odstawił strzelbę, ugryzł kęs placaka i przyknuł oczy z rozkoszy. - Pewnie usmażyła go Mavie. Nie ma lepszej kucharki od niej.

Błyskawicznie pochłonął placek i wypił pół butelki wody. Morie przyglądała mu się z nieskrywaną ciekawością. Już się nie bała. Nie wyglądał na mordercę. Nie chodziło oczywiście o rysy twarzy, bo to żaden dowód. Joe Bascomb nie był mordercą, bo nie emanował złem. Po prostu czuła jego fluidy i niech to wystarczy za wyjaśnienie.

Gdy pochwyił jej spojrzenie, parsknął krótkim śmiechem.

- Nie zamierzałem utkwic w więzieniu o zastrzonym rygorze, podczas gdy mój adwokat będzie przeciągał sprawę, składając kolejne apelacje. Nienawidzę małych pomieszczeń, do tego zamkniętych na klucz. Boże, jak ja tego nienawidzę! Na samą myśl, że mieliby mnie zapuszkować z powodu podłej, mściwej suki...!

- Gdyby pan miał dobrego obrońcę, mógłby w sądzie wziąć ją w krzyżowy ogień pytań i zdemaskować jej kłamstwa - zauważyła Morie.

- Dostałem obrońcę z urzędu, a bywają różni. Mnie trafiła się potulna i łagodna kobiecina. No i rozegrał się spektakl pod tytułem: Solidarność płci. Bo ta moja pani adwokat uważa, że kobiety z zasady są w sądzie traktowane gorzej, po prostu nękanie, dlatego unikała tego wszystkiego, co mogłoby urazić nieskalane uczucia mojej oskarżycielki - powiedział z bolesną drwiną. - Dlatego właśnie sąd z czystym sumieniem mógł orzec, że jestem mordercą.

- Trzeba było poprosić o przydzielenie innego obrońcy.

- Tak zrobiłem, ale nie mieli nikogo na zastępstwo. - Westchnął ciężko i gwałtownym gestem przegarnął włosy. - Obiecała, że złoży apelację, bo w końcu, kiedy już mnie skazano,



uwierzyła w moją niewinność. Powiedziała, że mi współczuje. - Popatrzyl gniewnie na Morie.  
- Współczuje! Dostanę wyrok śmierci, a ona mówi, że mi współczuje!

- Ja też panu współczuję - rzekła łagodnie Morie. - System wymiaru sprawiedliwości zazwyczaj funkcjonuje prawidłowo, jednak zagrożeniem dla niego są ludzie. Po prostu bywają nieprzewidywalni. Świadkowie kłamią pod przysięgą, sędzia ma zły humor i nie potrafi nad tym zapanować, prokuratorowi się śpieszy, pani adwokat okazuje się naiwną feministką, przez co działa na pana niekorzyść... Dlatego zdarzają się pomyłki.

- A ty niby skąd o tym wiesz? - burknął.

- Mój stryj jest sędzią sądu okręgowego w Teksasie.

- Imponujące.

- Owszem. Kiedy jeszcze był adwokatem, sporo czasu przeznaczal na pomoc tym, których nie stal bylo na oplacenie fachowego prawnika. Od lat głosi przy różnych okazjach, że każdy ma prawo do należytej obrony, co niby jest banałem, niestety w realnym życiu bywa różnie.

- Nic dodać, nic ująć. Szkoda, że twój stryj nie prowadzi procesów w Wyomingu - mruknął Bascomb.

- Powinien pan oddać się w ręce policji - poradziła. - Ucieczka tylko pogorszy pańską sytuację.

- Nie może już być gorzej. W ubiegłym roku straciłem żonę. Zmarła na atak serca. Miała zaledwie dwadzieścia dziewięć lat. Rzadko się zdarza, by ktoś umarł na zawał w tak młodym wieku - rzekł z goryczą.

- Niestety zdarza się - powiedziała Morie. - W moim liceum siedemnastoletni chłopak zmarł na boisku podczas meczu futbolowego. Okazało się, że miał nierozpoznaną chorobę serca. Był bardzo miły i wszyscy go oplakiwaliśmy. Młodzi ludzie zapadają na rozmaite schorzenia. Na przykład kto by pomyslal, że małe dzieci mogą mieć artretyzm, prawda? A jednak niektóre dzieciaki w podstawówkach cierpią na reumatyczne zapalenie stawów, co bardzo ogranicza aktywność ruchową. Dzieci chorują też na inne choroby, takie jak cukrzyca. Nie tylko w podeszłym wieku doznajemy fizycznych cierpień.

- Cóż, świat nie jest doskonały, prawda? - rzucił sentencjonalnie.

- Ano nie jest...

- Dzięki. - Bascomb wypil reszte wody z butelki. - Jeździłem po jedzenie do matki, ale teraz pilnują jej domu. Nie chcę, żeby ucierpiała przez to, co zrobiłem. Żywię się tym, co upoluję.

- A co z wodą? Niebezpiecznie jest pić ze strumieni.

Wyjął z kieszeni kamizelki paczkę tabletek i powiedział:

- Udatniają do picia każdą wodę. Byłem w wojsku. Tank i ja służyliśmy razem w Iraku. Mam wrażenie, że od tamtego czasu minęły wieki. - Skrzywił się. - Tank zeznawał w sądzie na moją korzyść. Wymagało to od niego odwagi, ponieważ wszyscy uważali mnie za winnego. Rodzina zabitego faceta jest tutaj powszechnie znana i lubiana, dlatego trudno było zebrać bezstronną ławę przysięgłych. Jeden z sędziów przysięgłych był nawet nieślubnym krewnym ofiary. Niestety moja obrończyni nie wychwyciła tego podczas wstępnego przesłuchania.

- Mój Boże! - zawołała Morie. - Przecież to unieważnia przewód sądowy i stwarza podstawę do wznowienia procesu.

- Tak uważasz? - spytał żywo.

- Jak najbardziej. Powinien pan porozmawiać ze swoją obrończynią.

- Już nie jest moją adwokatką. - Roześmiał się niewesoło. - Przeczytałem w gazecie jej oświadczenie. Otóż pani adwokat nie może reprezentować przed sądem kogoś, kto uciekając z więzienia, dowiódł swojej winy. Tak więc obecnie nie mam prawnego obrońcy ani nikogo, kto mógłby mi cokolwiek doradzić.

- Ja mogę panu doradzać. - Podeszła do niego. - Tylko niech się pan odda w ręce władz, zanim będzie za późno.

- Nie mogę. - Potrząsnął głową. - Nie przeżyję zamknięcia w więzieniu. Przed procesem spędziłem kilka miesięcy w areszcie i wiem, co mówię. Wolałbym umrzeć, niż tam wrócić, naprawdę.

- Rozumiem pana - powiedziała szczerze. - Też nie cierpię zamkniętych pomieszczeń, a być tam pod przymusem... Ale musi pan o czymś pamiętać. Będzie z panem jeszcze gorzej, jeśli nie zaczeka pan na apelację.

- Nie obchodzi mnie to - oświadczył stanowczo. - Żona umarła, a z jej śmiercią skończyło się moje dawne życie. Jeżeli zastrzelą mnie w lesie, to trudno. Bóg przebacza nawet złym ludziom. Nie sądzę, żeby zesłał mnie do czyśćca.

- Nie może pan się poddawać - powiedziała żarliwie. - Bóg zsyła nas na ziemię z powodów, których najczęściej nigdy nie poznamy. Może po to, żebyśmy kogoś zainspirowali, powstrzymali przed samobójstwem albo uratowali życie człowiekowi, który później ocali świat... Kto wie? Ale ja wierzę, że każdy z nas ma w życiu jakiś cel.

- A jaki twoim zdaniem jest mój? - spytał, rozbawiony jej niezłomną i gorącą wiarą.

- Nie wiem, bo niby skąd miałabym wiedzieć? Ale jestem pewna, że ma pan w tym świecie do odegrania jakąś rolę. Nigdy nie należy rezygnować.

- Był taki film „Kosmiczna załoga” z Timem Allenem i Alanem Rickmanem, swoista parodia serialu „Star Trek”. Jego przesłaniem było zdanie: „Nigdy nie rezygnuj, nigdy się nie poddawaj!”.

- Widziałam ten film. Wspaniały - rzekła z uśmiechem.

- Chyba to nie najgorsze credo. - Zarzucił strzelbę na ramię. - Nie mów nikomu, że mnie tu widziałś - rzucił na koniec.

Drgnęła nerwowo, gdyż zabrzmiało to jak groźba.

Zorientował się, w czym rzecz, popatrzył na nią ze smutkiem i wyjaśnił:

- Mogłabyś mieć kłopoty, ponieważ człowiekowi wyjętemu spod prawa dałaś jedzenie i wodę.

- Och, rozumiem. - Wyraźnie się odprężyła. - Dziękuję.

- Jestem poszukiwany przez policję - powiedział cicho. - Ale bez względu na wszystko nie poddam się. Będą musieli mnie zastrzelić. Więzienie to straszne miejsce dla człowieka, który przywykł do otwartej przestrzeni. - Popatrzył na wyniosłe drzewa i intensywnie błękitne niebo. - To moja katedra - rzekł z powagą. - Las to miejsce, z którego jest najbliżej do Boga. - Zamknął oczy i przez chwilę wdychał leśną woń. - Nie powinienem był dać się namówić tej kobiecie, nie powinienem przychodzić do jej mieszkania. Ale krzyczała, że jej facet wali do drzwi i grozi, że ją zabije. Powiedziała, że poza mną nie zna nikogo, kto sobie z nim poradzi. Ale musiałem stracić rozum i postanowiłem jej pomóc. Kiedy tam wszedłem, broniła się przed nim, ale on bełkotał, że to ona pierwsza go uderzyła. Wrobiła nas obydwu. Nie sądzę, by chodziło jej o jego śmierć albo o to, żebym trafił do więzienia. Myślę, że w pokrętny sposób chciała przykuć moją uwagę. Ale sprawiła, że stało się to, co się stało. Ją uznano za pokrzywdzoną, a mnie rodzina zmarłego pozwała do sądu za umyślne zabójstwo. - Obrzucił Morie długim spojrzeniem.

- Przykro mi - powiedziała.

- Do diabła, mnie też jest przykro - rzekł twardo. - Nie wiem, dlaczego mnie to wszystko spotkało.

- Może to swoista próba? - powiedziała w zadumie. - Każdy z nas zostaje poddany próbie. To nieodłączna część życia. Przejdzie pan przez nią - dodała z przekonaniem.

- Tak sądzisz? Gdybym był hazardzistą, założyłbym się z tobą, że nie, i zbił na tym majątek. - Popatrzył na jej skromne ubranie i roześmiał się. - No, może nie majątek. Bez urazy, ale wyglądasz na tak samo biedną jak ja.

- Och, nie czuję się urażona - rzuciła pogodnie.

- Muszę już iść. Dziękuję za pomoc. Ale jeśli mnie złapią, przysięgnę, że nigdy nie

udzieliłaś mi żadnej pomocy - zapewnił.

- A ja przysięgnę, że to zrobiłam - odparła dumnie. - Nie boję się postawienia przed sądem. Po pierwsze spełniłam chrześcijański obowiązek, a po drugie - uśmiechnęła się lekko - mój stryj jest sędzią i znalazłby mi dobrego adwokata.

- Masz szczęście. - W jego oczach zamigotały wesole iskierki. - Dziękuję, dziewczyno.

- To nic takiego. Żałuję, że nie mogę bardziej panu pomóc.

- Miła z ciebie osoba - powiedział cicho, łagodnie. - Moja żona też taka była. Pomogłaby każdemu, nieważne, czy było to zgodne, czy też niezgodne z prawem. Tak bardzo mi jej brak.

- To tylko krótka rozłąka, panie Bascomb. Za jakiś czas wszyscy się tam spotkamy.

- Ona też by tak powiedziała. - Rozejrzał się wokoło. - Bądź ostrożna. Jesteś sama, a nie zawsze jest tu bezpiecznie. Pojawiają się tu różne wyrzutki społeczeństwa. Tacy jak ja zbiegli przestępcy, zdemoralizowani bezdomni, psychopaci i szaleńcy. Mogliby cię skrzywdzić.

- Wiem. Mam komórkę.

- Więc trzymaj ją włączoną - poradził sucho.

- Wtedy policja już by tu była, nieprawdaż? - skomentowała.

- Tak, pewnie tak. - Zachichotał, zaraz jednak spoważniał, obrzucając ją pożegnalnym spojrzeniem. - Uważaj na siebie.

- Pan też.

Po chwili pochłonął go las. Zauważyła, że kiedy niemal już zniknął jej z oczu, rytm jego kroków się zmienił, stał się mniej równy. Jak chód zwierzęcia, pomyślała. Uświadomiła sobie, że wcześniej podszedł do niej miarowym krokiem, gdyż chciał ją uprzedzić, że się zbliża, by się zbyt nie przestraszyła. Współczuła mu. Rozważyła, czy mogłaby skontaktować się ze stryjkiem Dannym i uzyskać prawną pomoc dla Bascomba. Nawet gdyby był winny, ma prawo do adwokata. Stryj Danny niewątpliwie zna kogoś odpowiedniego.

Tego wieczoru zadzwoniła do stryja. Wiedziała, że podczas sesji sądu objazdowego często pracował do późna w nocy w swoim biurze, i jak przypuszczała, sam odebrał telefon. Był zaskoczony, gdy usłyszał jej głos, ale przede wszystkim ucieszył się z telefonu ukochanej bratanicy.

- Dobrze się bawisz w swojej pracy? - zapytał wciąż mocno rozbawiony jej posunięciem. Mała Morie ostro postawiła się wielkiemu Kingowi i zatrudniła się na ranczu jako zwykła robotnica.

- Świetnie - odpowiedziała. - Ale brakuje mi ciebie.

- Mnie ciebie też, skarbie. Ale coś mi się zdaje... Morie, nie bawmy się w żadne przydługie wstępy czy podchody. Jest jakiś inny powód poza tęsknotą, że dzwonicz do mnie po nocy? Masz kłopoty?

- Nie ja, ale sprawa jest poważna. Chodzi o zbiegłego skazańca, który został wrobiony w...

- Och, oszczędź mi tego - przerwał jej stanowczo. - Kochanie, nie masz nawet pojęcia, jak wielu niewinnych ludzi odsiaduje dożywocie w federalnym więzieniu. Wrobiono ich, trafili na nieuczciwych gliniarzy, ktoś się na nich zemścił...

- Ale w tym przypadku jest inaczej. - Zamilkła na chwilę. - Wysłuchaj mnie, proszę. Tank Kirk wystąpił w procesie jako świadek i wydał oskarżonemu jak najlepszą opinię. Ten człowiek walczył w Iraku. Potem zmarła mu żona. Inna kobieta usiłowała go usidlić, lecz jej się nie udało, więc go wrobiła, wzywając na pomoc pod pretekstem, że rzekomo bije ją jej facet. On zjawił się, by ją obronić, wywiązała się szamotanina, w trakcie której tamten mężczyzna upadł i uderzył się śmiertelnie głową o ścianę. Później ta kobieta przysięgała, że oskarżony celowo go zabił. Było tylko jej zeznanie przeciwko jego zeznaniu, a na domiar złego dostał kiepskiego obrońcę z urzędu.

- Uważaj, kochanie, kiedyś też występowałem jako obrońca z urzędu - rzucił kpiąco stryj. - To szlachetna misja dla prawnika.

- Owszem, ale ta adwokatka, choć reprezentowała oskarżonego, wzięła stronę tej kobiety, która dążyła do jego skazania. Czy to nie dziwne?

- Kochanie, to kwestia interpretacji. Facet został skazany, jest wściekły na cały świat, a na sędziego, prokuratora i adwokatkę najbardziej. Powtarzasz to, co ci powiedział, prawda?

- Tak, stryjku, ale...

- Skarbie, naprawdę daj sobie z tym spokój.

- Proszę, tylko mnie wysłuchaj. Bo jest coś jeszcze.

- Tak?

- Jeden z sędziów przysięgłych jest krewnym ofiary, jednak to umknęło podczas wstępnego przesłuchania.

- Naprawdę? To całkiem coś innego, sprawa jest bardzo poważna - przyznał stryj Danny. - Jeśli jego obrończynie to udowodni, powinna uzyskać wznowienie procesu.

- On już nie ma obrońcy, stryjku. Ta adwokatka zrezygnowała po jego ucieczce.

- Do licha!

- No właśnie... Choć użyłabym ostrzejszego przekleństwa, niestety dziewczynie nie

wypada. A mówiąc poważnie, stryjkę, to doskonale wiem, że nie powinnam się w to mieszać, ale on wydaje się przyzwoitym człowiekiem. Żebyś pojął, dlaczego uważam go za niewinnego, musiałbyś lepiej poznać braci Kirków. Powiem tylko tyle: Tanka bardzo trudno sobie zjednać, zdobyć jego zaufanie...

- A ty je zdobyłaś, prawda? - wpadł jej w słowo.

- Tak, stryjkę. Ale najważniejsze jest to, że mimo całej tej nieufności do ludzi Tank z całym przekonaniem świadczył za tym człowiekiem przed sądem. To coś znaczy, prawda?

- Takich opinii nie powinno się lekceważyć, choć przewód sądowy rządzi się swoimi prawami. Ale zostawmy to. Jeżeli mam w czymś pomóc, to trzeba zacząć od samych podstaw, czyli od wstępnego rozpoznania. Znam parę osób we władzach sądowych Wyomingu. Jak się nazywa ten człowiek?

- Joe Bascomb.

- Okej, już zanotowałem. Morie, podzwonię, popytam, zobaczę, co da się zrobić. Ale ty trzymaj się od tego z daleka. Nie chcę, żeby oskarżono cię o udzielenie pomocy zbiegłemu skazańcowi.

- Wiem. Przyrzekam, że tak zrobię. I dziękuję.

- Przecież nie mogłem odmówić mojej małej bratanicy. Do widzenia, skarbie. Uważaj na siebie.

- Ty też, stryjkę.

Z westchnieniem zamknęła komórkę. To nie była jej sprawa, ale Joe Bascomb zyskał jej sympatię. Gdyby chciał, mógłby ją napaść i zabić. Nie było tam nikogo, kto mógłby przyjść jej z pomocą. Lecz okazał się miły i uprzejmy, co dobrze świadczy o jego charakterze. Morie uznała, że musi mu pomóc, jeśli zdoła. Kto wie, może takie jest moje przeznaczenie, pomyślała. Zapewne nieprzypadkowo jego los splótł się z jej losem. Musi istnieć jakiś powód. Może kiedyś uda się jej tego dowiedzieć.

Nazajutrz rano Mallory przyglądał się jej bardziej podejrzliwie niż kiedykolwiek. Podeszła do niego, starając się nie dostrzegać, jak bardzo jest przystojny. Żałowała, że nie poznała go, gdy była w swoim prawdziwym wcieleniu, gdyż wówczas nie dzieliłaby ich bariera społeczna. Niestety cała ta maskarada sprawiła, że wcześniej czy później Mallory dowie się, że okłamała go co do swego pochodzenia. Albo nigdy się nie dowie, przecież w każdej chwili może wrócić do domu, do dawnego życia, ulec namowom ojca i poślubić jakiegoś miłego, schludnego milionera. I oczywiście zapomni o tym twardym ranczerze z Wyomingu, który uważa ją za podejrzaną i niegodną zaufania. Gdybyż wiedział, jak bardzo krzywdzą ją te oskarżenia!

Podniosła na niego spojrzenie wielkich czarnych oczu.

- Czy coś się stało, szefie?

- Wiesz, że prowadzimy rejestr wszystkich wychodzących połączeń telefonicznych? - zapytał z poważną miną.

Serce jej zadrżało. Dzwoniła do Teksasu, a konkretnie do biura stryja Danny'ego.

- Tak? - rzuciła, siląc się na niewinny ton.

- Chciałbym wiedzieć, po co telefonowałaś do sędziego sądu okręgowego w Teksasie - powiedział bez ogródek. Wsadził ręce w kieszenie i rzucił Morie zimny uśmiech. - Do tego samego sędziego, który niedawno gościł u nas na przyjęciu. Czy wtedy, gdy wyszliście na dwór i przyłapała cię Gelly, rozmawiałaś z nim o czymś więcej niż tylko o kanapkach? Czy to twój kochanek? A może zamierzasz wytoczyć sprawę i zasięgałaś porady prawnej? Przypominam sobie, że groziłaś Gelly procesem.

Serce Morie biło szaleńczo, gdy gorączkowo usiłowała znaleźć jakąś odpowiedź, która nie wzbudziłaby kolejnych podejrzeń. Nie chciała wydać przyjaciela Tanka. Gdyby Mallory się dowiedział, że spotkała w lesie zbiegłego skazańca, mógłby wezwać szeryfa. Nie chciała przysporzyć nieszczęsnemu Joemu Bascombowi jeszcze więcej kłopotów. Miał ich już i tak wystarczająco wiele.

- Zapomniałam o pewnym szczególe przepisu, który mu podałam - powiedziała jakby nigdy nic.

- Co takiego? - Mallory zamrugał i utkwiał w niej zdumione spojrzenie. - Dzwoniłaś do sędziego, żeby mu podać jakiś przepis? Na co?

- Na kanapki - odpowiedziała usłużnie. - Zapomniałam mu powiedzieć, ile czasu gospodyni powinna trzymać je w piekarniku. Mówił, że w przyszłym miesiącu wydaje na rodzinnym ranczu wielkie przyjęcie, więc bardzo potrzebował tego przepisu.

- I z tego powodu zadzwoniłaś do niego w środku nocy? - spytał z niedowierzaniem Mallory.

- Dopiero wtedy sobie o tym przypomniałam. - Wzruszyła ramionami. - Wcześniej zapomniałam o tym szczególe.

- Ale najwyraźniej nie zapomniałaś numeru telefonu sędziego - rzucił drwiąco.

- Znalazłam go w internecie. To proste, w wyszukiwarce trzeba wpisać nazwisko i zawód, a to przecież wiedziałam, a reszta to już prosta sprawa - gadała jak najęta. - O różnych ludziach można znaleźć mnóstwo...

- Wiem, jak działa internet - przerwał jej niecierpliwie.

Zapadła cisza, tylko Mallory odetchnął głośno i głęboko. Miał o czym myśleć. Od

początku żywił wobec Morie podejrzenia, choć czynił sobie z tego powodu wyrzuty. Sprawiała wrażenie uczciwej, pracowitej i uprzejmej, jednak nie ufał swojej intuicji po tym, jak oszukała go kobieta, która okazała się kimś zupełnie innym, niż się wydawała. Morie, choć temu zaprzeczała, niewątpliwie zna się na prawie i gdyby zdołała zrobić go w jakiś proces, mogłoby to poważnie zagrozić ranczu.

Zarazem jednak serce biło mu mocniej, ilekroć ją widział. Z każdym dniem coraz silniej jej pragnął, co ukrywał z największym trudem, i tak najpewniej nieskutecznie, szczególnie jeśli chodzi o braci, którzy byli nadzwyczaj spostrzegawczy.

Gelly wpadała we wściekłość za każdym razem, gdy choćby wspominał o Morie, co bezwiednie czynił często. Opowiedział, jak pomogła w kuchni, czym zyskała wielką wdzięczność Mavie. Wiedział przy tym, że Gelly nie przyszłoby do głowy choćby zajrzeć do kuchni. I już wcześniej była zazdrosna. Nieznośnie zazdrosna. Dopuścił ją zbyt blisko, co okazało się wielkim błędem. Powinien jej się pozbyć, odepchnąć, gdy było to jeszcze możliwe. A stawała się coraz pewniejsza siebie, coraz bardziej roszczeniowa. Od jakiegoś czasu coraz pewniej mówiła o małżeństwie, a także coraz natarczywiej nakłaniała, by sprzedał jednemu z jej przyjaciół porośnięty krzakami teren w północnym krańcu rancza.

- To tylko bezwartościowy kawałek ziemi - przekonywała. - I tak nie możesz wypasać na nim krów. Ten nieszczęśnik niedawno stracił wszystko, co posiadał. Potrzebuje jedynie kilku akrów, na których mógłby zamieszkać i uprawiać niewielki ogródek.

- Gelly, jeśli na tej ziemi nie można wypasać bydła, to z pewnością nie można jej też uprawiać - odparł. - Poza tym to rodzinne ranczo, więc musiałbym zdecydować wspólnie z braćmi. Ściągnij tutaj tego człowieka, musimy najpierw z nim porozmawiać, poznać, by w ogóle zacząć jakiegokolwiek rozmowy o sprzedaży ziemi.

Nie wiedział, że Gelly nigdy się na to nie odważy, bo bracia Kirkowie od razu by się zorientowali, że mają do czynienia z biznesmenem, a nie ze zrujnowanym ranczerem. Nie wiedział więc również, że skłamała, gdy mu odpowiedziała:

- To teraz niemożliwe, bo wyjechał z miasta.

- Po co?

- Odwiedzić chorego brata.

- W porządku. - Mallory wzruszył ramionami. - Kiedy wróci, powiedz mu, by do mnie zadzwonił i umówił się na wizytę. A teraz powiedz, czy naprawdę chcesz iść na ten film, który wybrałaś? Nie lubię komedii.

- Ta jest zabawna, w każdym razie tak słyszałam. Wieczorny wypad do miasta dobrze ci zrobi. Poświęcasz zbyt dużo czasu pracy na ranczu. Powinieneś zatrudnić zarządcę. Wiesz,



niedawno poznałam człowieka, który świetnie by się nadawał. Ukończył college i...

- Ja kieruję ranczem - oznajmił Mallory, mierząc ją chłodnym spojrzeniem.

- No cóż, to tylko luźna propozycja. Więc jak, pójdziesz ze mną na tę komedię? -  
zmieniła temat.

Nie wiedział też, co sobie w tym momencie pomyślała. A mianowicie to, że Mallory jest zbyt porywczy i musi być ostrożniejsza.

Teraz przypomniał sobie tamtą rozmowę, wpatrując się w Morie. Zaczerwieniła się pod jego przenikliwym spojrzeniem. Oddychała szybko. Dostrzegł przez cienką bluzkę, że jej sutki nagle stwardniały, na co natychmiast ogarnęło go podniecenie. Zapragnął przyprzeć Morie do ściany i całować przez całą wieczność.

Natychmiast jednak się opanował. Musiał pozbyć się jej z pokoju, zanim strzeli mu do głowy coś głupiego.

- W porządku - rzucił. - Możesz wrócić do pracy.

- Dziękuję - odpowiedziała, unikając jego wzroku.

Drżała na całym ciele tak bardzo, że ledwie doszła do drzwi. Widziała, że Mallory patrzył na nią z nieskrywanym pożądaniem. Zdawała sobie sprawę, że pragnie jej, lecz zarazem nie ufa. Pamiętał tę uwagę o dziecku, która bezwiednie się jej wyrwała. Gdybyż trzymała buzię na kłódkę! Mallory już nigdy jej nie zaufa, za co mogła winić tylko siebie. Choć może jest jakiś cień szansy. W każdym razie zrobi wszystko, by zdobyć jego zaufanie. Potem będzie sobie mogła powiedzieć, że przynajmniej próbowała...

Mallory w drodze do kina odruchowo wspomniał Gelly o telefonie Morie do sędziego w Teksasie.

- Cóż, wcale mnie to nie zaskakuje - skomentowała.

- Niby dlaczego?

- Kiedy wyszłam na dwór powiedzieć jej, żeby przestała zawracać głowę moim gościom i wróciła do pracy, zobaczyłam, jak się obejmują - łągała w żywe oczy, radując się w duchu na widok miny Mallory'ego. - Sędzia potraktował mnie bardzo nieuprzejmie. Był zły, że im przeszkodziłam.

- Twierdziła, że tylko dała mu przepis na kanapki - powiedział Mallory.

- Och, daj spokój! - Gelly wybuchnęła głośnym śmiechem. - Naprawdę jej uwierzyłeś? - Zerknęła na niego spod przymkniętych powiek.

Poczuł się głupio, co bardzo mu się nie spodobało.

- Cóż, uwierzyłem - przyznał niechętnie. - Przynajmniej z początku.

- Jestem pewna, że w tym kryje się coś podejrzanego. Z całą pewnością znajdują się od

dawna, a on jest sędzią. - Znowu spojrzała ukradkiem na Mallory'ego. - A jeśli ta cała Morie próbuje cię zrobić i pozwać do sądu, a on jej pomaga? Wiesz, że nie wszyscy sędziowie są uczciwi.

- Uważaj ze zbyt śmiałyymi scenariuszami - powiedział, choć taki wariant też już mu przyszedł do głowy. Jednak coś go powstrzymywało przed tym, by przyznać rację Gelly.

- To nie są zbyt śmiałe scenariusze, tylko całkiem realne. Bo tylko posłuchaj. Morie wygląda mi na taką, co tylko patrzy, jak się łatwo ustawić w życiu. Jest biedna i zrobi wszystko, by wykaraskać się z długów, mieć modne ciuchy, bywać w najwytworniejszych lokalach i podróżować pierwszą klasą po całym świecie. - Gelly tak naprawdę mówiła o swoich marzeniach, tyle że przypisywała je rywalce. - Ma już dość ubóstwa. Chce żyć na wyższym poziomie, lepiej się ubierać, lepiej mieszkać, obracać się w lepszym towarzystwie. W pełni na to wszystko zasługuje, lecz w żaden inny sposób tego nie zdobędzie. Taki jest jej plan, rozumiesz?

- Tak, rozumiem... - Niby potwierdził, lecz patrzył na nią zdumiony.

Zauważyła to i odchrząknęła zmieszana, po czym dodała:

- Chodzi mi o to, że taka kobieta z całą pewnością ma nadzieję rozkochać w sobie jakiegoś majątnego mężczyznę. Zrobi wszystko, żeby tego dopiąć. Jesteś bogaty, więc to oczywiste, że chce cię usidlić.

- Czyżby?

- Bez przerwy się na ciebie gapi - mówiła dalej. - Jak dzieciak na lody.

- Naprawdę? - Serce radośnie skoczyło mu w piersi. - Jakoś nie zauważyłem. - Bardzo się postarał, by zabrzmiało to normalnie, bez zbytniego zaangażowania.

- To obrzydliwe, jak się do ciebie łąsi. Natomiast wobec mnie zachowuje się zupełnie inaczej, jest arogancka i napastliwa. Oczywiście ukrywa to przed tobą, ale Morie nienawidzi mnie z całej duszy. Sposób, w jaki się do mnie odzywa... Powinieneś zwrócić jej na to uwagę. To niedopuszczalne, żeby jakaś robotnica mówiła tak do kogoś, kto znajduje się wiele szczebli nad nią na drabinie społecznej. Jest arogancka, wręcz natarczywa, a przecież zawsze powinna pamiętać o mojej pozycji.

O jej pozycji! Mallory podczas luźnej rozmowy z zaprzyjaźnionym sąsiadem przypadkiem dowiedział się, że ojciec Gelly jest emerytowanym robotnikiem zakładów odzieżowych, natomiast zmarła matka była szeregową urzędniczką w banku. Owszem, zawód szacowny, tyle że pozycja niziutka.

Dotarło do niego, jak wielkie aspiracje ma Gelly, pragnęła zdobyć pieniądze, wpływy, władzę, stać się kimś ważnym w Wyomingu. A on miał jej to wszystko zapewnić.

Mallory nagle poczuł się jak tropiona zwierzyna. Owszem, na początku znajomości Gelly zachowywała się uroczo i przymilnie, lecz obecnie była coraz bardziej agresywna, wymagająca i roszczeniowa. Wciąż próbowała wydębić coś od niego dla swoich przyjaciół, którym zależało na tanim kupnie ziemi, intratnych posiadach i innych korzyściach. Zaczynało go to nie tylko irytować, ale i bardzo niepokoić. Bo przecież chodziło o korzyści osiągnięte przez inne osoby. Czyżby w ten sposób Gelly chciała regulować jakieś rachunki? Jego kosztem próbowała załatwiać jakieś swoje interesy? Wprawdzie jak dotąd nic jeszcze nie osiągnęła, czy raczej nie wydębiła od niego, ale...

- Ty sama robisz się ostatnio dość natarczywa, Gelly - zauważył cierpko.

- Ja? - Na moment wstrzymała oddech. - Jak to?

- Wygląda na to, że znasz mnóstwo ludzi, którym twoim zdaniem powinienem pomóc - rzekł chłodno.

- Ach, o to ci chodzi. - Drgnęła nerwowo. - Zapytano mnie o posiadę w tej okolicy, to wszystko. Nawet nie znam tego człowieka, którego interesuje stanowisko zarządcy. To znajomy mojego znajomego. A mężczyzna pragnący nabyć ziemię jest bliskim kumplem przyjaciela mojego ojca. Wiesz, mój ojciec pracował w korporacji tekstylnej i należy do śmietanki towarzyskiej.

Był krojczym, ale Mallory nie zdradził się, że o tym wie. Zachował to dla siebie, przynajmniej na razie. W każdym razie Gelly zaczęła budzić w nim podejrzenia. Nie chodziło nawet o to, że kłamała w kwestii swojego pochodzenia. Ot, zwykły snobizm, a Mallory przypuszczał, że sprawa jest znacznie głębszej i o wiele bardziej niebezpiecznej natury.

Cóż, dotrze do prawdy, tyle że potrzebuje na to czasu. Teraz uśmiechnął się tylko i zapytał Gelly, gdzie chce zjeść kolację po kinie.

Gdy wrócił do domu, postanowił porozmawiać z Tankiem.

- Powiedz, co naprawdę myślisz o Gelly? - zapytał, gdy pili w kuchni kawę. Prócz nich nie było tu nikogo.

Rzadko im się zdarzało tak przesiadywać o późnej porze, ale mieli za sobą długą, wyczerpującą pracę przy cielących się krowach, która przeciągnęła się aż do nocy.

Tank popatrzył na niego badawczo, po czym odparł wymijająco:

- Staram się w ogóle o niej nie myśleć. - I spytał po chwili: - A co? Jakiś problem?

- Jej przyjaciel chce nabyć od nas porośnięty krzakami teren przy północnej granicy rancza, na którym nie można paść bydła. Gelly twierdzi, że to bezwartościowa ziemia. Ten człowiek miał pecha, stracił wszystko i chciałby, żebyśmy sprzedali mu ją tanio.

- Zaraz, niech pomyślę... - Tank myślał o czymś przez chwilę. - Tanio, powiadasz?

Czy to aby nie ten sam teren, na który miała chrapkę firma naftowa zamierzająca wydobywać tam ropę z łupków skalnych, ale nie zgodziliśmy się na dzierżawę?

Mallory gwałtownie uniósł głowę.

- Tak, ten sam. - Oczy mu się zwęziły. - Z całą pewnością ten sam.

- Ciekawe, czy przyjaciel Gelly ma jakieś powiązania z przemysłem naftowym i gazowym?

- Mnie też to ciekawi... - Mallory ciężko potarł twarz.

- To nie może pozostać w sferze domysłów, wiesz o tym, prawda? Nikt nie ma prawa pogrywać tak z nami, wodzić nas za nos. A tu proszę, być może ktoś naszym kosztem próbuje robić interesy.

- Cholera, Tank, niech to szlag... Masz cholerną rację, cała ta sprawa musi zostać wyjaśniona.

- Też tak uważam, Mal. Aha, podobno sprawdzałeś rejestr rozmów telefonicznych. Mogę wiedzieć po co?

Mallory poruszył się niespokojnie na krześle i wypił łyk kawy.

- Morie późno w nocy zadzwoniła do sędziego sądu okręgowego w Teksasie, no wiesz, tego przyjaciela Cane'a.

Tank popatrzył na niego i spytał:

- Dzwoniła do Danny'ego Brannta?

- Brannta? - powtórzył Mallory z morderczą miną.

- Tak. Jego bratem jest Kingston Brannt, właściciel ranczerskiego imperium w Teksasie. Hoduje bydło rasy Santa Gertrudis, przy którym nasze krowy wyglądałyby jak żałosne mieszańce. Ale dlaczego tak zareagowałeś na nazwisko sędziego? Co się tak wściekasz?

- Bo pewnie ci to umknęło, ale Morie też nazywa się Brannt - wycodził.

- Wcale mi nie umknęło - odparł rozbawiony Tank, bo Mallory wyglądał jak Wielki Inkwizytor. - Ale nie jest spokrewniona z Dannym. Wiem na pewno, bo go o to spytałem. Powiedział, że to jedno z najczęściej spotykanych nazwisk w tamtej części Teksasu, jak Smith w innych rejonach kraju. Zwykły zbieg okoliczności, nic więcej.

- Czyżby?

- Na litość boską, spójrz na Morie. Jest urocza, utalentowana i bystra, w ogóle jest pełna zalet, ale przy tym biedna jak mysz kościelna. Nie widzisz tego? Nie miała nawet przyzwoitego telefonu komórkowego, zanim jej nie daliśmy.

- Uważasz więc, że Rancho Real nawiedził ubogi aniołek pod postacią panny Brannt...

A ja myślę inaczej. - Mallory'ego przebiegł chłodny dreszcz. - Morie przymila się do sędziego, a wiesz po co? Szuka jakiegoś sposobu, by pozwać nas do sądu i wydebić grubszą kasę.

- Cholera, Mal... Oskarżasz ją o wszystko, co najgorsze. To już jakaś obsesja. Co się z tobą dzieje?

- To żadna obsesja - obruszył się. - Po prostu Gelly uważa, że ona coś knuje.

- Tak? A ja uważam, że to Gelly coś knuje, i to przeciwko tobie. - Tank dopił kawę. - Radzę ci, sprawdź, jak naprawdę jest z tą ziemią. A po drugie radzę ci, bądź ostrożny. Bo Gelly aniołkiem na pewno nie jest.

- Może masz rację - przyznał Mallory po krótkim namyśle. - Wiesz, powinniśmy skorzystać z wolnej chwili i trochę się zdrzemnąć.

- Jasne. - Tank skinął głową. - Czasami jednak miewasz dobre pomysły.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego dnia Morie znalazła sposobność, by porozmawiać z Tankiem, gdy już przepędzili bydło z jednego pastwiska na drugie.

- Muszę panu o czymś powiedzieć, tylko nie bardzo wiem, jak mam to zrobić - zagadnęła, gdy odpoczywali, popijając kawę z termosów, natomiast krowy pasły się na nowym terenie.

Tank zsunął kapelusz na tył głowy, otarł spocone czoło i poradził:

- Naprawdę nie wiesz, jak to powiedzieć? - Zmarszczył czoło w głębokim namyśle. - Już wiem! Po prostu powiedz. - Spojrzał na nią. - Ejże, ja tu się wygłupiam, a widzę po twojej minie, że sprawa jest poważna. Morie, zamieniam się w słuch.

- Tak, bardzo poważna. - Rozejrzała się, by sprawdzić, czy nikt nie może ich usłyszeć, po czym niemal szeptem wyjawiała: - Joe Bascomb zjawił się w chatce.

- Co takiego?! Dobry Boże, dziewczyno! Czy...

- Nie skrzywdził mnie - szybko wpadła mu w słowo. - Nawet mi nie groził, nic z tych rzeczy. Był głodny, więc dałam mu placek i wodę. On jest w okropnym stanie.

- Był moim przyjacielem - z nieskrywanym bólem powiedział Tank. - Był i nadal jest, bo nie wierzę, że mógłby z premedytacją kogoś zabić.

- Ja też nie - powiedziała cicho, a jednak z mocą. - Wie pan, czasami czuję ludzi, ich aurę, no, cokolwiek to jest. Prawdę o nich, która z nich się wyłania, choć tego nie widać. Rzadko mi się to zdarza, ale jeśli już się zdarzy, to zawsze dostawałam w prezencie prawdę o jakimś człowieku. To nie są żadne gusła, zapewniam.

- Okej... Ale do czego zmierzasz?

- Joe Bascomb jest niewinny. Nie, nie wierzę w to. Ja to wiem.

- Tak bardzo chciałbym mu pomóc... Tyle że nie widzę sposobu.

- Może jednak jakiś sposób jest.

- Morie, powiedz wszystko, nie przedłużaj - rzucił niecierpliwie. - Bo przecież nie chodzi ci o aurę Joego, tylko o coś o wiele ważniejszego, prawda?

- Tak, oczywiście. Joe Bascomb powiedział, że po jego ucieczce porzuciła go obrończyni z urzędu, która zresztą fatalnie go broniła podczas rozprawy. Ale to dopiero początek, bo powiedział też, że jednym z członków ławy przysięgłych, która uznała go za winnego, był krewny denata. A to już grubsza sprawa, bo może stanowić podstawę do wznowienia procesu.

- No tak, wreszcie rozumiem - powiedział ze szczerym uznaniem. - To dlatego dzwoniłaś do tego sędziego z Teksasu, prawda?

- Tak.

- I co powiedział?

- To, co już panu powiedziałam. Że ta okoliczność powinna wystarczyć do wznowienia procesu. Ale Joe musi oddać się w ręce policji i znaleźć dobrego adwokata, który zgodzi się go bronić.

- I z tym jest duży kłopot, Morie. Byłem gotów zapłacić najlepszemu adwokatowi, który podjąłby się obrony Joego, niestety wszyscy odmówili. Dlatego została mu tylko ta obrończyni z urzędu, która dostaje sprawy z przydziału. Jest przyzwoitym człowiekiem, ale słabym, nieporadnym prawnikiem, znana jest też z naiwnego feminizmu. Przynosi temu ruchowi więcej szkody niż pożytku. Tak jak więcej szkody niż pożytku przynosi swoim klientom. W sumie wychodzi na to, że Joe został skazany jeszcze przed procesem.

- Dlaczego najlepsi adwokaci panu odmówili?

- Rodzina zmarłego ma duże wpływy w Wyomingu i jest bardzo popularna. Wprawdzie denat się wyrodził, był klasyczną czarną owcą, miał zaszarganą i reputację, i kartotekę, ale krewni choć nie wpuszczali go do swoich domów, to jednak nie odwrócili się od niego. Nosił ich nazwisko, więc trzeba je chronić. Padł ofiarą mordercy, a reszta jest milczeniem. Rodzina jest bardzo wpływowa i popularna, to już mówiłem, ale i bardzo mściwa. Dlatego żaden z uznanych adwokatów nie zgodził się bronić zabójcy przedstawiciela tej zacnej rodziny.

- Ten sędzia być może zna kogoś, kto podjąłby się tego pro bono.

- Jak udało ci się go nakłonić, by zajął się tą sprawą? - zapytał z nieskrywaną ciekawością Tank.

- Zaapelowałam do jego poczucia sprawiedliwości. To bardzo miły człowiek. Podczas przyjęcia przyszedł do kuchni, żeby pochwalić kucharkę za smaczne jedzenie. Niewielu ludzi by się tak zachowało - dodała, wspominając dziesiątki znanych sobie imprez, na których nikomu nie przyszłoby do głowy podziękować personelowi za przygotowanie wyśmienitych potraw.

- Istotnie, wydaje się sympatyczny. A z tego, co o nim mówisz, musi być bardzo prawy i gotów zrobić wszystko w imię sprawiedliwości. - Tank zadumał się na moment. - Zobaczę, co będę mógł zrobić, ale w żadnym wypadku nie rozmawiaj już więcej z Joem. Jeśli go zobaczysz, wsiądź na konia i odjedź. Pomagając zbiegłemu przestępcy, możesz wpaść w poważne tarapaty. Uważam, że on jest niewinny, i postaram się pomóc to udowodnić, ale

w tej chwili wygląda to tak, że sąd go skazał i przynajmniej na razie koniec, kropka. Nie zapominaj o tym, Morie.

- A pan na moim miejscu po prostu tak by sobie odjechał i odmówił pomocy? - spytała spokojnie.

- W żadnym razie, ale moja sytuacja wygląda inaczej niż twoja. Ty u nas pracujesz, ja mogę sobie pozwolić na więcej. Tak to już jest na tym świecie. Zatem zrób, jak mówię, jasne?

- Tak jest - rzekła z westchnieniem.

- Wiem, jak odebrałaś moje słowa, ale pamiętaj, nie zamierzam być dla ciebie niemiły. Po prostu chcę cię uchronić od kłopotów. Właśnie, skoro już mowa o kłopotach. Trzymaj się jak najdalej od Gelly. Szczerze cię nienawidzi, bardzo się na ciebie zawzięła.

- Nie boję się jej.

- A powinnaś, ponieważ Mallory wierzy w to, co ona mu mówi, choć zupełnie tego nie rozumiem. Nawet nieszczególnie ją lubi, do tego zdarzyło się coś niepokojącego, co powinno podważyć jej wiarygodność. Jednak Gelly schlebia jego męskiej dumie. Nie miał szczęścia spotkać w życiu zbyt wielu kobiet, które pragnęłyby go ze względu na niego samego, więc jest na tym punkcie przewrażliwiony. Uważa, że jest nieatrakcyjny, po prostu paskudny.

- Paskudny? On? - zawołała. - Dobry Boże, nie ma klasycznej urody, nikt nie nazwie go przystojniaczkiem, ale to prawdziwy facet! Żaden tam lalusz, tylko stuprocentowy mężczyzna.

- Tak uważasz? - Spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

Morie oblała się rumieńcem.

- Cóż, lepiej wróć do pracy. - Odchrząknęła nerwowo. - Niech pan nie powtarza bratu moich zachwyty nad jego urodą. To głupie, jest moim szefem.

- Okej, nie powtórzę. Masz moje słowo - odparł z powagą.

- W ogóle nie chciałam z panem o nim rozmawiać. Zależało mi tylko na tym, by dowiedział się pan o Joem. Mam nadzieję, że ktoś mu pomoże.

- Ja też. A jeśli mogę to być ja, to wykorzystam wszelkie możliwości.

- Cieszę się.

Wsiadła na konia i odjechała, pozostawiając Tanka w głębokiej zadumie. Prawda była taka, że był zaintrygowany panną Brannt jeszcze bardziej niż do tej pory.

Gelly obrzuciła pogrążonego w myślach Mallory'ego długim, badawczym spojrzeniem, gdy jedli sałatki w miejscowej restauracji.

- Martwisz się czymś? - spytała.



- Moi bracia wychodzą ze skóry, żeby pomóc naszej nowej pracownicy - mruknął, wzruszając ramionami.

- Och, znowu ta Morie! - Gelly gwałtownie odłożyła widelec. - Mał, to wyrachowana oszustka! Dlaczego jej nie zwolnisz?

- Bo wtedy by mnie zlinczowali. Po prostu oszaleli na jej punkcie, zresztą nie tylko moi bracia. Nawet stara Mavie przepada za nią i traktuje jak serdeczną przyjaciółkę, choć z zasady nie cierpi ludzi. - Niby mówił ze złośliwą ironią, ale tak naprawdę fakt, że jego pracownicy cenią Morie, napęlił go, nie wiedzieć czemu, osobliwym poczuciem dumy.

Niebieskie oczy Gelly błysnęły.

- Jeśli pozwolisz jej zostać na ranchu, przysporzy wielkich kłopotów. Opowiedziałeś mi już o kłótni z braćmi, kiedy Morie zaczęła grać na pianinie. Jak myślisz, gdzie się tego nauczyła? Może grywała w barze? - Słowo „bar” wymówiła ze specyficzną nutą, jakby chodziło, mówiąc wprost, o burdel. - Co tak naprawdę o niej wiesz? Uważam, że powinieneś ją sprawdzić. Założę się, że ma zabagniony życiorys. Po takiej można spodziewać się wszystkiego najgorszego.

- Być może, Gelly, być może... - Zawsze sprawdzali nowych pracowników i tak też zrobił w przypadku Morie, jednakże wynajęty detektyw właściwie niczego się nie dowiedział o jej pochodzeniu. Wyglądało na to, że nie ma żadnej rodziny w Wyomingu. Ustalił jedynie, że wcześniej pracowała na dwóch innych ranchach i otrzymała świetne referencje. Nie mógł jednak wiedzieć, że Morie załatwiła sobie te referencje u znajomych rodziny i wymogła od nich przyrzeczenie, że jej nie zdradzą. Miała nadzieję, że detektyw sprawdzi ją tylko pobieżnie i nie wykorzysta numeru jej ubezpieczenia, aby uzyskać informacje, które by ją zdemaskowały. Ponadto ustawa o ochronie danych osobowych uniemożliwia przeprowadzanie tego rodzaju śledztw, o ile w grę nie wchodzi uzasadnione podejrzenie popełnienia przestępstwa. A Morie nigdy nie złamała prawa, nie dostała nawet mandatów za nieprawidłowe parkowanie czy przekroczenie prędkości.

- Myślę, że próbuje nawiązać z tobą romans - zasugerowała Gelly. - Zauważyłam, jak na ciebie patrzy. Chce cię zdobyć. - Gwałtownie pochyliła się do przodu. - Chętnie zaszłaby z tobą w ciążę. Musiałbyś utrzymywać ją i dziecko, gdyż w przeciwnym razie pozwałaby cię do sądu. Może nawet powiadomiłaby telewizję! Mogłaby przedstawić siebie jako ofiarę napastowania, jako zniewoloną przez pracodawcę biedną robotnicę!

Starął się podejść do oskarżeń Gelly z pewną dozą sceptycyzmu, ale to, co mówiła, miało sens, zwłaszcza w świetle namiętnego incydentu z Morie. Ogarnął go wstyd na wspomnienie swego braku opanowania, a wyszeptane wtedy przez Morie słowa o tym, że

pragnie mieć z nim dziecko, nadal budziły w nim podejrzliwość.

Gelly wyczuła jego niezdecydowanie, dlatego uznała, że musi działać. Straci Mallory'ego na rzecz Morie, jeżeli się jej nie pozbędzie, nie przepędzi na cztery wiatry. Miała wielkie plany dotyczące Mallory'ego i rancza, potrzebowała tylko trochę czasu. Jeden z jej przyjaciół zamierzał zainwestować ogromne pieniądze na terenie Rancho Real, a Gelly, gdyby to umożliwiła, dostałaby sową prowizję. Dlatego musi się związać jeszcze bliżej z Mallorym, uzyskać wpływ na jego decyzje i przekonać go, by sprzedał za grosze tych kilka akrów. To przecież nieużytki, które nie nadają się nawet na pastwisko. Jej przyjaciel ma powiązania z przemysłem gazowym i potrzebuje tej ziemi, by przewiercić się przez pokłady skalne i wydobywać ropę naftową. Przeprowadził badania geologiczne i odkrył, że na tym terenie występują bogate złoża ropy i gazu ziemnego. To warte jest fortunę!

Metoda wydobywania, którą zamierzał zastosować, budzi kontrowersje, gdyż niekiedy powoduje skażenie lokalnych zasobów wodnych. Bywa, że gaz tak intensywnie nasącza wodę, że można ją podpalić zapalką! Ale Gelly to nie obchodziło. Interesowała ją jedynie wielka prowizja, a tak naprawdę łapówka, którą jej obiecano. Gdy ją dostanie, będzie mogła sobie sprawić najdroższe, najmodniejsze stroje, zamiast nosić ubrania ze sprzedaży wysyłkowej. Na szczęście bracia Kirkowie nie mają pojęcia o modzie i nie zdają sobie sprawy, że Gelly tylko udaje wyrefinowanie. Snuła też inne, jeszcze ambitniejsze plany, które zrealizuje, kiedy już nakłoni Mała, by się z nią ożenił. Wszystko w swoim czasie. Ale Morie stanowi dla niej zagrożenie, więc trzeba ją stąd usunąć.

To nie będzie zbyt trudne. Mał już teraz nie ufa nowej pracownicy o mglistej przeszłości i równie niejasnym pochodzeniu. Gelly musi tylko przymilić się do młodego pastucha, który durzy się w niej i stale się na nią gapi. Wystarczy kilka słodkich słówek i pocałunków, a chłopak zrobi wszystko, o co go poprosi. Zyskała już jego zaufanie, udając uczucie dla niego i obdarowując drobnymi prezentami. Były tanie - na przykład tandetny sygnet z wyrytymi jego inicjałami - ale odniosły skutek. Dzięki temu będzie mogła z łatwością nakłonić go, by jej pomógł.

Mallory najbardziej nienawidzi złodziei. Uśmiechnęła się. To pójdzie gładko.

Morie pomagała Darby'emu opatrzeć chorego byka. Zwierzę bronilo się, wierzgając i usiłując kopnąć ich oboje.

- No już, stary, przestań - powiedział łagodnie brygadzysta. - To otarte miejsce uległo zakażeniu i nie zagoi się bez pomocy. Weterynarz polecił stosować dwa razy dziennie maść z antybiotykiem i będziemy to robić, czy ci się to podoba, czy nie!

- Ta maść chyba rzeczywiście mu się nie podoba. - Morie zachichotała. - Ojej! -

zawołała, gdy byk poruszył się gwałtownie i przewrócił ją na stertę siana.

- Nic ci się nie stało? - spytał zaniepokojony Darby.

- Jasne, że nie. Tylko na chwilę straciłam oddech.

- Hej, Bates, chodź tu i pomóż nam! - zawołał do młodego pastucha, który właśnie wszedł do obory.

- Dobra! - odkrzyknął chłopak. - Tylko najpierw odprowadzę konia. Byłem z panną Bruner na konnej przejażdżce i pokazałem jej kilka ładnych ścieżek. - Zaczerwienił się na to wspomnienie. - To naprawdę miła dama.

Darby i Morie popatrzyli na niego ze zdumieniem, lecz tego nie zauważyli. Nadal tonął w marzeniach. Gelly pocałowała go i wyszeptała, że zrobi dla niego wszystko, czego tylko będzie chciał, jeśli odda jej jedną drobną przysługę. Miał umieścić w plecaku Morie bezcenną złotą ozdobę w kształcie jajka wysadzanego klejnotami, którą zabrała z salonu Kirków. Gelly zapewniła go, że nie zamierza wpakować Morie w tarapaty. Powiedziała, że to tylko taki żart wymyślony przez Cane'a, nic więcej. Spytała Batesa, czy jej pomoże, a on chętnie się zgodził.

Gawędził teraz z panną Morie, pomagając jej i Darby'emu okiełznać krnąbrnego byka. Rany, ależ ona się zdziwi! - pomyślał wesoło. Na pewno sama będzie się z tego śmiała. Nie pojmował, dlaczego pan Cane chce jej zrobić kawał, ale przecież nigdy nie rozumiał bogatych ludzi ani ich poczucia humoru.

- Dzięki, Bates - powiedział Darby, gdy skończyli. - Dobry z ciebie chłopak.

- Nie ma sprawy - odrzekł. - Bardzo lubię pracę na ranchu, nawet tę brudną.

- Ja też - przyznała ze śmiechem Morie. - Przyjemniej przebywać cały dzień na świeżym powietrzu, niż tkwić od dziewiątej do piątej w biurze.

- Dlatego tak mi się tutaj podoba - przytaknął Bates. - Dobra ziemia, ładne bydło, mili ludzie.

- Bardzo wielu miłych ludzi. - Morie uśmiechnęła się do Darby'ego, a on odpowiedział tym samym.

- No dobrze, wracajcie do pracy - rzekł. - Lepiej stąd wyjdźmy, zanim Stary Bucior, nasz kochany byczek, zapędzi nas w róg i kopnie. Już tak bywało. Naprawdę jest nieobliczalny.

- Stary Bucior? - spytała, gdy Bates wrócił do koni.

- Lubi deptać kowbojów. Kiedyś tak wierzgnął, że jednemu złamał nogę. - Potrząsnął głową. - Złośliwa z niego bestia. Ale to nasz najlepszy rozplodowy byk, więc uchodzi mu to na sucho.

- Nagradzany byk Kirków - mruknęła w zadumie.

- Tak. Ale skąd ty to wiesz? - zdumiał się.

- Ja... ee... zerknęłam do dokumentów transakcji... - I zakończyła gładko: -  
Rozpoznałam go po konformacji białka.

Darby'emu ze zdumienia odebrało mowę. Gdy więc milczał, mówiła dalej:

- Musisz wiedzieć, że całe życie obracam się wśród hodowców bydła. Dlatego wiem to i owo, a już na pewno rozpoznam nagradzanego byka. No, Starego Buciora rozpoznałam dopiero teraz, gdyż musiałam uważać, żeby nie zatratował mnie na śmierć.

- Jasne, rozumiem - powiedział rozbawiony i pozbył się podejrzeń.

- Chyba lepiej wrócę już do chatki przy pastwisku...

- Panno Brannt!

Odwrócili się, usłyszawszy ten chłodny, surowy głos.

- Słucham, szefie.

Mallory miał zimny wzrok i zaciętą minę.

- Czekam na ciebie w baraku. - Wyszedł.

- W baraku? - powtórzyła zdziwiona.

Wyszła na dwór i spostrzegła uśmiechniętego Batesa. Darby podążył za nią. Znał nastroje szefa, wiedział więc, co oznacza ten groźny wyraz twarzy. Widział już podobny, kiedy wyrzucano z pracy Vanessę. Ogarnęło go złe przeczucie. Spojrzał zatroskany na Morie.

Weszli do baraku mieszkalnego. Byli tam Mallory, panna Bruner, Cane i Tank. Wszyscy mieli poważne miny.

- Otwórz swój plecak - polecił szorstko Mallory.

Popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

- Dobrze. Ale po co? - spytała, gdy przyniosła go ze swojego pokoju i podała mu.

- Otwórz go - powtórzył.

Wzruszyła ramionami, położyła plecak na stole przy drzwiach i otworzyła. Wyjęła ubrania, książki i...

Na jej twarzy odbiły się nieklamane zdumienie i szok, gdy ujrzała kopię jednego z najszlachetniejszych jajek wielkanocnych dynastii Romanowów, którego oryginał wykonał złotnik Fabergé dla cara Rosji i jego małżonki. Replika była zrobiona z czystego złota wartego ponad tysiąc dolarów za gram według aktualnych cen rynkowych i wysadzana diamentami, szafirami, rubinami i szmaragdami. Kosztowała fortunę. Morie trzymała jajko w ręku i gapiała się na nie w osłupieniu. Ostatni raz widziała je w salonie Kirków w zamkniętej oszklonej gablotce. Więc jakim cudem...?

Odwróciła się i popatrzyła na wszystkich. Panna Bruner się nie uśmiechała, lecz coś w wyrazie jej twarzy sprawiło, że Morie zapragnęła wyrzucić ją przez okno.

- To jajko odziedziczyliśmy po babce, która dostała je od męża jako prezent gwiazdkowy - powiedział Mallory lodowatym tonem. - Tak naprawdę jest bezcenne.

- Przy obecnych cenach za samo złoto można by kupić limuzynę jaguara - wymamrotała wstrząśnięta.

- Interesujące, skąd uboga robotnica rolna wie takie rzeczy - skomentował zjadliwie.

Podawała mu jajko, w oczach miała wyraz zranionej dumy.

- Myśli pan, że zamierzałam je ukraść? - spytała cicho, wpatrując mu się badawczo w twarz.

- Ten dowód rzeczowy mówi sam za siebie - odparł.

Przeniosła spojrzenie na zszokowaną twarz Cane'a i nieprzeniknione oblicze Tanka.

Natomiast Darby nie zamierzał milczeć.

- Ona nie jest złodziejką - oznajmił stanowczo. - Może nie znam się szczególnie na ludzkich charakterach, ale założyłbym się o moją emeryturę, że to uczciwa dziewczyna. Widziałem, jak pobiegła za kowbojem, któremu wypadł z portfela pięciodolarowy banknot. Tak się nie zachowują złodzieje.

- To jajko zniknęło z gabloty - powiedział Mallory.

- I co, ukradła niesłychanie cenną rzecz i po prostu trzymała ją w swoim plecaku? - powiedział Tank. - Miała tysiące akrów rancza, by je ukryć i odczekać, aż minie zamieszanie...

- Zrobiła tak, bo jest bezczelna i głupia! - zawołała Gelly, czując, że argument wytoczony przez Tanka mocno działa na korzyść znieawidzonej rywalki.

- W takim razie zapytam o coś innego - drążył dalej Tank. - Skąd wzięła klucz?

- Mój zginął - oznajmił zimno Mallory i obrzucił Morie przenikliwym wzrokiem.

Wpatrywała się w niego bez słowa. Serce waliło jej tak mocno, jakby miało rozsadzić pierś. Wydano na nią wyrok bez procesu. Wszyscy przyglądali się jej mniej lub bardziej podejrzliwie. Cóż, została wrobiona i doskonale wiedziała, kto to zrobił. Dałaby głowę, że Gelly Bruner, a pomógł jej w tym pastuch Bates, z którym wybrała się na konną przejażdżkę, a on wrócił z niej rozanielony i półprzytomny ze szczęścia.

Ale nic by jej nie pomogło, gdyby oskarżyła Gelly wyłącznie na podstawie domysłu. Z wyrazu twarzy Mallory'ego poznała, że nic, co mogłaby powiedzieć, nie przekona go o jej niewinności. To raniło jej serce. Gdyby Mallory'emu choć trochę na niej zależało, nigdy by nie uwierzył, że jest zdolna do kradzieży.

Popatrzyła na niego z rezygnacją.

- Przypuszczam, że teraz wezwie pan szeryfa - powiedziała.

Zastanowiła się, jak ma to wyjaśnić rodzicom. Ojciec będzie oburzony. Zaatakuję Mallory'ego, naśle na niego cały oddział rodzinnych prawników, zniszczy jego reputację, może nawet doprowadzi do bankructwa. King Brannt jest mściwy i zawzięty, zwłaszcza gdy w grę wchodzi dobro jego dzieci, a przy tym przerażająco skuteczny. Mallory Kirk nie ma pojęcia, z jak groźnym przeciwnikiem zadziera, podobnie jak Gelly Bruner, której cała przeszłość zostanie publicznie wywleczona na światło dzienne.

- Nie - odparł, odwracając wzrok. - Nie zrobię tego. Ale natychmiast złożysz wymówienie. Chcę, żebyś w ciągu godziny wyniosła się z mojego rancza. Ani chwili dłużej. A Darby przypilnuje cię, gdy będziesz się pakowała, by się upewnić, że już nic więcej nie zginie z mojego domu.

Morie wyzywająco zadarła głowę. W jej pełnej godności postawie odbijały się trzy pokolenia hiszpańskiej rodziny królewskiej.

- Nigdy w życiu niczego nie ukradłam - oświadczyła ze spokojną dumą. - I obiecuję, że pożałuje pan tego oskarżenia.

- Groźby! - rzuciła szyderczo Gelly. - Ostatnia deska ratunku złodzieja przyłapanego na gorącym uczynku!

- Popamiętasz to - rzekła do niej Morie beznamiętnym tonem. - Nosisz zeszlóroczne ubrania, najpewniej kupione w sklepie sprzedaży wysyłkowej, i usiłujesz wkręcić się w życie szefa. - Jej słowa zaszokowały wszystkich, a zwłaszcza Gelly. - Poza tym jesteś zwykłą oszustką, nikim więcej. Nie wiem jeszcze, co knujesz, ale prędzej czy później się zdradzisz, być może z moją pomocą, czego i sobie, i innym szczerze życzę.

Gelly przysunęła się bliżej do Mallory'ego. Dostrzegła w delikatnych rysach Morie osobiście groźny wyraz. Rozpoznała go, gdyż widywała już taki wcześniej.

- Skąd miałabyś cokolwiek wiedzieć o modzie? - Mallory spytał zimno Morie, wskazując jej poplamione podarte dzinsy i starą znoszoną bluzę od dresu.

- Zdziwiłoby pana, jak wiele wiem i gdzie się tego nauczyłam. - Jej czarne oczy rzucały ogniste błyski spod długich rzęs. - Kiedyś pozna pan prawdę o mnie i aż do śmierci będzie pan żałował, że zarzucił mi kradzież.

- Przestępcy zawsze tak mówią - rzekła drwiąco Gelly.

- A ty najlepiej o tym wiesz - zripostowała Morie.

- Jak śmiesz! - Gelly ruszyła ku niej z podniesioną ręką.

- Jeżeli mnie uderzysz, przysięgam, że staniesz przed sądem - zagroziła Morie.

Mallory chwycił Gelly za ramię i odciągnął do tyłu.

- Zakończmy tę sprawę bez dalszych komplikacji - rzekł do niej.

W głębi duszy czuł się okropnie, że oskarżył Morie o kradzież. Nawet jej nie wysłuchał.

- Jeśli masz coś na swoją obronę, mów - powiedział, wpatrując się jej w oczy.

- Pewnie, że mam. - Roześmiała się. - Zostałam wrobiona, oczywiście przez nią. - Wskazała na Gelly. - Ale nikt mi nie uwierzy. Jestem tu tylko nową pracownicą, robotnicą ze społecznych nizin. - Błyskawicznie włożyła swoje rzeczy do plecaka, w tym mały telewizor, iPoda i płaszcz. - Tylko tyle ze sobą przywiozłam. Czy ktoś mógłby mnie podwieźć do miasta na dworzec autobusowy? Czy mam iść pieszo? - spytała lodowatym tonem.

Mallory poczuł się jeszcze gorzej na widok ubóstwa Morie. Może rozpaczliwie potrzebowała pieniędzy? Ale jeśli tak, to dlaczego nie zwróciła się do niego o pomoc? Pojął nagle ze wstydem, że zablokował jej tę drogę przez swoją podejrzliwość i wrogość.

- Ja cię odwiozę, kochanie - zaofiarował się łagodnie Cane. - Chodźmy.

- Ja mogę ją odwieźć - zaprotestował Tank.

Było oczywiste, że żaden z nich nie wierzy w jej winę.

- Dziękuję - powiedziała szczerze. - Na zawsze zachowam was obu we wdzięcznej pamięci.

Mallory'ego rozzłościło, że jego pominęła, uznała za wroga. Nie mógł znieść, że bracia w jej oczach byli uczciwymi i przyzwoitymi ludźmi, a on wyszedł na niegodziwca.

- Darby, mógłby pan zawieźć mnie do miasta? - zwróciła się do starego brygadzysty. - Oczywiście jeśli szef nie ma nic przeciwko temu.

- Odwieź ją - rzucił szorstko Mallory, patrząc gniewnie na braci. - Na wypadek, gdybyście zapomnieli, przypominam wam, że miała w plecaku wysadzone klejnotami jajko naszej babki!

Oni zaś wrogo spojrzeli na Gelly, która przysunęła się jeszcze bliżej do Mallory'ego.

- Dlaczego tak na mnie patrzycie? Ja niczego nie ukradłam!

- Ani ja - oznajmiła gromko Morie, zarzucając plecak na ramię. - Kiedy wrócę do domu - dodała z zimnym uśmiechem - poproszę ojca, by dowiedział się o tobie wszystkiego. Jestem pewna, że odkryje interesujące sprawy.

Gelly wpadła w panikę, gdy jednak popatrzyła na nędzny ubiór Morie, przestała się martwić.

- Och, jasne - rzuciła z kpiącym śmiechem. - Czy on w ogóle ma komputer?

Zdziwiłabyś się, pomyślała Morie, lecz nie powiedziała tego. Mijając Mallory'ego,

rzuciła mu spojrzenie pełne smutku i bólu.

- Szkoda, że nie miał pan nawet cienia wątpliwości co do mojej winy - powiedziała cicho.

- Miałem - mruknął.

- A jednak uważa pan, że was okradłam.

- Bo to zrobiłaś - rzekł z uporem.

Potrząsnęła głową.

- Pewnego dnia pozna pan prawdę, co będzie dla pana bardzo przykre, może nawet bolesne. Ale będzie już za późno.

Po plecach Mallory'ego przebiegł chłodny dreszcz. To przecież niemożliwe, by pomylił się co do Morie. Gelly poinformowała go, że jeden z pracowników wie o czymś podejrzanym, lecz boi się powiedzieć. Sama usłyszała o tym od niego przypadkiem, podczas konnej przejażdżki. Biedny chłopak niemal ze łzami w oczach zrelacjonował, że zobaczył w rękach Morie to piękne jajko, które kiedyś widział w gablocie w głównym budynku rancza. Oczywiście Gelly nie wspomniała, że sama namówiła Batesa, by opowiedział szefowi tę historię, i że poinstruowała go, jak się ma zachować.

Mallory poczuł się okropnie. Morie wyjedzie i już nigdy jej nie zobaczy. Jednak nie powinien się tym przejmować. Zabiegała o niego wyłącznie ze względu na jego pieniądze. Nigdy żadna kobieta nie interesowała się nim z innego powodu. Wiedział, że nie jest przystojny, a Morie to naciągaczka. Dlaczego więc tak strasznie go zabolalo, gdy dostrzegł cierpienie na jej twarzy? Gdy wychwycił je w jej głosie?

- Idź już - rzekł szorstko. - Zanim się rozmyślę i wniosę przeciwko tobie oskarżenie.

- Och, to byłoby bardzo ciekawe - odparła ostro, zuchwale. - Naprawdę bardzo ciekawe. Kusi mnie, by nakłonić pana do tego.

Rzuciła wymowne spojrzenie Gelly, która drgnęła nerwowo i zaczerwieniła się.

- Nie! - wykrzyknęła, nagle zaniepokojona pewnym siebie uśmiechem Morie. Wiedziała, że przyjaźni się z sędzią, który zna Cane'a, i mogłaby dogrzebać się do jej dawnych sprawek. - Nie, to byłaby zbyt surowa kara - rzekła do Mallory'ego. - Ona jest uboga. Po prostu pozwól jej odejść. Prędzej czy później i tak spotka ją to, na co zasłużyła.

- Jak rozumiem, mówisz o sobie - odparowała Morie. Potem zwróciła się do Cane'a i Tanka: - Praca w Rancho Real naprawdę sprawiała mi przyjemność.

- Wątpię, by tak było - powiedział ze smutkiem Cane.

- Ja również - przytaknął Tank.

Popatrzyli z gniewem na Mallory'ego, który odparł porywczo:



- Najwyraźniej owinęła was sobie wokół palca. Nie widzieliście, że miała w plecaku jajko Fabergé? Pewnie jakimś cudem samo się tam dostało, co?

Morie uznała, że spróbuje zapobiec kłótni między braćmi.

- Spowodowałam już dość kłopotów - powiedziała. - Będę musiała wrócić i ponieść konsekwencje.

Miała na myśli powrót do rodzinnego domu i wyrażenie zgody na zaaranżowane przez ojca małżeństwo z synem jego najlepszego przyjaciela, milionerem prowadzącym świetnie prosperującą hodowlę bydła rzeźnego w północnym Teksasie. Dzięki temu dojdzie do korzystnego połączenia majątków obu rodzin.

- Masz problemy w domu, co? - spytał szorstko Mallory.

- Niemal stale - ucięła. - Dziękuję, że mnie pan u siebie zatrudnił - dodała z ledwie słyszalnym sarkazmem. - Wiele się tutaj nauczyłam. - Odwróciła się do Darby'ego. - Zwłaszcza od pana. Będzie mi pana brakowało.

- Mnie ciebie też - zapewnił, po czym wyszedł, rzucając chłodne spojrzenie na Mallory'ego.

Ruszyła za brygadzystą do drzwi, zatrzymała się jednak w progu, odwróciła do Mallory'ego, zmierzyła go gniewnym wzrokiem i oświadczyła szorstko, nieprzyjaźnie:

- Pana nie będzie mi brakować. Całkowicie się co do pana myliłam. Nie sądziłam, że kiedykolwiek będzie pan zdolny wydać na mnie wyrok w oparciu o tak wątpliwe poszlaki. Ale nie mogę przecież oczekiwać życzliwości i troski od obcego człowieka. Miałam marzenia... - Urwała i spuściła głowę. - Głupie marzenia. W każdym razie, uważajcie na siebie - rzekła do pozostałych braci. - Może kiedyś jeszcze się spotkamy.

Znów popatrzyli na Mallory'ego z gniewnym wyrzutem, ale Morie już wsiadła do furgonetki, a Darby włączył silnik. Wracala do rodzinnego domu w Teksasie.

- Zapamiętaj moje słowa: Gelly Bruner maczała palce w tej sprawie - rzekł gniewnie Cane do Tanka. - Wrobiła Morie.

- Masz rację - zgodził się brat. - Nie powinniśmy byli pozwolić jej wyjechać. Należało zmusić Mała, żeby jej wysłuchał.

- To na nic. Zadurzył się w Morie i to mu się nie podobało. Pragnął wierzyć, że jest złodziejką, aby mieć pretekst do zwolnienia jej z pracy. Niemal go skłoniła, żeby pozwał ją do sądu. Czy jakakolwiek złodziejka zyczyłaby sobie procesu?

- Wykluczone. Pamiętam, jak Joe Bascomb powiedział, że nie może się już doczekać sprawy w sądzie, by zostać oczyszczonym z zarzutów. Oczywiście wiemy, czym to się skończyło. Swoją drogą ciekawe, jakim cudem Bates mógł zauważyć jajko w rękach Morie?

Darby mówił, że mieszkała w oddzielnym pokoju i zawsze zamykała drzwi. Więc jak mógł ją widzieć?

- I dlaczego, u licha, Gelly wybrała się z nim na konną przejażdżkę? - dorzucił Cane. - Coś tu śmierdzi, bardzo śmierdzi. Pamiętasz, co już tu się zdarzyło? Co za dziwny traf, że to akurat Gelly znalazła zaginioną wiertarkę w walizce pracownika rancza. Teraz już byłego pracownika... Ano i zobacz, co za kolejna niespodzianka! Przypadkiem usłyszała wyznanie pastucha, że widział w rękach złodziejki bezcenne dzieło sztuki. Cóż za dogodny zbieg okoliczności!

- Myślę, że powinniśmy przeprowadzić na własną rękę dochodzenie - powiedział Tank. - Wciąż mam znajomości w sferach rządowych, między innymi wśród tajnych agentów. Chyba nietrudno przyjdzie im sprawdzić naszą drogą pannę Bruner, co?

- Mał nie da wiary żadnej negatywnej opinii na jej temat.

- Tak sądzisz? Coś cuchnie z tym kawałkiem ziemi, który chce kupić przyjaciel Gelly, i Mał o tym doskonale wie. Na pewno cuchnie też w wielu innych miejscach. Trzeba tylko to sprawdzić.

- Jasne. A więc do roboty.

Morie, nieświadoma planów młodszych braci Kirków, jechała autobusem do Jackson, by stamtąd polecieć samolotem do domu. Pożegnała się z Darbym przed dworcem. Nie chciała, by zobaczył, że kupuje bilet do Jackson, gdyż miała przecież wrócić do Teksasu. I rzeczywiście, wróci tam, tyle tylko że odrzutowcem firmy ojca. Samolot będzie czekał na nią na lotnisku w Jackson.

Z kilku powodów nie chciała wyjawić rodzicom, co przydarzyło się jej na ranczu. Po pierwsze czułaby się upokorzona, gdyby musiała im oznajmić, że zarzucono jej kradzież. Po drugie ojciec najechałby na Kirków jak czołg i nie spocząłby, póki nie wykorzystałby wszystkich dostępnych prawnych środków, aby zniszczyć Gelly Bruner i każdego, kto pomógł jej wrobić jego córkę w kradzież.

Morie doszła do wniosku, że to musiał być Bates. Ten głupi chłopak szalał za Gelly. Bóg jeden wie, co mu obiecała, by go nakłonić do współudziału w tej intrydze, ale Morie doskonale pamiętała jego dziwny uśmiezek. Wkrótce potem została zwolniona z pracy. Bates spędził z Gelly cały ranek. Poza tym Bruner wcześniej wrobiła jednego z pracowników rancza, którego także wyrzucono za kradzież. Wszystko to razem wydawało się całkiem pozbawione sensu, a jednak jakiś sens musiało mieć. Kluczem mogły być tajemne cele, które przyświecały Gelly.

Naturalnie nikt na ranczu nie wiedział, kim naprawdę jest Morie Brannt, i nie znał jej

pochodzenia. Gdyby się o tym dowiedziano, Gelly położyłaby głowę pod topór, bowiem Morie była bajecznie bogata, natomiast Gelly tylko obsesyjnie marzyła o wzbogaceniu się. Chciała przecież poślubić Mallory'ego, by zdobyć majątek. Od początku zazdrościła Morie i niewątpliwie widziała, że Mallory interesuje się nową pracownicą nie tylko z pobudek zawodowych.

Namiętne pocałunki z Mallorym uspiły czujność Morie. Nigdy nie przypuszczała, że tak się to wszystko skończy. Pohamowała łyzy gniewu i goryczy. Może w gruncie rzeczy dobrze się stało, powiedziała sobie. Mallory uwierzył w jej winę. Gdyby mu na niej zależało, nic by go nie przekonało, że jest złodziejką. To niezbity dowód, że odczuwał do niej jedynie zmysłowy pociąg. Gdyby było inaczej, nie potraktowałby jej tak zimno i bezwzględnie.

Otarła oczy sfatygowaną chusteczką. Ojciec dostanie szału, gdy się dowie, gdzie przebywała jego córka, ale matka wstawi się za nią. Wszystko będzie dobrze, pomyślała. Musi tylko jakoś przetrwać następnych kilka dni, a potem dojdzie do siebie. Powróci do dawnego życia, a wspomnienie o Mallorym stopniowo zblaknie. Być może za rok nie będzie nawet pamiętała, jak wyglądał. Czas leczy rany.

Rodzice czekali na nią na lądowisku rancza. Jak zawsze stali objęci i uśmiechali się do siebie. Gdy zeszła po schodkach odrzutowca, matka podbiegła do niej i uściskała ją serdecznie.

- Morie! - zawołała. - Jak to dobrze, że wróciłaś do domu!

- Układałaś bele siana? - spytał ojciec. Jego czarne oczy, tak bardzo podobne do jej oczu, spoglądały na nią podejrzliwie.

- Tak. - Objęła go z uśmiechem. - Nie denerwuj się, tato.

Przytulił ją mocno.

- W porządku. Dobrze mieć cię znowu w domu, smarkulo. - Odsunął Morie na odległość ramion. - A teraz mów, u licha, gdzie się podziewałaś przez te tygodnie?

- Pracowałam na ranczu jako robotnica rolna - wyznała.

- Na Boga! - wykrzyknął gniewnie. - Nie pozwoliłbym ci tutaj podnieść nawet jednej beli siana, a ty wyjechałaś pracować na...!

- Proszę, nie gniewaj się - przerwała mu. - Nauczyłam się bardzo wiele o pracy na ranczu. O cieleniu się krów, karmieniu bydła, naprawianiu płotów, czyli tego, czego nigdy nie chciałeś mnie uczyć. Nauczyłam się wszystkiego od podstaw. A w dodatku sprawiało mi to przyjemność.

- Gdzie pracowałaś? - dopytywał się niecierpliwie.

- W Wyomingu, u ludzi, którzy nie mieli pojęcia, kim jestem. I nic więcej nigdy o tym

nie powiem.

- Czy to było duże ranczo? - zapytał.

- Rodzinne. - Wzruszyła ramionami.

- Ach tak...

- Prowadzi je kilku braci. Byli bardzo mili. Miałam nawet w baraku mieszkalnym własny pokój, a wszyscy pracownicy troszczyli się o mnie. Ranczo podobne do naszego, tylko mniejsze. O wiele mniejsze - dodała dla zmylenia tropu.

- Czy odchodząc stamtąd, poinformowałaś ich, kim naprawdę jesteś? - zainteresowała się Shelby.

- Nie. Powiedziałam tylko, że muszę wyjechać do domu. - Umknęła wzrokiem.

Shelby знаła ją dobrze, toteż domyśliła się, że córka nie chciała powiedzieć wszystkiego.

- Cóż, możemy porozmawiać o tym później - rzekła łagodnie, po czym uśmiechnęła się do męża. - A teraz zaprowadźmy ją do domu i porządnie wyszorujmy. Prawdę mówiąc, Morie, wyglądasz strasznie niechlujnie.

- Na tym właśnie polegał urok pobytu na ranczu w roli robotnicy, a nie panienki dziedziczki - odparła ze śmiechem.

- Cieszę się, że już jesteś u nas. - Matka znowu ją uściskała. - Bez ciebie brakowało mi kobiecego towarzystwa. Nie miałam z kim porozmawiać o przepisach kulinarnych ani o paryskich wyprzedazach i modzie.

King się skrzywił, po czym powiedział:

- Jak już sobie pogadacie o fatalaszkach, pomówię z tobą o wynikach sprzedaży naszej produkcji w tym miesiącu.

Shelby zgromiła go wzrokiem.

- Znudziło mnie już słuchanie o tym. Poza tym, mój drogi, ktoś musi się zajmować organizowaniem tych wszystkich przyjęć dla nabywców. Przecież nie ty! Nie masz pojęcia o wynajmowaniu firmy cateringowej i zespołu muzycznego, wypożyczaniu stołów, krzeseł i markiz...

- O rety, już tak późno? - zawołał King, zerkając na duży zegarek na przegubie. - Muszę pojechać cechować bydło!

- Więc możesz po drodze podrzucić nas do domu - powiedziała z uśmiechem Shelby.

Odpowiedział jej uśmiechem. Zarzucił na ramię pudło i plecak przywiezione przez Morie i poszedł do dużego suva.

Tego samego dnia pod wieczór Shelby dopadła Morie w sypialni.

Weszła do środka, zamknęła drzwi i oświadczyła:

- Możesz oszukać tatę, ale mnie nigdy. - Usiadła obok córki na sofie przykrytej nieskazitelnie czystą kołdrą. - Teraz mów szczerze, co się naprawdę stało.

Morie oparła głowę na jej ramieniu i wyznała cicho:

- Zakochałam się, mamo.

- Naprawdę?!

- On jest potworem. Ma przyjaciółkę, która udaje kogoś, kim nie jest. Kazała jednemu z pracowników rancza, żeby podrzucił do mojego plecaka złote jajko wysadzone klejnotami i skłamał, że ukradłam je z gablotki w salonie. Mamo, to była warta fortunę replika jajka Fabergé. Więc szef mnie wylał z roboty i wróciłam do domu. Koniec, kropka.

- Oskarżył cię o kradzież?! - wykrzyknęła wstrząśnięta Shelby.

- Tak. Powiedział, że nie wezwie szeryfa, ale wylał mnie z pracy.

Czarne oczy Shelby błysnęły.

- Pozwiemy go do sądu o zniesławienie! - wykrzyknęła mściwie. - Puścimy go z torbami! Co za łajdak! Trzeba wezwać prawników, a potem do sądu!

- Nie - odparła spokojnie Morie. - To byłoby bezcelowe. Jego przyjaciółka mnie wrobiła. Nie potrafię tego dowieść, ale wiem, że tak jest. On jej uwierzył - dodała, spoglądając znacząco na matkę. - Żaden mężczyzna, który kocha kobietę, nie oskarżyłby jej wyłącznie na podstawie poszlaki, nieważne jak bardzo obciążającej.

Shelby odetchnęła głęboko i skinęła głową.

- Skoro tak właśnie chcesz postąpić...

- I proszę, nie mów o tym tacie.

- Coś muszę mu powiedzieć. - Shelby westchnęła ciężko.

- Wobec tego podaj to w jak najłagodniejszej formie, dobrze? - poprosiła Morie.

Wiedziała, że rodzice nie mają przed sobą tajemnic, i zazdrościła im tej bliskości i szczerości. Przeczynała, że nigdy nie spotka nikogo, z kim mogłaby dzielić swoje sekrety.

- Przedstawię to ogólnie - obiecała matka. - Ale nie podoba mi się ta sytuacja. Nie jesteś złodziejką!

- Wystarczy, że my to wiemy. Nie musimy nikomu tego udowadniać.

- To prawda. Tak czy inaczej, mam ochotę złożyć skórę twojemu szefowi i jego przyjaciółce - oświadczyła porywczo Shelby. - Och, żebym tylko ich dorwała...

Owszem, Shelby na co dzień miała łagodny charakter, ale gdy już wpadła w złość...

- Dziękuję, mamo. - Morie ją uściskała.

- Jesteś moją córką i kocham cię. - Shelby pocałowała ją w policzek i nagle

spochmurniała. - Co, u licha, stało się z twoją twarzą?

- To tylko zadrapanie. Usuwałam gałąź i lekko mnie drasnęła. Świetnie się zagoi, zobaczysz. Posłuchaj, zjadłabym pieczoną rybę z ziołami i masłem. Proszę!

Matka się roześmiała.

- Dobrze. Przyrządzę ją dla ciebie z okazji powrotu do domu. Cieszę się, że wróciłaś.

Morie z westchnieniem rozejrzała się po znajomym wnętrzu.

- Tak, ja też się cieszę - odrzekła.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Morie z pełnym zaangażowaniem pomagała matce w ostatnich przygotowaniach do wielkiej imprezy dla nabywców bydła. Jednocześnie musiała sobie poradzić z ojcem, który koniecznie chciał ją wyswatać. Daryl Coleman był wysoki, śniady i całkiem przystojny. Jego rodzina posiadała olbrzymią farmę zwierząt rzeźnych w północnym Teksasie, natomiast Daryl był dyrektorem generalnym firmy naftowej z siedzibą w Oklahomie. Świetnie znał się na innowacjach technicznych i komputerach. Uosabiał wymarzony ideał każdej kobiety szukającej kochanka lub planującej zamążpójście.

Miał tylko jedną wadę, mianowicie nie był Mallorym Kirkiem.

Jednak Morie bardzo mu się spodobała. Adorował ją, gdy tylko mógł, był przy niej. Po haniebnych insynuacjach Mallory'ego i po tym, jak ją traktował, przechodząc na przemian od gorącej namiętności do lodowatego chłodu, towarzystwo Daryla okazało się dla niej miłym wytchnieniem. Miał nienaganne maniery, był gruntownie wykształcony i bystry, miał poczucie humoru i otwarty stosunek do rzeczywistości, no i uwielbiał tańczyć, co dla Morie miało ogromne znaczenie, jako że taniec był jedną z jej największych życiowych pasji.

Daryl zawiózł Morie do Dallas odrzutowcem firmy, w której jego rodzina miała sporą część udziałów, i poszli do latynoskiego klubu tanecznego. Nie był to jednak stylizowany na latynoski lokal, których pełno w całych Stanach, tylko jak najbardziej autentyczny.

- Skoro pragniesz nauczyć się tanga, to lepszego miejsca nie znajdziesz - powiedział z uśmiechem.

- Już sama nie wiem, czy chcę. - Niepewnie rozejrzała się wokół. - Na filmach wygląda to inaczej, jakby tango było łatwym tańcem. A tutaj widać, jakie to trudne. Nigdy mi się nie uda... - Powiodła wzrokiem za jedną z par. - Popatrz tylko na nich. Są cudowni!

- Bo tańczą prawdziwe tango. To, co pokazują w filmach, niewiele ma z nim wspólnego. - Lewą dłoń ujął prawą dłoń Morie, a drugą rękę położył na jej biodrze. - Tango nie jest zwykłym tańcem. Wyraża walkę między mężczyzną a kobietą. Bywa szybkie i powolne, gwałtowne i leniwie zmysłowe. Ci, którzy naprawdę czują tango, nie tyle tańczą, ile opowiadają odwieczną historię o wojnie płci. O wzajemnym przyciąganiu i odpychaniu, miłości i nienawiści. - Uśmiechnął się do niej. - By jednak to robić, trzeba poznać podstawowe kroki. Poprowadzę cię, a ty po prostu podążaj za mną. Jesteś świetną tancerką, więc łatwo ci to przyjdzie.

- Obiecałeś, że będzie łatwo - marudziła, gdyż już trzy razy potknęła się i wpadła na

Daryla, a także omal nie przewróciła kelnera, który z tacą drinków zmierzał do restauracji na drugim końcu klubu. W pobliżu parkietu tanecznego nie pozwalano na picie alkoholu.

- Wyszłaś z wprawy, dziewczyno - rzekł Daryl z kpiącym uśmiechem. - Za dużo czasu spędzasz przy bydle, a za mało w towarzystwie przystojnych, eleganckich mężczyzn, takich jak ja.

Podniosła wzrok na jego urodziwą twarz i błyszczące czarne oczy.

- I nadzwyczaj skromnych! - dorzuciła ze śmiechem.

- Jestem skromny, przecież zatajam moje najwspanialsze zalety.

- Doprawdy, Darylu, jesteś zadziwiający - skomentowała rozbawiona, nachylając się ku niemu.

Objął ją mocniej i przyciągnął bliżej.

- Pewnie, że tak. Naprawdę, powinnaś za mnie wyjść - dodał z uśmiechem. - Twój ojciec powtarza to, ilekroć mnie spotka.

- To prawda, bardzo cię lubię, ale... - Już nie była rozbawiona.

- Ale co? - ponaglił ją, gdy zamilkła.

- Czyżbyś nie rozumiał, w czym rzecz? - spytała sucho. - Na pewno rozumiesz.

- Chodzi ci o te wszystkie... dodatkowe sprawy? To nie powinno być proble...

- To jest problem - wpadła mu w słowo. - Wiesz przecież doskonale, że mojemu ojcu chodzi o fuzję majątków, a małżeństwo jest najłatwiejszą drogą wiodącą do tego celu. Podobnie myślą twoi rodzice. Jesteśmy traktowani jak dwa pakiety akcji, które należy połączyć. Odpowiada ci to?

- Oczywiście masz rację, ale wszystko zależy od nas, od tego, jak sami to potraktujemy. Jak potraktujemy siebie nawzajem.

- Być może... Ale powtórzę jeszcze raz, mój ojciec i twoi rodzice mają wspólny biznesowy cel, który chcą zrealizować, kojarząc nasze małżeństwo. Panuje recesja, ceny ziemi i innych nieruchomości ostro dołują, więc to dobry czas na perspektywiczne inwestycje, gdy ma się kapitał, a najlepiej dwa połączone kapitały. To, co się wokół nas dzieje, to po prostu ekonomiczne swaty - stwierdziła cierpko, po czym dodała nieprzyjaznym tonem: - Naprawdę ci to odpowiada?

- Mówiąc szczerze, jest mi to obojętne. - Wzruszył ramionami. - Ważne jest dla mnie to, że przed tobą nie spotkałem żadnej kobiety, którą chciałbym poślubić. Jesteś ładna, miła, mądra i uczciwa, no i nie interesują cię moje pieniądze.

Przestała tańczyć, spojrzała na niego i bardziej stwierdziła, niż spytała:

- Ale była jakaś kobieta, która chciała wyjść za ciebie tylko z powodu twojego



majątku, prawda?

- Może było więcej takich kobiet, ale nie zwracałem na to uwagi. Aż wreszcie związałem się na poważnie. Też była miła i ładna, a ja szalałem za nią. A gdy już miałem się jej oświadczyć, zobaczyłem, jak podczas przyjęcia wymknęła się z gospodarzem do sypialni. Wrócili po jakimś czasie rozczochrani i roześmiani. Kiedy ją o to spytałem, przyznała bez mrugnięcia okiem, że się z nim przespała. Ofiarował jej drogi brylantowy pierścionek, więc chciała mu się odwdziżyć. - Twarz mu stężała. - Powiedziała, że to nic wielkiego, przecież wszystkie tak robią, więc nie rozumie, dlaczego tak się wściekam. Przecież to tylko seks.

- Istotnie, w dzisiejszych czasach większość ludzi tak to traktuje - odparła, patrząc w jego czarne oczy. - Nie widzą w tym niczego złego. To normalne, że ma się kochanków lub kochanki, nikogo nie dziwi przygodny seks. Aż trudno uwierzyć, że pięćdziesiąt lat temu wyznawano wyższe standardy moralne, dotyczy to zarówno mężczyzn, jak i kobiet, dzięki czemu nie dochodziło do rozpadu rodzin. A teraz, jak gdzieś czytałam, ilość rozwodów sięga aż pięćdziesięciu procent. Co drugie małżeństwo nie wytrzymuje próby czasu!

- Też o tym czytałem i o ile pamiętam, ten wskaźnik jest nawet wyższy. - Westchnął. - Wiesz, kocham swoją pracę, uwielbiam nowoczesną technikę, ale wyznaję konserwatywne czy też staroświeckie, jak wielu to określi, poglądy na sprawy obyczajowe i światopoglądowe. To sprawia, że w pewnym sensie czuję się obcy we współczesnym świecie.

- Tak jak ja, Darylu, tak jak ja - wyznała w zadumie, po czym przytuliła się do niego i zamknęła oczy. - Może rzeczywiście powinnam za ciebie wyjść. Pod wieloma względami jesteśmy do siebie podobni, no i szczerze cię szanuję i lubię.

- Też cię szanuje i lubię, skarbie. - Objął ją mocniej. - Myślę, że to stwarza solidne podstawy do zbudowania dobrego małżeństwa.

- Pewnie tak... - powiedziała cicho. - Choć pamiętaj, rozmawiamy tylko wstępnie, bez żadnych zobowiązań.

- Oczywiście... Zadumał się na moment. - Jednak chciałbym ci na coś zwrócić uwagę. Ludzie często pobierają się bądź to z lekkomyślności, bądź dla czystego interesu. Jednak nas łączy coś innego, prawda? Szczera sympatia i szczerze pragnienie zbudowania trwałego związku. Prawda, Morie?

- Pewnie tak... - powtórzyła i znów zaznaczyła: - Ale to tylko teoretyczna rozmowa. Za wcześniej na jakiegokolwiek zobowiązania.

Nadal miała zamknięte oczy i tańczyła z Darylem, starając się nie myśleć o tym, jak by to było, gdyby nie on, ale Mallory trzymał ją w ramionach i całował w ten cudownie seksowny sposób, który przyprawiał ją o dreszcze rozkoszy. Tak, musi o tym zapomnieć.

I skupić się na realnym życiu, nie na mrzonkach, a rozmowa z Darylem jak najbardziej osadzona była w rzeczywistości. I stojąc na twardym, praktycznym gruncie, Morie zadała sobie pytanie, czy nie jest bezpieczniej poślubić mężczyznę, którego tylko lubiła. Namiętna miłość z całą pewnością strasznie komplikuje życie, jakże często jest przyczyną wielkich rozczarowań i dramatów.

Daryl pocałował ją we włosy, po czym spytał rzeczowym tonem:

- Jaki chciałabyś pierścionek?

Odetchnęła głęboko. Cóż, przechodzili do konkretów, sprawa stawała się coraz bardziej realna.

- Ja wiem? - Zadumała się na moment. - Darylu... - Nagle wystraszyła się tego konkretnego, tej realności. - Owszem, powiem ci, ale wiedz o tym, że niczego jeszcze nie zdecydowałam.

- Rozumiem... Więc jaki pierścionek? - naciskał z ciepłym uśmiechem.

- Lubię rubiny, więc może właśnie taki?

- Wedle życzenia, Morie - odparł lekkim tonem. - Moja rodzina ma udziały w sieci sklepów jubilerskich, więc możesz mieć każdy szlachetny kamień, jaki ci się spodoba, i polecimy jubilerowi, żeby stworzył z niego wspaniały pierścionek na twoją wymarzoną ślubną ceremonię.

W jej wymarzonej ceremonii ślubnej panem młodym byłby Mallory. Oczywiście nie powiedziała tego Darylowi. Być może niedługo zostanie jego narzeczoną, potem żoną. Nie mogła już nie brać pod uwagę tego wariantu... tej drogi swojego życia. Musi tylko podjąć ostateczną decyzję...

Podjąć decyzję? Ona ma ją podjąć?!

Przecież doskonale wiedziała, co się dzieje. Właśnie wpadła w sieć zastawioną przez ojca i bezwolnie się temu poddawała, pozwalała, by zdecydował o jej życiu.

Jeszcze niedawno była buntowniczką, próbowała wydeptać sobie swoje ścieżki, lecz skończyło się to dla niej źle, po prostu fatalnie.

Nie wolno jej o tym zapominać.

Być może więc nadeszła pora, by posłuchała rady ojca i wreszcie zrobiła coś sensownego. Przecież Daryl to ze wszech miar właściwy wybór. Jest przystojnym młodym mężczyzną, wykształconym, miłym i odpowiedzialnym, ma ustabilizowane, konserwatywne poglądy na życie, co bardzo jej odpowiada, do tego znają się od dawna... Innymi słowy, jest doskonałym kandydatem na męża. To nie będzie namiętny związek, ale za to taki, który na pewno przetrwa.

Bo musiałyby się wydarzyć prawdziwa katastrofa, by rozpadł się związek dwojga tradycjonalistów, dwojga ludzi, którzy choć żyją w nowoczesnym świecie i nie zamykają się przed cywilizacyjnymi dobrami, to jednak w głębi duszy pozostali konserwatywnymi Amerykanami.

Bezpieczne, solidne małżeństwo bez miłości...

By ruszyć tą drogą, musiała zrobić tylko jedno: zapomnieć o Mallorym Kirku. Jednak nie będzie to łatwe.

Mallory miał poważny problem, ponieważ bracia odmawiali przebywania w jednym pomieszczeniu z Gelly. Ot, choćby dziś, kiedy zjawiała się na ranczu i zatrzymała swój niewielki używany samochód przed frontowym gankiem, zadbali o to, by ich zobaczyła, a potem demonstracyjnie się oddalili.

- Musisz tak ostentacyjnie okazywać, że jej nie lubisz? - rzucił wściekle Mallory.

- A wiesz, muszę - odparł zimno Cane - bo cholernie jej nie lubię. A powód tego nielubienia jest taki, że wrobiła Morie w kradzież.

- Do diabła, wcale nie! Po prostu Gelly podczas konnej przejażdżki przypadkiem usłyszała od Batesa, co zobaczył.

- Tak jak wcześniej przypadkiem dowiedziała się, że zaginiona wiertarka jest w walizce jednego z naszych pracowników - zripostował Cane. - Przepraszam, jednego z byłych pracowników. Bo jakoś tak się dziwnie składa, że każdy, kto podpadnie Gelly, wylatuje z rancza.

- To zwykły zbieg okoliczności - mruknął Mallory, umykając wzrokiem.

Cane wsadził ręce w kieszenie, podszedł do panoramicznego okna i wyjrzał na rozległe pastwisko, na którym zielona trawa zaczynała się już przebijać przez niedawno spadły śnieg.

- I na wypadek, gdybyś zamierzał zapytać, oświadczam, że nie zgodzę się, by jej przyjaciel kupił ten tak zwany nieużytek.

- Ani ja - poparł go Tank, który właśnie do nich dołączył. - Rozmawialiśmy już o tym, Mal, i doszliśmy do wniosku, że być może coś tu śmierdzi, ktoś próbuje dorobić się naszym kosztem. Miałeś sprawdzić, o co tu naprawdę chodzi.

Mallory nie odpowiedział. Cóż, nie sprawdził, zupełnie jakby bał się poznać prawdę. On, który zawsze twardo stąpał po ziemi, chował głowę w piasek, bo gdyby prawda okazała się gorzka, wówczas straciłby coś bardzo ważnego.

Chodziło oczywiście o Gelly.

Z jednej strony wyprowadzała go z równowagi nieustannym naleganiem, by sprzedał

nieużytki. Po prostu zadreęczała go, a on dla świętego spokoju był bliski tego, by zgodzić się na tę transakcję. Warto przy tym dodać, że Gelly również w innych sprawach nieraz zachowywała się tak, że Mallory albo wstydził się za nią, albo tłumił wybuch złości.

Z drugiej jednak strony Gelly, gdy nie zachowywała się okropnie czy żenująco, dawała Mallory'emu coś niezwykle cennego. Była po kobiecemu ciepła i czuła, a także namiętna, mówiła też, że jest niesłychanie atrakcyjny, przystojny i cudownie męski. Zwierzyła się też, jak bardzo się bała, że go utraci z powodu Morie Brannt, szczęśliwie jednak ta pazerna intrygantka i złodziejka zniknęła stąd na zawsze.

Te dowody oddania i podziwu bardzo schlebiały Mallory'emu, który od młodych lat cierpiał na głęboko skrywany kompleks brzydala i nieatrakcyjnego faceta. Wprawdzie życie tego nie potwierdziło, bo wzbudzał zainteresowanie u wielu kobiet, z czego nieraz skorzystał, jednak kompleksy kierują się własną logiką. Dlatego cieszył się z adoracji i oddania Gelly, co skutkowało tym, że programowo nie dostrzegał jej wad, a w każdym razie je bagatelizował.

A także starał się stłumić nękające go z powodu Morie wyrzuty sumienia, którą oskarżył o kradzież i wywalił z pracy na podstawie bardzo wątpliwych dowodów.

- Czy znalazł się klucz do gablotki? - spytał Cane.

Mallory stanął obok niego przy oknie i odparł:

- Tak, był w kieszeni mojej kurtki. Zapewne przez roztargnienie wsadziłem go tam, zamiast jak zawsze włożyć do szuflady.

- Dziwne - zauważył Tank.

Mallory wiedział, że Gelly znała miejsce przechowywania klucza. Pewnego razu przyglądała się z podziwem złotemu jajku, więc wyjął klucz, otworzył gablotkę i pozwolił jej potrzymać je w dłoni. Jednak teraz nie wspominał o tym braciom.

Podeszli do gablotki i uważnie przyjrzeni się jajku.

Mallory zmrużył oczy, trwał przez chwilę w bezruchu, wreszcie powiedział nieswoim głosem:

- Wygląda dziwnie...

- Tak, też to teraz zauważyłem - dodał Cane. - Otwórz gablotkę.

Mallory wyjął z szuflady klucz i otworzył oszklone drzwi kunsztownie rzeźbionej drewnianej szafki. Wziął do ręki jajko, zmarszczył brwi i niemal wyszeptał:

- Dobry Boże, widzicie to samo co ja? To partacka robota, a kamienie... To zwykłe kolorowe szkiełka! Cholera, to ordynarna podróbka!

- Tania podróbka, zwykła fuszerka... - Cane zacisnął szczęki. - Ktoś się obłowił naszym kosztem... Niech tylko dorwę sukinsyna!

- Wiadomo, kto to zrobił - kategorycznie zawyrokował Mallory. - To sprawka Morie!  
- Cały aż kipiał z wściekłości. - Miała w plecaku prawdziwe jajko.

- Przecież ci je zwróciła - zaproponował gniewnie Tank. - Sam widziałem, jak włożyłaś je z powrotem do gablotki. Morie nie było już wtedy na ranczu.

Mallory nie chciał tego przyznać. Wolał uważać Morie za złodziejkę. Kazał się jej spakować, zmieszał ją z błotem, zranił dumę, potraktował jak kryminalistkę... a wszystko to na podstawie słów pastucha, którego ledwie znał, oraz kobiety, która dniami i nocami zanudzała go, żeby zatrudnił jej przyjaciół i sprzedał im ziemię.

Na jego twarzy pokazał się wyraz udręki.

- Tak - przyznał niechętnie z posępnym błyskiem w oczach. - Wtedy jej już tu nie było.

A wraz z jej odejściem zniknęła z jego życia wszelka radość. Pozostał z pustką w sercu i perspektywą spędzenia długich lat z Gelly, żeby uśmierzyć ból po stracie Morie. Tyle że Gelly nigdy tego nie dokona, nigdy jej nie zastąpi. Owszem, lubił ją, lecz nie poruszała go głębiej. Nawet na najbardziej namiętne pocałunki reagował tylko żądzą, niczym więcej. Nie było między nimi żadnej prawdziwej więzi, bliskości, autentycznego ciepła. No i jeszcze to, że Gelly intelektualnie była zerem. Potrafiła rozmawiać jedynie o popularnych filmach i programach telewizyjnych oraz najnowszej modzie. Żadnych innych zainteresowań, żadnych głębszych tematów do rozmowy...

- Musimy zatrudnić prywatnego detektywa - powiedział stanowczo Cane. - Prawdę mówiąc, Morie doradziła mi to już jakiś czas temu, kiedy rozmawiałem z nią w chatce przy pastwisku.

- W chatce? - Mallory spiorunował go wzrokiem. - Co tam robiliście?

- Oho, co ja słyszę? - Cane uśmiechnął się chłodno, ironicznie. - Teraz, kiedy już ją upokorzyłeś i wyrzuciłeś, nagle jesteś o nią zazdrosny?

- Była tylko zwykłą pracownicą, a wtrącała się we wszystko - mruknął Mallory.

- Tak, na przykład przygotowała kanapki na nasze przyjęcie i pomagała kucharce, a przy tym nie zażądała dodatkowej zapłaty ani nie skarżyła się, że jej nie dostała - wypomniał mu Tank.

- Zamierzałem zrekompensować jej to finansowo - bronił się Mallory, czując wyrzuty sumienia. Zdusił je jednak w zarodku. Spojrzał na Cane'a i dodał lodowatym tonem: - Zresztą knuła wtedy z tym twoim przyjacielem sędzią.

- Danny Brannt jest wytrawnym smakoszem - zripostował Cane. - On i jego żona mają gospodynię, która uczyła się w Paryżu gotowania, i stale poszukują nowych, oryginalnych

przepisów kulinarnych. Wręcz z tego słyną. Podobno ta gospodyni ma pomóc w przygotowaniu potraw na tę wielką imprezę na ranczu Branntów. Jak przypuszczam, jesteśmy na nią zaproszeni.

- Tak - potwierdził z roztargnieniem Mallory. - King Brannt wystawił na sprzedaż kilka znakomitych byków rozplodowych. Zostały bardzo wysoko ocenione przez ekspertów. Zamierzam wziąć udział w aukcji i nabyć jednego z nich. To będzie kolejny etap rozwoju naszej hodowli. - Nie dodał, jak bardzo go zabolalo, gdy usłyszał nazwisko Brannt. Oczywiście Morie nie jest spokrewniona ze słynnym Kingiem Branntem. To tylko uboga pracownica rolna, a on jest wielkim hodowcą i milionerem.

- Stać nas na to? - spytał z rozbawieniem Cane. - Dopiero w tym roku po raz pierwszy osiągnęliśmy zysk po dwóch trudnych latach inwestowania i powiększania stada.

- Stać nas - odparł Mallory, wreszcie się uśmiechając. - Te sukcesy zawdzięczamy w ogromnej mierze tobie i Tankowi. Wiem, że nie było łatwo, i doceniam waszą ciężką pracę.

- Do licha, to my doceniamy twoją harówkę - powiedział Cane. - Ty kierujesz ranczem. Owszem, Tank jest dobrym marketingowcem, ja dobrze sobie radzę na pokazach bydła, kiedy prezentuję nasze byki. Coś tam potrafimy i lubimy to robić, ale to ty jesteś i mózgiem, i źródłem energii, dzięki tobie to wszystko się kręci i rozwija. No i masz niezwykle talent do inwestowania pieniędzy. Co gdzieś ulokujesz, to od razu się mnoży. W czasach recesji gospodarczej to nie lada wyczyn.

- Mam wsparcie. Nasz makler giełdowy to geniusz. Ja tylko postępuję według jego sugestii... Ale zostawmy to. - Znow spochmurniał. - Do diabła, kto mógł zabrać to jajko? I kiedy zginęło?

- Dokładnie nie wiadomo, ale stało się to w określonym przedziale czasowym - odparł Cane. - To znaczy między wyjazdem Morie a znalezieniem przez ciebie klucza. Problem w tym, kto miał ten klucz oraz sposobność, by dostać się do gablotki.

- A jeśli po prostu ktoś się włamał? Ktoś z zewnątrz? - Mallory dumiał przez chwilę. - Nie, to niemożliwe, i to z bardzo prostego powodu. Przecież zadziałałby system alarmowy.

- I jestem absolutnie przekonany o uczciwości naszej gospodyni - oświadczył Tank. - Mavie jest poza wszelkimi podejrzeniami.

- Tak, oczywiście. - Mallory skinął głową. - Jej poprzedni pracodawca nie znosi złodziei równie mocno jak my. Pracowała u niego dwanaście lat, jednak gdy przeszedł na emeryturę i zlikwidował ranczo, została bez pracy. Dobrze się stało, że trafiła do nas.

- Więc może Bates? - podsunął Cane. - Oznajmił, że widział jajko w rękach Morie. Dziwne, ponieważ Darby mówił, że ona zawsze zamykała się w swoim pokoju na klucz.

- Podejrzane zachowanie - zauważył napastliwie Mallory.

- Daj spokój! - obruszył się Cane. - Wręcz przeciwnie, to całkiem zrozumiałe, że kobieta w baraku pełnym mężczyzn zamyka się na klucz. A już zwłaszcza kobieta pokroju Morie. Darby powiedział mi, że w trakcie nauki w college'u wynajmowała pokój poza terenem kampusu, gdyż nie chciała mieszkać w koedukacyjnym akademiku, choć w dzisiejszych czasach to po prostu norma.

- Mogła skłamać - z uporem stwierdził Mallory.

- Dlaczego myślisz, że kłamie? - rzucił Cane. - Bo Gelly tak powiedziała?

- Nie mieszajmy w to Gelly - powiedział cicho obronnym tonem. - Bardzo ją lubię... - Wcisnął ręce głębiej w kieszenie. - Ma poważne kłopoty finansowe, ponieważ jej ojciec dokonał nietrafionych inwestycji. - Wzruszył ramionami. - Może powinienem się z nią ożenić...

- Opuść ten dom jeszcze tego samego dnia, w którym ona tu zamieszka - oświadczył szorstko Cane. - A Tank postąpi tak samo.

- I to bez wahania - potwierdził stanowczym tonem. - Musisz też o czymś wiedzieć, Mal - dodał chłodno. - Gdy do tego dojdzie, zabierzemy naszą część udziałów i dochodów z rancza. Ciekawe, jak ty i Gelly zdołacie utrzymać płynność finansową, mając tylko jedną trzecią ziemi i bydła?

- Nie zrobicie tego! - W głosie Mallory'ego była głęboka uraza.

- W jednej chwili - zapewnił go Tank z gniewnym błyskiem w oczach.

- Ja również - dodał Cane. - Nie będę mieszkał pod jednym dachem z Gelly.

- Co ona wam zrobiła, że odnosicie się do niej tak wrogo? - zawołał poirytowany Mallory.

- Ślepy jak kret - zawyrokował Cane, patrząc znacząco na Tanka.

- I uparty jak osioł - dorzucił brat. - Przez to nie potrafi odróżnić ziarna od plew.

- Morie ukradła to jajko Fabergé! - wrzasnął Mallory. - Ukryła je w plecaku, żeby później sprzedać!

- Jasne... - Cane z drwiącym uśmiechem wziął do ręki falsyfikat i pokazał Tankowi. - A kiedy już umieściliśmy oryginalne jajko z powrotem w gablotce, podmieniła je na tę podróbkę. - Popatrzył z rozbawieniem na Mallory'ego. - Wprawdzie jechała już wtedy autobusem do domu, ale cóż, według ciebie uosabia wszystko, co najgorsze, więc pewnie jest wiedźmą i zna się na czarnej magii. No to czary-mary i zamieniła jajka.

- A także tą swoją magią sprawiła, że klucz do gablotki pofrunął z powrotem do kieszeni Mala - podkpiwał Tank. - Hokus-pokus i sprawa załatwiona.

- Cóż, więdźmy już tak mają - postawił kropkę nad i Cane.

- Do cholery, dość tych kpin - obruszył się Mallory. - Gelly nigdy by nie ukradła tego jajka. Do diabła, nie jest złodziejką - stwierdził z uporem. - Zresztą ani przez chwilę w tamtym czasie nie była w tym pokoju sama!

- Nie była? Czyżby? - Cane wbił w niego wzrok. - Przecież braliśmy udział w telekonferencji dotyczącej wypasu krów, którą zorganizował stanowy oddział stowarzyszenia hodowców bydła. Jeśli tego nie pamiętasz, to naprawdę źle z tobą, Mal - znów zadzwiał ze złością. - Do diabła, nie idź w zaparte, tylko przejrzyj na oczy! Wszyscy trzej byliśmy w gabinecie, Mavie szykowała w kuchni kolację, a Gelly została tutaj sama. Sama, do cholery! A gdy wróciliśmy, natychmiast oznajmiła, że ma pilną sprawę do załatwienia w mieście, i już jej nie było. Mal, takie są fakty. Fakty, do cholery - zakończył twardo.

Mallory ze zdenerwowania ciężko przetarł twarz. Milczał długą chwilę, wreszcie niby zaprotestował, ale wypadło bardzo nieprzekonująco:

- Niemożliwe, żeby to ona ukradła...

- Skoro uważasz, że jest niewinna, dowiędźmy tego - zaproponował Cane. - Wtedy zaczniemy szukać innego podejrzanego, ale w tej chwili mamy tylko ją. Znam prywatnego detektywa, ma znakomitą opinię, mówi się o nim, że prowadzi jedną z najlepszych agencji w całych Stanach. Nazywa się Dane Lassiter, mieszka w Houston. Pozwólcie, że go wynajmę, by zbadał tę sprawę. Jeżeli Gelly ma czyste sumienie, zostanie oczyszczona z podejrzeń.

- A jeśli nie - wtrącił Tank - lepiej dowiędzieć się o tym teraz. Do diabła, jesteś aż tak uparty i głupi, że zamierzasz ją poślubić!

- Uważaj na słowa! - zaperzył się Mallory, po czym dodał cicho: - Ona mnie kocha, mówi, że nie może beze mnie żyć. - Umknął wzrokiem i wyszeptał jakby do siebie: - Uważa mnie za przystojnego.

- No tak, prawdziwy Apollo z ciebie. Boski Mallory Kirk... - Cane westchnął ciężko, jakby nie mógł się nadziwić naiwności brata. - Każdy, kto twierdzi, że jesteś przystojny, bezczelnie kłamie - dodał stanowczym tonem. - Tylko spójrz w lustro! Ale wygląd nie ma znaczenia. Wiesz, ile kobiet wodzi za tobą wzrokiem, choć zdajesz się tego nie dostrzegać? Na zjazdach hodowców czy na kongresach mógłbyś mieć cholerne branie, tyle że jesteś nieprzystępny. A wiesz, dlaczego różne ślicznotki tak zerkają na ciebie? Bo podziwiają twój mocny charakter i aurę władzy, no i to, czego dokonałeś jako ranczer. Kobietom nie chodzi o naszą urodę. One szukają prawdziwych mężczyzn.

- Gadanie... - Mallory obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

- Cane ma rację - poparł go Tank, poklepując Mallory'ego po plecach. - Kochamy cię,



więc nie będziemy wciskać ci głupot, tylko mówimy prawdę. Natomiast ty powinieneś się zastanowić, dlaczego Gelly cię okłamuje. I dlaczego stale usiłuje załatwić u nas pracę swoim przyjaciołom oraz umożliwić kupno ziemi jakiemuś facetowi, którego rzekomo prawie nie zna.

Mallory nie mógł już dłużej ignorować wątpliwości, które nawiedzały go od jakiegoś czasu. Dotychczas trwał w uporze, gdyż gryzły go wyrzuty sumienia po tym, jak potraktował Morie, lecz nie mógł tego ciągnąć w nieskończoność. Musiał spojrzeć prawdzie w oczy. Bracia mieli rację, Morie nie mogła ukraść jajka Fabergé. Opuściła ranczo zaraz po tym, jak znaleziono je u niej w plecaku. Mallory trzymał wtedy w ręku owo jajko i był absolutnie pewien, że to oryginał, a po wyjeździe Morie włożył je z powrotem do gablotki. Tak więc już pod jej nieobecność podmieniono je na kiepski falsyfikat, który jedynie z pewnej odległości mógł uchodzić za autentyk. Żadnemu z braci nie przyszło do głowy, by przyjrzeć mu się z bliska, po prostu nie było ku temu powodu.

- Mal, pozwól, że zadzwonię do Dane'a - z powagą powiedział Cane. - Jeśli się okaże, że masz rację co do Gelly, przeproszę was oboje.

- Ja również - dodał Tank.

Mallory odetchnął głęboko.

- Dobrze, niech tak będzie - powiedział po chwili namysłu, lecz minę miał ponurą. - Wezwij go.

Posiadłość pyszniła się barwnymi dekoracjami, a już zwłaszcza olbrzymie patio wyłożone kamiennymi płytami, na którym za tydzień miano rozstawić stoły na uroczyste przyjęcie połączone z pokazem rasowego bydła wyhodowanego przez Kinga. Zjadą się ranczerzy z całego świata, aby obejrzeć nagradzane byki i krowy, które następnie zostaną wystawione na sprzedaż aukcyjną.

- Rzeczywiście tata zawsze działa z ogromnym rozmachem - powiedziała Morie do matki, gdy omawiały ostatnie szczegóły z personelem i pracownikami firmy cateringowej.

Jedna osoba nie zdołałaby zorganizować tak wielkiej imprezy, chociaż Shelby świetnie panowała nad wszystkim, a jej polecenia zawsze były doskonale przemyślane.

- Owszem - przyznała z uśmiechem. - Jest nadzwyczaj dumny z wyhodowanego na naszym ranczu bydła.

- Ja również - oświadczyła Morie. - Teraz, gdy już poznałam od podstaw zasady funkcjonowania rancz, jeszcze bardziej podziwiam troskę, którą otacza zarówno pracowników, jak i żywy inwentarz.

- Moja córka była pastuchem - z rozbawieniem powiedziała Shelby.

- I podobało mi się to. Bardziej niż cokolwiek innego - odparła Morie, umykając wzrokiem.

Matka odwróciła się do Tenny Welsh, która była odpowiedzialna za przebieg imprezy, i spytała:

- Zdołasz nakłonić zespół Desperado, żeby u nas zagrał?

- Tak - odparła Tenny - chociaż obecnie rzadko występują. Wszyscy się już pożenili i mają dzieci, a wyjazdy w trasy koncertowe nie sprzyjają życiu rodzinnemu. Ale zrobią to dla ciebie. Przekonała ich Heather Everett, która przyjaźni się z wokalistą grupy.

- Niech ją Bóg błogosławi! - Shelby nie kryła radości. - Jest taka miła.

- Podobnie jak jej córka Odalie - z zapalem dodała Tenny. - Słyszałaś, jak śpiewa? Ma anielski głos!

- A pani gdzie ją słyszała? - spytała z ciekawości Morie.

- Śpiewa jako solistka z naszym chórem kościelnym. To prawdziwa rozkosz móc jej słuchać.

- Morie, nie wiem, czy już wiesz, ale Odalie otrzymała propozycję z nowojorskiej Metropolitan Opera - powiedziała Shelby. - Rozważa, czy ją przyjąć.

- Powinna się zgodzić. Szkoda byłoby zmarnować tak wielki talent - skomentowała Tenny. - Och, oddałabym dziesięć lat życia za jej głos.

Morie milczała, myśląc o swoim bracie. Cort od bardzo dawna kochał się w tej nieśmiałej i bardzo utalentowanej blondynce, która wiele razy okazywała, że po prostu go nie cierpi. Nikt nie wiedział, dlaczego tak się dzieje, no, może z wyjątkiem Corta, ale jeśli chodzi o życie prywatne, był wyjątkowo skryty.

- Oto ostateczna wersja menu - przerwała jej rozmyślenia matka, która wręczyła wydrukowaną listę Tenny Welsh. - I proszę, dopilnuj, żeby dostarczono jak najwięcej rodzajów kanapek i zakąsek oraz mnóstwo owoców, żebyśmy mogli zadowolić wszystkie gusty.

- Zawsze o to dbam - odparła z uśmiechem Tenny, której firma cateringowa cieszyła się bardzo dobrą opinią, a ona sama nie po raz pierwszy organizowała wielką imprezę towarzyską dla rodziny Branntów. - Znam dobrze twoje wymagania.

- To będzie wyjątkowo uroczyste przyjęcie - oznajmiła Shelby. - Zjawi się sławny piłkarz, gwiazdy filmowe, generalny dyrektor olbrzymiego koncernu produkującego sprzęt komputerowy i oprogramowanie, dwóch członków agencji rządowych, kilku najemnych żołnierzy i były wiceprezydent.

- Wiceprezydent? - spytała zaskoczona Morie.

- To przyjaciel twojego ojca - wyjaśniła Shelby. - Tak samo jak ci najemnicy. King lubi czarne owce - dodała z rozbawieniem.

- Cóż, są interesującymi ludźmi. - Twarz Tenny przybrała dziwny wyraz. - Zwłaszcza Grange, który pracuje u Pendletonów. Słyszałam o nim barwne opowieści.

- Ja również - przytaknęła Shelby. - Kiedyś służył w Zielonych Beretach, dosłużył się majora. Krążyły pogłoski, że dowodził grupą najemników, która odbiła Gracie Pendleton. Niby nikt nic nie wie, a jednak plotka jest bardzo uporczywa. Akcja rozegrała się w Meksyku, oczywiście była nielegalna, a więc przeprowadzona w głębokiej konspiracji.

- A jednak sporo wyszło na jaw - skomentowała Morie.

- To tylko pogłoski - powiedziała Shelby. - Jednak to, że coś wyszło na zewnątrz, może wynikać z tego, że porywaczem nie był ktoś anonimowy, tylko Emilio Machado, południowoamerykański dyktator, który stracił władzę i na wygnaniu szykuje się do zbrojnego powrotu.

- Słyszałam o nim - wtrąciła Morie. - Mówiono, że Ricka Marqueza, detektywa z wydziału zabójstw departamentu policji w San Antonio, coś łączy z tym obalonym dyktatorem.

- Owszem - odrzekła cicho Tenny. - Na podstawie ujawnionych dokumentów stwierdzono, że Machado ma jakieś powiązania z matką Marqueza.

- Ma na imię Barbara i jest właścicielką restauracji w Jacobsville - dodała Morie. - Wspaniale tam karmią. Wpadam do tej restauracji, ilekroć odwiedzam moją przyjaciółkę...

- Nie chodzi o Barbarę - przerwała jej Tenny. - Jest przybraną matką Ricka, a ja mówię o prawdziwej.

Zaskoczone Shelby i Morie popatrzyły na nią. Zapadła cisza, wreszcie Shelby powiedziała w zadumie:

- To bardzo interesujące...

- Tylko nikomu tego nie powtarzajcie - poprosiła Tenny. - Usłyszałam o tym od osoby, którą znam i darzę zaufaniem. Miałam tego nie rozgłaszać, ale wyrwało mi się.

- Zachowamy dyskrecję - zapewniła ją Morie.

- Wiem... - Z uśmiechem spojrzała na Shelby. - Twoja córka na pewno tak samo jak ty potrafi dochować tajemnicy.

- Tak - odrzekła zwięźle Shelby.

Morie nie doczekała się żadnych wyjaśnień. Jaką tajemnicę, zapewne powierzoną przez Tenny, przechowywała matka?

Daryl przyjechał porozmawiać z Kingiem o nowym byku rozplodowym, którego jego

ojciec chciał nabyć, by polepszyć swoje stado hodowlane. Jednak zabawił na tyle długo, by porozmawiać na osobności z Morie.

- Powiedziałaś, że chcesz pierścionek z rubinami - powiedział z uśmiechem.

Zaczerwieniła się, ponieważ nie brała poważnie tamtej rozmowy o zaręczynach. W każdym razie zaznaczyła kilka razy, że to tylko teoretyczny pomysł, w domyśle: czas pokaże. Dla niej było zdecydowanie za wcześnie na jakiegokolwiek wiążące decyzje i zobowiązania. Było jednak oczywiste, że on podchodzi do tego inaczej.

- Darylu, gdy tak na to patrzę... - zaczęła.

- Jeśli nie spodoba ci się ten wzór, możemy go zmienić. - Otworzył aksamitne jubilerskie pudełeczko. - Wybrałem taki, gdyż wiem, jak bardzo kochasz róże.

Na widok klejnotów zaparło jej dech z zachwytu. Nigdy nie widziała równie pięknych i niezwykłych. Rubiny lśniły krwawym blaskiem we wspaniałych oprawach z osiemnastokaratowego złota. Pierścionek zaręczynowy przedstawiał różę wykonaną z rubinów o płatkach obramowanych złotem. Złota obrączka ślubna również była wysadzana najcenniejszymi rubinami.

- Proszę. - Daryl wyjął z pudełeczka pierścionek i obrączkę, po czym ujął dłoń Morie.

- Chcesz je przymierzyć? Do niczego cię to nie zobowiąże. Ofiarowuje ci je szalenie w tobie zakochany narzeczony, ale będziesz mogła go porzucić, kiedy tylko zechcesz, jeśli poznasz kogoś bardziej godnego ciebie.

Z prawdziwą przyjemnością wpatrzyła się w jego czarne oczy. Zabierał ją do kina, nauczył tanga, odbywał z nią konne przejażdżki po rozległych terenach olbrzymiego rancza jej ojca. Stał się przyjacielem, a nawet powiernikiem. Wyjawiała mu całą prawdę o pobycie na Rancho Real, którą zataiła przed rodzicami, i znalazła w nim uważnego, współczującego słuchacza. A przy tym dyskretnego, jako że nigdy nie zdradził tych sekretów jej rodzicom.

Mogłabym trafić gorzej, pomyślała.

Spojrzał na nią zaskoczony, gdyż nieświadomie wypowiedziała te słowa, a następnie skomentował lekkim tonem:

- Tak, mogłabyś. Wciąż zachowałem nawet większość własnych zębów.

- Większość? - podkpiwała.

W jego oczach zamigotał wesoły błysk.

- Twój brat wybił mi jeden, kiedy razem byliśmy w college'u. Nie pamiętam już, o co się pobiliśmy. Ale powiedział, że skoro nie zdołał pokonać mnie w uczciwej walce, lepiej, żebyśmy zostali przyjaciółmi, i tak zostało aż do dziś.

- Tak, mój brat bywa czasami nieobliczalny - przyznała.

Miał wybuchowy temperament. Matka powtarzała, że odziedziczył to po ojcu, który jednak w życiu rodzinnym poskromił tę wadę. Tak, Cort jest stanowczo zbyt porywczy, pomyślała, ale jest uczciwym, dobrym człowiekiem. Podobnie jak Daryl.

Wzruszyła ramionami.

- Właściwie mogę przymierzyć te pierścionki, skoro już zadałeś sobie tyle trudu. Zleciłeś projekt, wybrałeś ostateczną wersję, poleciałeś, by je wykonano. A wszystko to dla mnie - powiedziała z uśmiechem i podsunęła mu dłoń.

Pasowały idealnie, efektownie podkreślały lekko oliwkową opaleniznę i lśniły tysiącem refleksów, a przy tym były piękne.

- Naprawdę bardzo mi się podobają - wyznała szczerze.

- Świetnie - rzekł z uśmiechem. - A więc kiedy się pobierzemy?

Nagle ogarnęła ją panika.

Mallory wciąż gdzieś tam jest, nawet jeśli darzy ją nienawiścią i uważa za złodziejkę. Powinna też go znienawidzić, ale nie potrafiła. Kocha go. Problem w tym, że gdyby zmienił co do niej zdanie i skontaktował się z nią, zadzwonił lub napisał... Lecz nic takiego się nie stało. Najwidoczniej nadal jest przekonany, że to ona ukradła bezcenne jajko Fabergé. Ta świadomość sprawiała jej udękę.

Owszem, nie znał jej prawdziwej tożsamości, nie znał adresu ani numeru telefonu, jednak obecnie, w dobie internetu, do każdego można dotrzeć, gdy się tylko bardzo chce. Przecież wiedział, jakie ma imię i nazwisko. Mógł też do niej dotrzeć przez sędziego Danny'ego Brannta. Wprawdzie nie wiedział o łączącym ich pokrewieństwie, ale wiedział, że mają ze sobą jakiś kontakt. A jednak milczał jak zakłęty.

- On nie zmieni zdania, Moreno - cicho powiedział Daryl, używając jej pełnego imienia. - Mężczyźni jego pokroju uważają się za nieomylnych. Bujasz w obłokach. Zawsze lepiej stąpać twardo po ziemi.

- Naturalnie, masz rację - przyznała zgnębionym tonem. - Tylko że...

- Zaręczyny to nie ślub. - Pocałował ją w czoło. - Po prostu się zgódź. Ogłosimy je na imprezie towarzyszącej pokazowi bydła. To tak uraduje naszych ojców, że przestaną nakłaniać nas do rychłego małżeństwa. - Uniósł głowę. - A jeśli sprawy między tobą i tym podejrzliwym ranczerem jednak się ułożą, odbiorę pierścionki i poszukam szczęścia gdzie indziej - przyrzekł solennie. - Więc tak naprawdę niczym nie ryzykujesz.

Westchnęła cicho. Słowa Daryla brzmiały sensownie. Jeszcze nie wyraziła zgody na zaręczyny, ale zdawała sobie sprawę, że samotna przyszłość to bardzo ponura perspektywa. Pod pewnymi względami Daryl idealnie do niej pasował, nadawał się więc na męża, a jeśli go

poślubi, ojciec będzie zachwycony. Być może to powstrzymałoby Kinga przed grzebaniem w jej niedawnej przeszłości. Gdyby odkrył, dlaczego Mallory wyrzucił ją z pracy, na pewno by się zemścił na braciach Kirkach, zniszczyłby ich reputację i doprowadził do ruiny. Już samo to było wystarczającym powodem, by się zgodzić. Daryl miał rację jeszcze w jednym: zaręczyny to nie ślub. Kiedy tylko zechce, zawsze może je zerwać.

Dotknęła pierścionków i powiedziała:

- Szkoda, żeby się zmarnowały.

- Też tak myślę, Morie.

- Dobrze, zaręczymy się. - Oczy jej rozbliły. - Ale pamiętaj, tylko na próbę - dodała stanowczo. - Nic więcej.

Czubkiem palca dotknął jej nosa.

- Nic więcej. Przyrzekam.

Jej ojciec był wniebowzięty, gdy usłyszał o zaręczynach.

- Dzięki Bogu, w końcu wrócił ci rozum, dziewczyno. - Objął ją uradowany, po czym uściskał rękę Darylowi. - Witamy w rodzinie. Zapewne wkrótce się pobierzecie?

- Nie zależy nam na pośpiechu - odparł Daryl, zauważywszy zakłopotanie Morie. - Chcemy dać sobie trochę czasu, by lepiej się poznać.

- Dlaczego? - Oczy Kinga zwęziły się. - Czy to konieczne?

- Tato, nie naciskaj - powiedziała łagodnie, lecz było oczywiste, że jest to ostrzeżenie.

Jednak King takimi ostrzeżeniami nie zwykł się przejmować, tylko powiedział, a raczej wykrzyczał porywczo:

- To z powodu tego przekłętą ranczera z Wyomingu, który wylał cię z pracy, tak?!  
Pozwę tego nędznego łajdaka do sądu za zniesławienie, gdy tylko odkryję, kto cię wrobił w kradzież! Puszczę go z torbami! I nie tylko na nim się zemszczę!

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Morie zamarło serce. Ojciec nie tylko był wściekły, on rzucał groźby. A nigdy nie rzucał ich na wiatr! I był przerażająco skutecznym człowiekiem czynu.

- Skąd się dowiedziałeś? - spytała, ze zdenerwowania ledwie panując nad głosem. A więc sprawdzały się jej najgorsze obawy. Ojciec zamierza zrujnować braci Kirków. I dokona tego bez trudu. Owszem, odbudowali rodzinne ranczo, ale dopiero byli na dorobku, wciąż mieli niepewną sytuację finansową. Kosztowny proces, wyznaczona przez sąd rekompensata za niesłuszne oskarżenie, i tracą wszystko. Owszem, Mallory bardzo ją skrzywdził, ale była jak najdalsza od zemsty. - Skąd się dowiedziałeś? - powtórzyła.

- Ani przez chwilę nie uwierzyłem, że wróciłaś do domu z własnej woli - odrzekł szorstko. - Znam cię, natychmiast wyczułem, że jesteś zdruzgotana. Poleciałem mojemu przyjacielowi, detektywowi z Houston, trochę powęszyc. To, czego się dowiedziałem, wstrząsnęło mną - dodał łagodniej, choć jego oczy wciąż rzucały gniewne błyski.

Podeszła do niego i powiedziała cicho, ale dobitnie:

- To potwarz, tato. To wszystko potwarz. Wrobiono mnie, wiesz o tym. Mallory Kirk ma zazdrosną przyjaciółkę. Sądziła, że zanadto się do niego zbliżyłam, więc znalazła sposób, żeby się mnie pozbyć.

- Szkoda, że nie zmusiłaś go, by wniósł przeciwko tobie oficjalne oskarżenie - odparł porywczo. - Zmiażdżyłbym tę fałszywą blondynkę w sądzie na podium dla świadków! Sędziowie przysięgli szybko by się przekonali, gdzie kłamstwo, a gdzie prawda!

Nagle wszystko zrozumiała.

- Rozmawiałaś ze stryjem Dannym. To on mnie wydał!

Wyglądał na zakłopotanego.

- Nie, nie... - powiedział wyraźnie zakłopotany. - Danny nic mi nie powiedział, tylko wygłosił kilka dziwnych uwag, które mocno mnie zaintrygowały. Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego tak nagle porzuciłaś pracę, która, jak mu powiedziałaś, bardzo cię cieszyła.

- Więc wynajęłaś prywatnego detektywa. Węszył w moich sprawach, ale nie raczyłeś mnie o tym powiadomić - stwierdziła z goryczą.

- Posłuchaj, Morie...

- Nie, to ty posłuchaj! - przerwała mu gwałtownie. - Cała ta sprawa nie ma już żadnego znaczenia. - Westchnęła z rezygnacją. - Poślubię Daryla, zacznę nowe życie, spuszczę zasłonę na to, co zdarzyło się w Wyomingu. - Przerwała na moment. Czulo się, że

mówi z trudem, najchętniej by gdzieś uciekła, zaszyła się w ciemnym kącie. - Nikt mnie tam nie zna, nikt nie wie, kim jestem naprawdę. Kogo obchodzi plotki o jakiejś robotnicy, która musiała opuścić ranczo, bo została oskarżona o kradzież?

- Mnie to obchodzi, dziecko, mnie! - niemal wykrzyczał. - Jesteś moją córką i zarzucono ci popełnienie przestępstwa. A teraz zamierzają cię oskarżyć o kolejne. To wojna, kochanie. Wojna! Ci łajdacy pragną cię zniszczyć, posadzić na wiele lat do więzienia! - W jego oczach pokazały się mordercze błyski. - Tak, to wojna. I nie będziemy siedzieć w okopach, tylko ruszymy do ataku!

- Co takiego? - spytała wstrząśnięta. - Jakie następne oskarżenie?

- Z tamtego domu skradziono wart krocie wyrób jubilerski, replikę jajka Fabergé, i zastąpiono tanią podróbką. Sprawa wyszła na jaw dopiero przed kilkoma dniami - oznajmił King lodowatym tonem. - Tylko czekać, jak zgłoszą sprawę do sądu, wskażą cię jako sprawczynię i będziesz ścigana przez prawo. Rozumiesz?! To nie jest błahostka, tu nie chodzi o jakiegoś drobnego złodziejzka, który ukradł rower czy telefon komórkowy. Ukradzono przedmiot wart fortunę. Grozi za to wieloletni wyrok.

- Mój Boże... Widziałam, jak Mallory Kirk zaniósł jajko z powrotem do domu tuż po tym, gdy polecił mi opuścić ranczo.

- A zatem ktoś ukradł je niedługo potem.

- Mnie już wtedy nie było w Wyomingu! - rzuciła gwałtownie.

- Mogą powiedzieć, że zabrałaś jajko ze sobą - odparł. - Mogą twierdzić, że dopuściłaś się bardzo wyrafinowanej kradzieży. Sprowokowałaś Kirka, by przeszukał twoje rzeczy i znalazł falsyfikat, a oryginał gdzieś ukryłaś. Kirk może utrzymywać, że był bardzo zdenerwowany całą tą sytuacją i dlatego nie rozpoznał podróbki, stało się to dopiero po jakimś czasie.

Morie usiadła na poręczy sofy. Była zdenerwowana, spięta i głęboko zaniepokojona.

- To są przypuszczenia, tato. Nie wiemy, co bracia Kirkowie naprawdę planują...

- Zrobili już dość złego! - przerwał jej gwałtownie, po czym podjął przerażająco zimnym, wyważonym głosem: - Nie pozwolę, by moją córkę nazywano złodziejką. Twoje imię zostanie oczyszczone i nie obchodzi mnie, kto przy tej okazji ucierpi. A ucierpi każdy, kto stanie mi na drodze, gdy będę rozprawiał się z braćmi Kirkami. - Przerwał na moment. - Naprawdę szkoda, że ich nie zmusiłaś, by wezwali policję i wysunęli przeciwko tobie formalne oskarżenie. Wtedy mielibyśmy łatwiejsze zadanie. Ale stało się, więc nasz plan jest następujący. Najpierw trzeba schwytać prawdziwych złodziei, Moreno. A później dobiorę się do braci Kirków. Odzyskają jajko Fabergé, ale będą musieli je sprzedać, by mieć na



adwokatów i odszkodowanie, które na twoją rzecz zasądzi sąd. Wtedy będą musieli sprzedać również ranczo - zakończył złowrogo.

- Mówisz, że powinniśmy dążyć do konfrontacji sądowej. Wiadomo, sprawiedliwość zawsze wypływa na wierzch, zawsze zwycięża... Tak właśnie postąpił Joe Bascomb, zaufał wymiarowi sprawiedliwości - powiedziała z goryczą. - I skazano go za morderstwo, chociaż jest niewinny.

- Czyżby? - King spojrzał na nią ostro. - Danny uważa, że ta sprawa może być bardziej skomplikowana, niż myślisz. Wynajął prywatnych detektywów, żeby sprawdzili tego twojego Bascoma, ponieważ poprosiłaś go o pomoc w zdobyciu dla niego adwokata. Ale zostawmy Bascoma. Musisz wiedzieć, że w trakcie tego śledztwa dowiedzieli się również o kradzieży jajka Fabergé. Morie, to bardzo poważna sprawa. - W głębokim namyśle przymknął na moment oczy. - Wiem, że to, na co nalegam, wydaje się zbyt radykalne, uważasz, że dążę do zemsty na braciach Kirkach, bo skrzywdzili moją córkę. Owszem, jestem przecież twoim ojcem. Powtórzę jednak jeszcze raz: tu nie chodzi o kradzież roweru czy telefonu komórkowego, tu chodzi o kradzież niesłychanie cennego przedmiotu, a ty jesteś w to zamieszana. Dlatego musisz skorzystać z wszystkich możliwych środków, by się bronić, co ci zapewnią adwokaci i prywatni detektywi.

Morie była coraz bardziej zdenerwowana. Wiedziała, że ojciec ma sto procent racji. Mallory Kirk przez swój upór i uleganie podszeptom Gelly Bruner nie zostawił jej wielkiego wyboru. Zarazem odczuwała niemal fizyczny ból. Wojna z braćmi Kirkami, wojna z Mallorym... Cóż, znalazła się w okropnej sytuacji.

Mogła zrobić tylko jedno, mianowicie wierzyć, że zdarzy się jakiś cud. By zaś cudownej sile dać szansę się wykazać, musiała zyskać na czasie.

- Zgoda, masz rację - powiedziała. - Ale czy to nie może poczekać, aż odbędzie się impreza towarzysząca pokazowi bydła? Na razie skupmy się na tym, dopiero potem wezwij adwokatów i prywatnych detektywów. Przecież musimy odbyć z nimi serię narad, by ustalić strategię działania, a zaraz zwałą się do nas tłumy gości. Nie róbmy tego mamie, która ciężko pracowała nad przygotowaniem i liczy, że z całym zapalem będziemy czynić honory domu.

Te argumenty trafiły do Kinga, a już na pewno nie chciał sprawiać przykrości ukochanej żonie, dlatego powiedział:

- W porządku, zresztą to tylko kilka dni. Ale potem - dodał twardym tonem - wyjaśnimy te sprawy w Wyomingu.

Morie skinęła głową, choć ta perspektywa nie budziła w niej entuzjazmu. Mallory'ego Kirka spotka bolesna niespodzianka: Kingston Brannt naśle na niego armię wytrawnych

prywatnych detektywów i drugą, złożoną z najlepszych adwokatów, a na koniec zmiądzę go przed sądem. Przyjrzała się ojcu, który rozmawiał z Darylem. W innych okolicznościach na pewno by polubił Mallory'ego, przecież pod wieloma względami są do siebie podobni. Przecież King w burzliwych początkach ich związku traktował bardzo podejrzliwie Shelby, uważał ją za oportunistkę i w ogóle mało wartościową osobę. Nie powinien więc teraz krytykować Mallory'ego, który tak samo deprecjonuje moją osobę, pomyślała. I tylko pomyślała, wiedziała bowiem doskonale, że akurat w tym temacie nie znalazłaby w ojcu wdzięcznego słuchacza.

Stryj Danny i jego energiczna, wesoła żona Edie przyjechali wraz z synami i Safie, gospodynią oraz kucharką w jednej osobie. King zaprosił ich tu na dłużej, jednak stryj wygospodarował tylko kilka dni, ale dzięki temu będą na ranchu zarówno podczas pokazu, jak i sprzedaży rasowego bydła. Morie i Daryl zabierali chłopców na konne przejażdżki i do kina, by się nie nudzili, natomiast King z pomocą brata czynił ostatnie przygotowania do aukcji. Natomiast Edie była tu i tam, robiła to i owo, gadała z tym i owym, i z całą pewnością się nie nudziła.

Dom Branntów był olbrzymi, a w okresie, kiedy Morie i Cort chodzili do szkoły, jeszcze go rozbudowano, by mogli podczas weekendów gościć całe tłumy przyjaciół i znajomych. W rezydencji była między innymi wielka sala balowa i kryty basen olimpijskich rozmiarów. Na tyłach budynku znajdowały się kort tenisowy, stajnie oraz obora dla nagradzanych byków rozplodowych. Wspaniała posiadłość świadczyła o bogactwie rodziny Branntów. W garażu stało sześć jaguarów, dwa sedany, dwa kabriolety i dwa zabytkowe wozy sportowe. Kabriolety należały do Corta i Morie, chociaż dużo czasu zabrało przekonanie Kinga, że są równie bezpieczne jak inne samochody.

Sobotni poranek, w który miała się rozpocząć aukcja bydła, nadszedł szybciej, niż Morie przypuszczała. Na niewielkim, ale świetnie wyposażonym lotnisku położonym na południe od rancha nieustannie lądowały odrzutowce, zostawiały gości i odlatywały po następnych.

Goście... Morie była zafascynowana ich listą. Z zachwytem i podziwem przyglądała się sławnym osobistościom spacerującym po terenie posiadłości.

- Przestań się tak gapić - podkpiwał Daryl. - Już ich wcześniej widziałas.
- Tylko w telewizji. Tata nigdy dotąd nie wydał tak wystawnego przyjęcia.
- To demonstracja siły.
- Co takiego? - spytała zaskoczona.
- Wysłała w świat pewną wiadomość. Ale dajmy temu spokój. Ścigasz się do stodoły,

w której odbędzie się aukcja? - zaproponował ze śmiechem. - Wygram jak w banku!

- Akurat! Tylko byś zobaczył moje plecy. Niestety muszę pomóc w kuchni przygotować przekąski. Boże, przyjęcie już wieczorem! Są pracownicy firmy cateringowej, ciocia Edie i Safie też uwijają się jak w ukropie, a i tak się boję, że nie zdążymy. Dżentelmeni podziwiają nasze byki rozplodowe i rozmawiają o interesach, a damy harują w kuchni. Przynajmniej tego nam oszczędzono. - Wskazała rząd namiotów oraz ludzi podtrzymujących ogień pod rożnami. - Lunch z grilla szykują nasi pracownicy. Na szczęście kochany stary Rafe, choć już jest na emeryturze, zjawił się tu, by usmażyć w palenisku naleśniki, z których słynie, a także upiec wołowinę na rożnie.

- Wszystkie te przygotowania się oplacą, o ile twój ojciec sprzeda wystarczającą ilość byków - zauważył Daryl.

- Tak, pewnie tak... - Widać było, że jakaś myśl przyszła jej do głowy. - Daryl, chciałabym cię o coś spytać.

- Tak?

- Masz firmę naftową, macie duże wydobywanie. Wiem, że opieracie się na tradycyjnych metodach, ale czy pozyskujecie ropę również z łupków?

- Nie! - Rzucił jej gniewne spojrzenie, lecz zaraz się zreflektował. - Wybacz mi ostrą reakcję, ale łupki to bardzo gorąca sprawa, a dla mnie, delikatnie mówiąc, kontrowersyjna.

- To ja przepraszam, że spytałam tak obcesowo. Nie chciałam cię urazić. Chodzi mi o to...

- Wiem, Morie. I pozwól, że dokończę. Programowo nie stosujemy tej metody. Eksploatujemy złoża ropy, a nie skały, natomiast gdy chodzi o pozyskiwanie nowych zasobów, to moja firma prowadzi wiercenia na przybrzeżnych platformach morskich, mamy też kilka wież wiertniczych w Oklahomie. Zaznaczam przy tym, że działamy bardzo ostrożnie i z zachowaniem wszelkich środków bezpieczeństwa. Nasza firma z tego słynie, pod tym względem należymy do absolutnych liderów.

- To wspaniale - powiedziała. - Też czuję opór wobec tej metody, bo mam fioła na punkcie ekologii. Posłuchaj, Daryl, potrzebuję pewnej informacji. Masz świetne rozeznanie w branży, więc powiedz mi, czy znasz jakieś koncerny w Wyomingu, które uzyskują ropę z łupków?

- Słyszałem o jednej firmie, która tego próbuje. Właściciel nazywa się Cardman. Z tą firmą nie mam żadnych wspólnych interesów, Cardmana też nie poznałem osobiście, wiem natomiast, że w dwóch stanach wniesiono przeciwko niemu oskarżenia o nieprzestrzeganie procedur stworzonych do ochrony środowiska naturalnego. Jeżeli tę metodę wydobywania ropy

stosuje się nieprawidłowo, można doprowadzić do skażenia zasobów wodnych nawet na bardzo dużym terenie. Jak na pewno wiesz, ta metoda polega na tym, że pompuje się w grunt pod wysokim ciśnieniem wodę i środki chemiczne, by rozkruszyć łupki skalne i uwolnić ropę naftową oraz gaz ziemny. Najmniejszy błąd może spowodować katastrofę ekologiczną, a ludzie z lenistwa czy chciwości... No, wiadomo. W każdym razie sporządzono dokumentację zagrożeń, które ta metoda ze sobą niesie, i jest to zatrważająca lektura. Stosuje się też administracyjny oraz społeczny monitoring tej technologii. - Zadumał się na moment. - Są więc poważne argumenty przemawiające za tym, że metoda łupkowa jest niebezpieczna dla środowiska naturalnego, dlatego nie zainwestowaliśmy w nią.

- Postępujecie całkiem inaczej niż ten... Cardman, tak?

- Tak, Cardman. Morie, to bardzo podejrzany typ, uczciwi biznesmeni unikają go jak zarazy, tyle że on żeruje na ranczerach i farmerach, którzy nie zawsze mają odpowiednie rozeznanie w spółkach spoza swojej branży. Cardman za psi grosz skupuje nieużytki od niczego niepodjęzawających właścicieli ziemskich, a potem rozpoczyna wydobywanie ropy, stosując metodę łupkową i bardzo często łamiąc wszelkie standardy bezpieczeństwa, by zwiększyć zysk. Kilku z nich wytoczyło mu procesy sądowe, wtedy przeniósł się do innego stanu i kontynuował swój proceder.

- To haniebne! - zawołała oburzona Morie.

- Masz rację, choć znam bardziej dosadne określenia...

Wspomniała o tym matce, gdy układały na srebrnej tacy przystawki na wieczorne przyjęcie. Za chwilę goście mieli zgromadzić się w sali balowej.

- Wydobywanie ropy z łupków skalnych - powtórzyła w zadumie Shelby. - Jak to okropnie brzmi.

- Wiem, że świat potrzebuje ropy naftowej. Nikt nie chciałby mieszkać w chacie krytej słomą i chodzić pieszo do miasta osiemdziesiąt kilometrów - rzekła Morie. - Ale są bezpieczniejsze sposoby wydobywania ropy niż wstrzykiwanie cieczy pod wysokim ciśnieniem i rozkruszanie skał. Tamta podstępna kobieta, o której ci wspomniałam, próbowała nakłonić Mallory'ego, by sprzedał jej przyjacielowi nieużytek na terenie jego posiadłości. Nie powiedziała dlaczego, ale już wiem, w czym rzecz.

- Powinnaś powiedzieć o tym Danny'emu. Twój stryj dobrze zna braci Kirków.

- Owszem.

Shelby dotknęła policzka córki. Zadrapanie się zagoiło i skóra była miękka, aksamitnie gładka, bez skazy.

- Kochanie, naprawdę zamierzasz poślubić Daryla? - zapytała.

- Tata chce, żebym tak zrobiła.

- A czego ty chcesz, Moreno?

- Chciałabym wyjść za mąż z miłości - wyznała ze smutkiem. - Ale skoro moja miłość jest nieodwzajemniona, może najlepiej zadowolić się kimś uczciwym i miłym, kogo się naprawdę lubi. Daryl to wspaniały człowiek.

- Niewątpliwie. Ale jeśli ani ty go nie kochasz, ani on ciebie, to oszukujecie się nawzajem - powiedziała z głęboką powagą Shelby. - Ja wyszłam za mąż z miłości i nigdy tego nie żałowałam. Naprawdę, kochanie, ani przez chwilę.

- Miałaś wielkie szczęście - powiedziała Morie.

- W końcu wyszło na to, że tak. - Shelby zachichotała. - Och, gdybyś znała dawniej twojego ojca. - Wymownie przewróciła oczami. - Czułam się tak, jakbym próbowała oswoić dzikiego wilka.

- Naprawdę? - spytała rozbawiona Morie.

- Nawet gorzej, niedźwiedzia grizzly. - Shelby znów spoważniała. - Z tego, co mówisz, ten Mallory Kirk ma bardzo podobny charakter do Kinga. Najpierw bardzo by się ścierali, rozumiesz, męska rywalizacja, ale na koniec by się zaprzyjaźnili.

- Można o tym tylko pomarzyć - ze smutkiem skomentowała Morie.

- Niekoniecznie - odparła Shelby. - Życie bywa dziwne i nigdy nie wiadomo, jakie niespodzianki dla nas szykuje.

Kwadrans później Morie przypomniała sobie słowa matki, gdy do sali wszedł Mallory Kirk w towarzystwie Gelly Bruner.

Morie stojąca obok Daryla przyjrzała się im chłodno. To znaczy spojrzenie było chłodne - taki aktorski majstersztyk godny jej babki - lecz serce szaleńczo łomotało w piersi. Jednak niczym Maria Kane na wygląd była absolutnie opanowana. A jeśli już chodzi o wygląd... W wytwornej białej sukni od słynnego krawca, z pięknie u fryzowanymi włosami, rozsiewając blask diamentowej biżuterii, stanowiła uosobienie młodej, obdarzonej olśniewającą urodą damy z towarzystwa. Gelly natomiast nadal nosiła się według zeszłorocznej mody. Miała na sobie czarną sukienkę, która wyglądała znośnie, lecz nie wzbudzała niczyjego podziwu. Za to Mallory w ciemnym garniturze prezentował się imponująco. Owszem, nie miał urody filmowego gwiazdora, lecz niejeden gwiazdor oddałby połowę życia nie tylko za jego sylwetkę, ale przede wszystkim za to coś, co trudno precyzyjnie nazwać, a co Morie w rozmowie z Tankiem określiła entuzjastycznie: „To prawdziwy facet! Żaden tam lalusz, tylko stuprocentowy mężczyzna”. Teraz zaś mogła skonstatować coś jeszcze. Ten ranczer i kowboj wydawał się wprost stworzony do

wieczorowych strojów. Wysoki i wspaniale zbudowany, miał w sobie twardy męski wdzięk i szyk.

To prawda, Mallory Kirk prezentował się wspaniale, lecz twarz miał posępną.

Morie zamarło serce, gdy zobaczyła, że podchodzi do niego jej ojciec.

- Zapewne pan Kingston Brannt - rzekł Mallory, wyciągając dłoń. - Jestem Mallory Kirk. Prowadzę wraz z braćmi ranczo w Wyomingu. Przybyłem tu, aby kupić jednego z tych słynnych rozplodowych byków, o których tak wiele czytałem w branżowej prasie hodowców bydła.

King nie uściśnił mu ręki, tylko popatrzył na niego wzrokiem tak ostrym, że mógłby ciąć diamenty.

- Wiem, kim pan jest - powiedział oschle.

Zaskoczony i dezorientowany Mallory milczał przez chwilę, potem jednak powiedział gładko:

- A to moja przyjaciółka Gelly Bruner.

- Panie Brannt, wiele o panu słyszałam - odezwała się przymilnym głosem.

King nawet na nią nie spojrział, tylko nadal taksował nieruchomym spojrzeniem Mallory'ego.

- Nigdy nie widziałam tylu sławnych osób - szczebiotała dalej Gelly. - Zna pan chyba wszystkich bogatych ludzi na świecie!

- To moi przyjaciele, panno Bruner - odparł wreszcie szorstko. - Nie wybieram ich ze względu na to, ile mają na koncie.

- Naturalnie, że nie - rzekła pośpiesznie.

- Witaj - odezwał się Danny Brannt, podchodząc do Mallory'ego, i w przeciwieństwie do Kinga uściśnił mu dłoń. - Co u twoich braci?

- Nic nowego. Pracują, jak zwykle. Miło cię znowu spotkać.

- Tutaj jest tak samo. - Danny zerknął na brata, który wciąż kipiał ze złości. - Zawsze cieszą nas odwiedziny znajomych ranczerów.

- Podziwiam zachwycającą dekorację wnętrza - mówiła z entuzjazmem Gelly. - Chętnie bym się dowiedziała, gdzie zdobyliście tyle pięknych róż!

- Och, to zasługa mojej bratanicy. Ona je uwielbia - wyjaśnił Danny swobodnym tonem. - Jej narzeczony zamówił dla niej zestaw pierścionków, których wzór zainspirowały róże. A oto i ona! Kochanie, chodź tutaj do nas.

Wybitny prawnik, gdy trzeba, mistrz gierki psychologicznych, z uroczym uśmiechem celowo sprowokował kłopotliwą sytuację. Kinga zirytowało, że brat go ubiegł,

gdyż zamierzał inaczej dokonać prezentacji córki. Miało to być wejście smoka, Danny rozegrał to w aksamitnych rękawiczkach.

Morie dołączyła do nich, trzymając pod rękę Daryla.

- Poznajcie moją bratanicę Morenę - powiedział radośnie. - A to jej narzeczony Daryl Coleman, generalny dyrektor firmy naftowej w Oklahomie.

Morena dumnie uniosła głowę, z satysfakcją konstatując, że na jej widok Gelly gwałtownie pobladła, a Mallory zastygł bez ruchu jak słup soli.

- Podobno moja córka pracowała przez kilka tygodni na waszym ranchu - odezwał się King złowrogim tonem. - Oskarżyliście ją o kradzież i zwolniliście z pracy, zamiast oficjalnie złożyć pozew do sądu. Być może zainteresuje pana wiadomość, że wynająłem prywatnego detektywa, aby zbadał te zarzuty. I zapewniam, że niebawem wystąpimy przeciwko wam z formalnym kontroskarżeniem. Nikt nie będzie bezkarnie nazywał mojej córki złodziejką!

Mallory z osłupieniem gapił się na Morie. Nie mieściło mu się w głowie, że ta elegancka młoda kobieta w kreacji od modnego krawca, otoczona luksusem córka słynnego hodowcy i milionera, jest tamtą robotnicą rolną, która przewróciła jego życie do góry nogami, po czym opuściła rancho w atmosferze podejrzeń o kradzież.

- No... no... co za niespodzianka - zdołała wydusić Gelly z nerwowym śmiechem.

- Nieprawdaż? - odrzekła Morie. - A przy okazji, panno Bruner, czy ten pani przyjaciel, który chce nabyć nieużytek leżący na terenie rancha Kirków, nie nazywa się przypadkiem Cardman? Jeśli tak, to Daryl z chęcią opowie parę interesujących rzeczy na temat procesów sądowych, które wytoczono Cardmanowi w kilku stanach za stosowanie niebezpiecznych dla środowiska naturalnego metod wydobycia ropy naftowej.

- Istotnie, chodzi o Cardmana. - Mallory popatrzył z bezmiernym zdziwieniem na Gelly. Miał już aż nadto szokujących niespodzianek jak na jeden wieczór.

- Powinien pan sprzedać mu tę ziemię - poradziła Morie z uroczym uśmiechem. - Jeżeli zamarzy się panu pokaz ogni sztucznych, wystarczy przytknąć zapaloną zapalkę do wody.

- Kłamiesz - rzekł schrypniętym głosem, piorunując ją wzrokiem.

- No tak, przecież złodziejki kłamią, czyż nie? - odparowała.

- Och, to nie tak... - Mallory był coraz bardziej zakłopotany. Czuł się jak smarkacz, który musi tłumaczyć się przed dorosłymi. To było wprost nie do zniesienia.

- Oczywiście, że nie tak! - stwierdził podniesionym głosem King. - Moja córka nie jest złodziejką ani kłamczuchą. - Omiótł Mallory'ego gniewnym spojrzeniem. - Jeśli jednak nadal tak nisko ją pan ocenia - dodał z bezbrzeżną pogardą - to niech pan przyjmie do wiadomości,

że kradzież w jej wykonaniu byłaby czystym absurdem. Za swoje udziały w rodzinnym majątku mogłaby pięć razy pana kupić, razem z tym pana nieszczęsnym jajkiem Fabergé. - Prychnął lekceważąco. - Dotarło do mnie, że z tym złotym jajkiem było wielkie zamieszanie, a na koniec tak czy inaczej zostało skradzione. Współczuję... - rzucił drwiąco. - Nie, nie współczuję panu, ponieważ ważył się pan oskarżyć moją córkę o ten haniebny postępek. Drogo pan za to zapłaci, panie Kirk. - Przerwał na moment. - Czuję się jednak w obowiązku poinformować pana, że poleciłem agencji detektywistycznej należącej do Dane'a Lassitera z Houston, by przeprowadziła śledztwo dotyczące tej kradzieży. Gdy już się z tym upora, podejmę dalsze kroki, tym razem sądowe. Odpowie pan za oszczerstwo, za nieuzasadnione oskarżenie, za zbrukanie dobrego imienia mojej córki.

- Cane, mój brat, też wynajął agencję Dane'a Lassitera, by dla nas zbadała tę sprawę - oświadczył sztywno Mallory. - I wcale nie myślę, że Morie zabrała to jajko - dodał, unikając jej wzroku. - Zostało skradzione już po tym, jak opuściła ranczo.

- Jak to miło z pańskiej strony, że wykreślił mnie pan z listy podejrzanych - odezwała się drwiąco. - Szkoda tylko, że o kilka tygodni za późno. Teraz są to jedynie bezwartościowe słowa, panie Kirk. A faktem jest to, że publicznie oskarżył mnie pan o kradzież wartego fortunę przedmiotu. I z tym faktem będzie musiał się pan zmierzyć. - Popatrzyła na Gelly, która wyglądała, jakby zaraz miała zemdleć. Śmiertelnie pobladła, ledwie trzymała się na nogach. - Panno Bruner, mam dla pani pewną radę. Na przyszłość powinna pani ostrożniej wybierać osoby, które wrabia we włamanie i kradzież. - Uśmiechnęła się słodziutko. - Tym razem plan nie wypalił. Jakie to bolesne, prawda?

- Nikogo nie wrobiłam... - Gelly uczepiła się kurczowo ramienia Mallory'ego. - Możemy już stąd iść? Nie pozwól, by mnie tak nęcano! - Było oczywiste, że jest na skraju hysterii.

- Tak, to bardzo bolesne - skomentowała Morie. - Powinnam pani współczuć, ale jakoś nie potrafię. Czyżbym miała serce z kamienia? - zadrwiła. - Być może, ale przede wszystkim chodzi o to, że jakoś nie miała pani żadnych oporów przed tym, by systematycznie mnie nękać. - Popatrzyła na nią z pogardą. - Jest pani nędzną krętaczką i intrygantką, panno Bruner. Sądzę, że gdyby ktoś pogrzebał w pani przeszłości, to dokopałby się ciekawych rzeczy. - Przerwała na moment. - Kieruje się pani chciwością, egoizmem i okrucieństwem. Ot, choćby sprawa z tym nieszczęsnym kowbojem. Wyleciał z pracy z powodu zaginionej wiertarki, która znalazła się w jego walizce. Sama tam zawędrowała, panno Bruner?

- Chodźmy stąd! - histerycznie krzyknęła Gelly.

- Panno Bruner, jeśli miała pani jakiś udział w rzuceniu oskarżeń na moją córkę -



powiedział z porażającym spokojem King - to przysięgam, że polecę moim prawnikom i prywatnym detektywom, aby panią zniszczyli. Jeżeli skrywa pani choćby jedną wstydliwą tajemnicę, jak zasugerowała to moja córka, obiecuję, że zobaczy pani relację o niej w wieczornych wiadomościach telewizyjnych! - Gelly puściła ramię Mallory'ego i uciekła w stronę drzwi, jakby ścigało ją stado wilków. - A co do pana - zwrócił się King do Mallory'ego - to choć jeszcze nigdy nie kazałem nikogo wyprowadzić z tego rancza, jednak jeśli pan i ta pańska... przyjaciółka... natychmiast nie opuścicie mojej posiadłości, to klnę się na Boga, że polecę szeryfowi, by osobiście odstawił was na lotnisko!

Mallory westchnął ciężko. Popatrzył na Morie, która tak wspaniale prezentowała się w wieczorowej sukni, jednak nie wyglądała jak młoda dama uczestnicząca w balu. Twarz miała spiętą, twarde wyraz w oczach. Trzymała pod ramię tego cholernie przystojnego faceta, swojego narzeczonego, i sprawiała wrażenie, jakby nie chciała już nigdy spotkać na swej drodze Mallory'ego Kirka. A on wciąż o niej myślał i marzył. Tęsknił za nią, pragnął jej i obwinał siebie o to, co ją spotkało. Dręczyła go wizja, że po wyrzuceniu z rancza błąka się gdzieś bezdomna, bezrobotna i bez grosza przy duszy. A może wylądowała w jakimś przytułku? I nagle objawiła się mu jako mieszkanka wytwornej rezydencji, otoczona bogactwem i rozpieszczana przez ojca, najbogatszego hodowcę bydła w Teksasie!

Został totalnie oszukany przez Gelly, w konsekwencji czego być może on i jego bracia sami zostaną bezdomnymi nędzaczami. Przecież było oczywiste, że Morie i jej ojciec go nienawidzą i nigdy nie wybaczą tego, co zrobił. Wykopali topór wojenny, prawnicy i prywatni detektywi już robią swoje.

Ale cóż, postąpił wprost niewyobrażalnie głupio, osądzając pochopnie Morie, i dostał to, na co zasłużył. Ofiarowała mu miłość, a on ją odtrącił. Wyciągnęła z tego wnioski, poszła swoją drogą, na którą on nie ma wstępu. Zaręczyła się z innym mężczyzną, zamierza go poślubić i założyć rodzinę. On zaś wróci do Wyomingu, by rozpamiętywać swoją głupotę i rozmyślać o czekającym go ponurym, pustym, samotnym życiu. A także o zbliżającym się rujnującym procesie o fałszywe oskarżenie i zniesławienie.

Przegrał na całej linii, pozostało mu tylko trzymać fason i próbować uratować to, co jeszcze było do uratowania. Może uda mu się uratować honor i choć trochę załagodzić sytuację? Był to winny swoim braciom, przecież cała ta afera powstała z jego winy. Próbowali otworzyć mu oczy na Gelly, a on...

- No cóż, gdybym miał cykutę - rzucił kpiąco - z radością spełniłbym nią toast. - Po czym dodał z powagą: - Zasłużyłem na wasze oskarżenia, na waszą nienawiść. I niczego się nie wypieram, niczego nie...

- O rety, czyżbyśmy gościli jakiegoś mordercę? - wpadła mu w słowo Shelby, która właśnie do nich podeszła. - Pewnie tak, patrząc po waszych twarzach... - Spoważniała gwałtownie. Tu naprawdę dzieje się coś złego, pomyślała.

Jednak to wrażenie ulotniło się, gdy Mallory powiedział pogodnie:

- Pani twarz wydaje mi się znajoma.

- Byłam zawodową modelką, kiedy brałam ślub z Kingiem - wyjaśniła z uśmiechem i wsunęła rękę pod ramię męża.

- A pani matką była Maria Kane, ta sławna aktorka - mówił dalej Mallory, a gdy potwierdziła skinieniem głowy, dodał: - Oglądałem jej stare filmy na nocnym kanale telewizyjnym. - Przeniósł wzrok na Morie. - Teraz wiem, dlaczego kogoś nam przypominałaś.

- Ona uwielbia moją matkę, panie...? - Shelby zawiesiła głos.

- Nazywam się Kirk. Mallory Kirk.

- Ach tak... - Z delikatnej twarzy Shelby natychmiast zniknął uśmiech, a jej oczy błysnęły złowrogo. Innymi słowy, uroczą pani domu w jednej sekundzie przemieniła się w matkę lwicę gotową każdego rozszarpać w obronie swego maleństwa.

- Widzę, że nie muszę się szerzej przedstawiać - rzekł ze smutnym westchnieniem, znów spoglądając na Morie. - A nawiasem mówiąc, nikt z nas nie uważa, że zabrałaś to przeklęte jajko. Choćby dlatego, że nie miałaś sposobności. I przepraszam, że cię niesłusznie oskarżyłem. Okazałem się ślepy, głuchy, tępy i głupi, o czym moi bracia przypominają mi nieustannie, odkąd opuściłaś ranczo. Trzeba było dopiero wstrząsu, żebym przejrzał na oczy i dostrzegł prawdę. - Wzruszył ramionami. - Nie muszę daleko szukać, żeby odnaleźć prawdziwego złodzieja - dodał twardym głosem. - Naprawdę bardzo przepraszam - zwrócił się do Branntów. - Morie była jedną z najciężej i najrzetelniej pracujących osób, jakie kiedykolwiek zatrudniałem. Nigdy na nic się nie skarżyła, tylko z zapalem wykonywała ciężkie obowiązki. Nigdy też nie żądała dla siebie szczególnych względów ani wyjątkowego traktowania. I wdawała się w ryzykowne sytuacje, na co nigdy bym nie pozwolił, gdybym o tym wiedział.

Ból w sercu nie pozwalał Morie wymówić ani słowa. Już za późno, myślała zrozpaczona. O wiele za późno.

- Jakie ryzykowne sytuacje? - spytał zimno King.

- Na przykład spotkanie ze zbiegłym z więzienia zabójcą, przyjacielem mojego brata Tanka - odrzekł Mallory.

- On jest niewinny - oświadczyła stanowczo Morie. - Z całą pewnością niewinny.

- A ja jestem przekonany o jego winie - zripostował. - Tank go lubi, razem służyli

w Iraku, dlatego nie chce słuchać głosu rozsądku. - Uśmiechnął się smutno. - Cóż, jak widać, to nasza cecha rodzinna. - Spojrzał na Kinga, który wciąż buchał złością. - W każdym razie faktem jest, że Joe Bascomb ma okropny charakter, zdolny jest do niepohamowanych, ekstremalnych zachowań. Kiedyś prawie na śmierć oćwiczył batem muła. Ktoś, kto tak odnosi się do zwierząt, podobnie postąpi wobec człowieka.

- Na naszej farmie nikt w ten sposób nie traktuje zwierząt - oznajmił King.

- Tak jak i na mojej - przytaknął Mallory.

- Powinieneś pozwolić mu zostać na przyjęciu - zwrócił się Danny do brata.

- Nie spodobałoby mu się tutaj - z nieprzyjemnym uśmieszkiem odparł King.

Mallory popatrzył na Morie, która twarz miała nieprzyjazną, zaciętą, i poczuł w sobie zimną pustkę.

- Mogłaś od razu mi powiedzieć, kim naprawdę jesteś - rzekł z wyrzutem.

- Chciałam nauczyć się pracy na ranchu, a on... - wskazała głową ojca - nie pozwalał mi jej nawet tknąć.

- Wychowano cię na damę, a nie robotnicę rolną - rzekł szorstko King.

- Nie powinnaś była dźwigać ciężkich konarów! - poparł go porywczo Mallory.

- Nie waż się podnosić głosu na moją córkę! - rzucił gniewnie King.

- Pańska córka to idiotka - odparował Mallory. - Mogła zrujnować sobie zdrowie.

Sądziłem, że jest tym, za kogo się podawała, biedną dziewczyną, która znalazła się w tarapatkach i rozpaczliwie potrzebuje pracy!

- Naprawdę jej potrzebowałam - broniła się Morie. - Miałam już serdecznie dość mężczyzn, którzy zabiegali o mnie ze względu na majątek ojca, a nie na to, kim jestem!

Mallory natychmiast spiorunował wzrokiem Daryla, który jednak jakoś się nie wystraszył, tylko powiedział z uśmiechem:

- Małe sprostowanie. Proszę nie zaliczać mnie do szacownego grona łowców posagów. A gdyby potrzebował pan bliższych danych, to polecam lekturę magazynu „Fortune”. Koncern moich rodziców figuruje na liście pięciuset największych firm na świecie. Natomiast ja mam świetnie prosperującą firmę. Rozumie więc pan, że nie szukam posagu, tylko właściwej kobiety. - Wymownie spojrzał na narzeczoną.

- Miał ten sam problem co ja - powiedziała Morie. - Właśnie dlatego się pobieramy.

- Nieprawda - zaprzeczył Daryl.

- Jak to? - spytała zdziwiona.

- Wychodzisz za mnie, ponieważ umiem tańczyć tango - rzucił lekko, uśmiechając się do niej.

- No... tak. - Poruszyła się niespokojnie. Taniec, przynajmniej w jej przypadku, był czymś bardzo intymnym. - Większość mężczyzn nie potrafi tańczyć - dodała gładko.

- Twoja matka wyszła za mnie nie dlatego, że byłem mistrzem na parkiecie - przypomniał córce King.

- Na szczęście - skomentowała rozbawiona Shelby, która wreszcie trochę się odprężyła. - Wydaje mi się... - Zerknęła na Mallory'ego. - No tak, pańska przyjaciółka macha do pana.

Odwrócił się i zobaczył, że Gelly, która stała w progu, przywołuje go gorączkowo.

- Boi się, że zostanie aresztowana, zanim zdoła pan wsadzić ją do samolotu - rzuciła kpiąco Morie, zaraz jednak spoważniała. - I pewnie ma rację - dodała.

Mallory poczuł się jak insekt pod lupą. Wiedział, że niczego nie zdołał naprawić, nie przekonał tych ludzi, nie zdobył ich sympatii. Owszem, rozmowa już nie jest tak burzliwa, ale to nie ma znaczenia. Wyczuwał tę niezmiennie chłodną i skrajnie nieprzyjazną atmosferę. Cóż, zasłużył na to, nie powinien liczyć na żadną taryfę ulgową, na wybaczenie, na szczerą, przyjazny uścisk dłoni.

Chyba że sam się do tego przyczyni.

Musi wrócić na ranczo i naprawić poczynione przez siebie szkody. Jest tego cała długa lista, a najbardziej pokrzywdzona przez niego została Morie. Która zamierza wyjść za tego przystojniaka.

Mallory pragnął za wszelką cenę do tego nie dopuścić, lecz co mógł zrobić w tej sprawie? Doprawdy, niewiele...

- Morie - powiedział spontanicznie, nim zdążył się zastanowić, że nie ma prawa w jakikolwiek sposób wtrącać się w jej życie - nie wychodź za niego. - Ruchem głowy wskazał Daryla.

- Nie twoja sprawa - burknęła, po czym, trzymając się tanecznej metafory, dodała cierpko: - Poza tym nie umiesz tańczyć tanga.

- Skąd wiesz? - zripostował.

- On nie zostanie tu na tyle długo, by zdążył zaprezentować swoje zdolności na parkiecie - stwierdził niecierpliwie King.

- Wychodzę - oznajmił Mallory, jednak jeszcze nie ruszył do drzwi. - Wszyscy popełniamy błędy. Właśnie dlatego na końcu ołówków są gumki do wycierania.

- Są tacy specjaliści, których błędów nie da się tak po prostu wytrzeć i uznać za niebyłe - odparła kąśliwie Morie. - Przyznaję, gdy starałam się o pracę, powinnam ci powiedzieć prawdę o sobie. Można powiedzieć, że postąpiłam niewłaściwie, ale poza tym nic

złego się nie stało, bo nikt na tym nie ucierpiał. No, może poza tym, że pomogło to ujawnić prawdę o tobie. Skradziono jajko Fabergé, okoliczności wskazują na biedną robotnicę, więc na pewno to ona jest złodziejką. Na pewno! Nie dałeś mi dojść do głosu, nie przyjąłeś do wiadomości żadnych wątpliwości, choć wszyscy inni je mieli, tylko wyrzuciłeś z rancza, obrzucając błotem, nazywając złodziejką. Co innego, gdybyś wiedział, że nie jestem jakąś tam Morie Brannt, ale Edith Danielle Moreną Brannt, córką bogatego i wpływowego Kingstona Brannta - mówiła z chłodną pogardą. - Wtedy z samej definicji byłabym niewinna, czyż nie? Świadczy to dobitnie, jak traktujesz ludzi, a sięgając jeszcze głębiej, jakimi etycznymi wartościami się kierujesz - zakończyła bezlitośnie.

- Wyciągasz zbyt daleko idące wnioski - skontrował żywo. - W tamtych okolicznościach byłaś jedyną podejrzaną...

- Której nie pozwoliłeś się bronić.

- Wydawało mi się, że nic tu nie ma do obrony.

- Tak zawyrokowałeś, bo byłeś ślepy i głuchy, jako że kierowałeś się pychą, a nie rozumem.

- Zostałem wprowadzony w błąd!

- Tak, przez swoją przyjaciółkę, która podrzucała na prawo i lewo dowody winy. Ja byłam zwykłą robotnicą, a Gelly należała do towarzystwa, więc to ona miała rację. - Prychnęła drwiąco.

- Nie jest moją przyjaciółką. Już nie - powiedział cicho Mallory, patrząc przy tym prosto w oczy Morie.

Która poczuła rozkoszne mrowienie, co mocno ją zdeprymowało. Zaraz jednak się opanowała i ze złośliwym uśmieszkiem poinformowała Mallory'ego:

- Wychodzę za męża, więc nie spodziewaj się, że ci ją zastąpię.

- Brawo, córeczko! - King zachichotał.

Mallory poczuł się tak, jakby wylano na niego całe tony lekceważenia. To było gorsze od nienawiści. Po prostu obezwładniało, równało z ziemią. Ratując resztki honoru, zareagował złością:

- Co za absurdalny pomysł! - zawołał. - Miałbym prosić cię o rękę? - Omiótł wzrokiem Kinga. - I zostać jego zięciem?! Po moim trupie!

- Owszem, to absurdalny pomysł - skomentował zimno King. - Mówiąc oględnie.

Mallory ciężkim gestem przetarł twarz, po czym zwrócił się do Shelby:

- Podziwiam panią. Jest pani bardzo odważną kobietą.

- Dlatego, że go poślubiłam? - Choć sytuacja absolutnie temu nie sprzyjała, roześmiała

się pogodnie. - Nie jest pan głupcem, a jednak mało pan jeszcze wie, mało pan rozumie. - Przynęła się do męża, wzięła go pod ramię, a jego twarz natychmiast złagodniała. - Czekaj pana trudna edukacja - dodała z zagadkowym uśmiechem - o ile odważy się pan ruszyć tą drogą. A jeśli chodzi o mojego męża... - Spojrzała Kingowi w oczy. - Wcale nie jest taki zły. - Uśmiechnęła się czule. - Sam by pan doszedł do tego wniosku po bliższym poznaniu.

- Do czego nie będziesz miał okazji - mruknął znów najeżony King. - Jak rozumiem, wychodzisz? - raczej stwierdził, niż spytał.

- Tak, oczywiście. Choć może za chwilę - odparł Mallory, spoglądając z nieskrywanym żalem na Morie. - Nie chciałybyś wysłuchać mojej wersji tej historii?

- Pewnie - rzuciła szyderczo. - Tak samo jak ty chciałeś wysłuchać mojej.

Popatrzył kolejno na członków rodziny Branntów, a potem odwrócił się i odszedł powoli. Przy frontowych drzwiach Gelly uczepliła się kurczowo jego ramienia i zaczęła coś gorączkowo mówić, ale on jej nie słuchał.

- No cóż, teraz już rozumiem, dlaczego musiałaś opuścić Wyoming - powiedziała Shelby do córki, gdy wyjechali ostatni goście, a one siedziały na łóżku Morie.

- Tak, mamo, on ma strasznie trudny charakter - stwierdziła z żalem. - To wszystko można było łatwo wyjaśnić, gdyby nie kierował się chorobliwą dumą i oślim uporem. Ale cóż, stało się, a czas na przeprosiny już dawno minął. - Westchnęła ciężko, zaraz jednak się uśmiechnęła. - Widziałaś minę Gelly, kiedy się zorientowała, kim jestem?

- Oczywiście, kochanie. Dotarło do niej, że osoba, którą gardzi i której nienawidzi, stokrotnie góruje nad nią pozycją społeczną, zrozumiała też, w jakie tarapaty wpadła. Ale zostawmy to... - Przyjrzała się uważnie córce. - Naprawdę kochasz Mallory'ego Kirka?

Morie natychmiast zamknęła się w sobie niczym wrażliwa roślina po zmierzchu.

- Tak sądziłam - odparła ostrożnie. - Ale skoro uwierzył w cudzą opinię o mnie, to znaczy, że mnie nie zna. I wcale nie chce poznać. - Zadumała się na moment. - Myślę, że tak traktuje wszystkich ludzi, na dystans, żadnej bliskości. Dobrze mu się żyje jako singlowi, podobnie jak jego braciom. Preferuje luźne związki, nic więcej.

- Nie jestem tego pewna.

- A ja tak. Teraz już tak, tkwiłam w świecie złudnych marzeń, ale to minęło. - Musnęła palcami kosztowną kołdrę. - Myślałam, że coraz lepiej mnie poznaje i cieszy go to, tak jak mnie cieszyło poznawanie Mallory'ego. Myślałam, że mnie pragnie, a okazało się, że przez cały ten czas jedynie ze mną igrał.

- Dlaczego miałyby to robić? To jakoś do mnie nie trafia. Nie sprawia wrażenia człowieka niepoważnego ani lekkomyślnego.

- Bo taki nie jest. Jako właściciel rancza, szef i biznesmen jest bez zarzutu, odpowiedzialny, mądry, skuteczny. Chodzi mi o to, jak w sferze prywatnej traktuje innych ludzi. Jak potraktował mnie.

- Kochanie, a może jego rezerwa i nieufność z czegoś się biorą? Może to nie jest wrodzona skaza na charakterze, tylko efekt urazu?

- Co masz na myśli, mamó?

- Może, podobnie jak było z tobą, bardzo się sparzył? Może różne kobiety próbowały go zdobyć wyłącznie ze względu na jego majątek?

- I wciąż tak się dzieje, wystarczy popatrzeć na Gelly Bruner - zauważyła Morie.

- Cóż, nie trzeba być szczególnie przenikliwym, by po krótkim poznaniu wiedzieć, że panna Bruner jest wyrachowana i bezwzględna i chodzi jej tylko o to, by wykorzystać nadarzającą się sposobność i jak najlepiej ustawić się w życiu - dodała Shelby.

- Nawet jego bracia podejrzewali, że to ona wrobiła mnie w tę kradzież. Ale Mallory nie chciał słuchać. Jest beznadziejnie uparty!

- Podobnie jak twój ojciec, kochanie.

- Nie da się ukryć - mruknęła.

- Kochanie, to twoje życie i twoje decyzje, ale muszę coś powiedzieć. Nie powinnaś wychodzić za Daryla, skoro nadal kochasz innego mężczyznę - stwierdziła stanowczym tonem Shelby. - To nie w porządku i wobec Daryla, i wobec Mallory'ego.

Morie nie odpowiedziała. Pamiętała, jak bardzo Mallory był zszokowany, kiedy zobaczył ją, gdy ubrana w piękną suknię, trzymając Daryla pod rękę, czyniła honory domu w rezydencji Branntów. Przeżyła wtedy moment słodkiej zemsty. Ale od tego jeszcze daleka droga do wybaczenia.

- Jak mogłabym kiedykolwiek znów mu zaufać? - powiedziała wreszcie. - Jaką mogę mieć pewność, czy w trudnej lub niejasnej sytuacji nie zachowa się tak samo?

- Pamiętaj, miłość wymaga zaufania. - Shelby pocałowała ją w policzek. - Brzmi to prosto i łatwo jak wyświechtany banał, ale pomyśl o tym, proszę, sięgnij do samej głębi. - Uśmiechnęła się czule. - A teraz pójdę już spać. Dokończymy tę rozmowę jutro, dobrze? Jestem bardzo zmęczona.

- Wiem, mamó, ale wszystko doskonale się udało. Goście byli bardzo zadowoleni. Niestety zjawił się Mallory i gospodarzom zepsuł ten wieczór.

- Stawił czoło twojemu ojcu, a wiesz, że to niełatwe - zauważyła sucho Shelby. - Większość ludzi boi się Kinga, lecz Mallory się go nie przestraszył, choć w sensie psychologicznym był w paskudnej sytuacji. Zawinił, skrzywdził ciebie. A jednak zachował

się godnie, dał odpór twojemu ojcu.

Oczywiście Morie też to zauważyła i była z niego dumna. Nie zamierzała jednak się do tego przyznać.

- Śpij dobrze. - Mocno objęła matkę.

Shelby pocałowała ją we włosy.

- Ty też, kochanie. Dobranoc.



## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- To nie do wiary! - krzyczała histerycznie Gelly, siedząc obok Mallory'ego w prywatnym samolocie. - Jest bogata, więc może pozwać mnie do sądu, a ja nie zdołam się obronić!

- To bardzo możliwe... - Spojrzał na nią w zadumie. - Czy przypadkiem sama nie jesteś sobie winna?

- To ona ukradła jajko! - Spiorunowała go wzrokiem. - Przecież wiesz to doskonale. Było w jej plecaku. Sam to widziałeś!

- Tak? - Nie mógł sobie darować, że uwierzył w winę Morie. Był to największy błąd w całym jego życiu. Nieodwracalny i potwornie bolesny błąd.

- Przysięgam, że go tam nie włożyłam! - zawołała Gelly.

- Branntowie zatrudnili prywatnego detektywa. Podobnie postąpili moi bracia. Zresztą wynajęli tego samego. King Brannt, jego żona i córka nie są głupcami, podobnie jak moi bracia, i nie jest przypadkiem, że podjęli identyczne działania. To wynik racjonalnego rozumowania.

Gelly poruszyła się niespokojnie. To śledztwo coraz bardziej skupiało się na niej. Jeżeli dokładnie sprawdzą jej przeszłość, zostanie zdemaskowana.

- Podam ich do sądu za naruszenie prywatności! - zawołała z furią podszytą strachem.

- Bądź rozsądna - powiedział znużonym głosem. - Ten detektyw, nawiasem mówiąc, prawdziwy mistrz w swoim fachu, prowadzi dochodzenie w sprawie kradzieży bezcennego przedmiotu sztuki. Działa na podstawie przepisów, które określają kompetencje i obowiązki prywatnych detektywów. Najkrócej mówiąc, kompetencje umożliwiają im prowadzenie każdego zleconego śledztwa, a w razie stwierdzenia przestępstwa mają obowiązek współpracować z policją, prokuraturą i sądami. - Przerwał na moment. - Jak to się ma do twojego prawa do prywatności?

Wiedziała, że nie ma sensu dyskutować o oczywistych sprawach, dlatego odchrząknęła zakłopotana i powiedziała z wymuszonym uśmiechem:

- Wybacz, mówiłam bez zastanowienia, ale wszystko przez to, że wciąż jestem zdenerwowana po tej wizycie. Ojciec Morie, cały ten King Brannt, to wstrętny typ!

- Kocha ją i chroni. Gdybym miał dzieci, postępowałbym wobec nich tak samo.

- Chciałbyś założyć rodzinę? - Przytuliła się do niego. - Bo wiesz, ja bardzo. Moglibyśmy wkrótce się pobrać.

- Owszem, moglibyśmy, lecz tego nie zrobimy.

- Ale lubisz mnie, prawda?

Spojrzał w jej zimne jak lód oczy, które w przedziwny sposób skojarzyły mu się... z bankomatami. Nie, nie ma w tym nic dziwnego, uświadomił sobie. Lodowata chciwość to najkrótsza charakterystyka Gelly. Można by jeszcze dodać to i owo, ale te dwie cechy były absolutnie na pierwszym miejscu.

Mallory zrozumiał, że dopiero teraz zobaczył Gelly taką, jaka jest naprawdę. Musiało dojść do dramatycznych zdarzeń, by pojął jej prawdziwą naturę.

- Gelly, ty rzeczywiście pragniesz być bogata, co?

- A kto by nie chciał? - odparła zdziwiona tak oczywistym pytaniem.

- W życiu są rzeczy ważniejsze od pieniędzy.

- Oczywiście. - Zaśmiała się zimno. - Jeśli już ma się pieniądze.

- Tak, jasne... - Przez chwilę przyglądał się jej w zadumie. - Gelly, à propos pieniędzy... Powiedz mi coś więcej o twoim przyjacielu, który chce kupić ode mnie nieużytki rolne. Wiesz, o tym Cardmanie.

- Och... - Drgnęła nerwowo, lecz zaraz rzuciła bagatelizującym tonem: - Mal, to po prostu ktoś, kogo znam i kto niedawno wpadł w kłopoty finansowe.

- Może z powodu przegranych procesów sądowych?

Gelly odchrząknęła. Z coraz większym trudem panowała nad sobą. Tak naprawdę była jednym wielkim kłębkim nerwów.

- Trochę się zdrzemnę - oznajmiła z fałszywym uśmiechem. - To był dla mnie bardzo stresujący wieczór. Nie masz nic przeciwko temu?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Obudź mnie, jak będziemy lądować. - Zagłębiła się w fotel, zwinęła się w kłębek i podłożyła rękę pod głowę.

Mallory przesiadł się na przód kabiny pasażerskiej, gdzie miał dostęp do laptopa. Włączył go i zaczął szukać różnych ciekawych informacji.

Kiedy dotarł wieczorem do domu, zastał braci w salonie, gdzie oglądali wiadomości w telewizji.

- Wcześniej wróciłeś - zauważył zdziwiony Tank. - Planowałeś przylecieć jutro.

- Tak, ale stało się coś nieoczekiwanego.

- Co? - Cane nie krył zainteresowania.

- Jesteś jakiś taki podminowany - dodał Tank. - Interesy poszły nie po naszej myśli?

- Diabła tam z interesami. - Przymknął na moment oczy. - Kingston Brannt ma córkę.

- Ach tak... - Cane uśmiechnął się szelmowsko.

- Naprawdę? - dorzucił Tank. - I co, zwróciłeś na nią uwagę? - spytał niby ot, tak sobie, by nie płoszyć bardzo wrażliwego na tym punkcie brata.

Który odparł, zupełnie już nie kryjąc, jak bardzo jest rozdrażniony:

- Trudno byłoby nie zwrócić na nią uwagi! Pracowała u nas przez kilka tygodni.

- Zaraz, zaraz... Czyżby... - Tank patrzył na niego z głębokim niedowierzaniem.

- A niech to... - Cane był równie zaskoczony. - To Morie... Mała Morie jest córką sławnego Kinga Brannta!

- Mówiłem wam, że ta zbieżność nazwisk to nie może być przypadek - przypomniał Tank. - Po Morie widać było klasę i dobre wychowanie.

- Dlaczego, u licha, zatrudniła się u nas jako zwykła robotnica? - dopytywał się Cane.

- Zaczęła alergicznie reagować na różnych łowców posagu, którzy chcieli poślubić nie tyle ją, co miliony przyszłego teścia - wyjaśnił Mallory.

- Świetnie ją rozumiem. Choć daleko nam do majątku Branntów, też musimy uważać na różne pazerne kobiety - stwierdził Tank, oczywiście nie dodając, kogo ma na myśli. Było to aż nadto oczywiste.

- O Gelly zaraz porozmawiamy - potwierdził to Mallory. - Natomiast jeśli chodzi o Morie... - Umilkł na chwilę. - Poznała równie bogatego jak ona biznesmena. Koncern należący do jego rodziców znalazł się na liście pięciuset najbogatszych firm świata opublikowanej przez „Fortune”, a on sam ma świetnie prosperującą spółkę. Z całą więc pewnością nie chodzi mu o majątek Morie, jak i jej o jego pieniądze. Są niezależni i wolni, a jednak... - Znowu przerwał na moment, po czym oznajmił głuchym głosem: - Morie zaręczyła się z nim. To przystojny młody mężczyzna o nieposzlakowanej opinii i wybitnych osiągnięciach w biznesie. W dodatku, co w tych okolicznościach ma szczególne znaczenie, King Brannt go lubi.

- Bo te szczególne okoliczności polegają na tym - rzucił kpiąco Cane - że wielki King Brannt jakoś ciebie nieszczególnie lubi. - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Mam rację?

- Cóż, macie prawo nabijać się ze mnie - powiedział Mallory ze smutkiem. On, z natury niezłomny wojownik, czuł się pokonany, powalony na ziemię.

- Wybacz, Mal. - Do Cane'a dotarło, w jakim stanie jest brat, co mocno go wystraszyło. W tak wielkim dołku Mallory jeszcze nigdy nie był. - To poważna sprawa. Powiedz wszystko po kolei.

- Okej... Nie lubi to za słabe słowo. On mnie nienawidzi, czemu zresztą trudno się dziwić. Oskarżyłem jego córkę o kradzież i z opinią złodziejki wyrzuciłem z pracy. - Mallory

zdział marynarkę, rozluźnił krawat i z ciężkim westchnieniem opadł na fotel. - Mogę obwiniać tylko siebie. Byłem ślepy i głuchy, obwiniając ją o coś takiego.

- Gelly cię w tym utwierdzała - mruknął Tank. - A ty... - Urwał, by nie dolewać oliwy do ognia.

- A ja jej ulegałem, bo okazałem się cholernym idiotą. - Zamilkł na dłuższą chwilę.

Ciszę przerwał Cane, który powiedział spokojnym, wyważonym tonem:

- Mał, ale już tym idiotą nie jesteś. Tak czy inaczej, mleko się rozlało, przeszłości nie zmienimy. Ważne, co nam przyniesie przyszłość. Nam, nie tylko tobie, Mał, bo razem prowadzimy to ranczo. Czy czeka nas wojna z Kingiem Branntem? I co z Gelly? Musimy to wiedzieć.

- Oczywiście... Co z Kingiem Branntem? Chce mnie oskarżyć o zniesławienie. Będzie to możliwe dopiero wtedy, kiedy wyjdzie na jaw, kto naprawdę ukradł jajko Fabergé, bo na razie poszlaki tak czy inaczej wskazują na Morie. No i tylko ona może mnie oskarżyć, bo jest pełnoletnia, więc King Brannt nie ma nad nią żadnej formalnej władzy...

- Dobra, zostawmy to - wpadł mu w słowo Tank. - Ewentualna wojna prawna z Branntami jest dopiero śpiewką przyszłości. Najpierw powinniśmy oczyścić inne pole. Powiedz, co z Gelly.

- Kiedy wyszliśmy od Branntów i nie musiała już się kontrolować, wpadła w histerię. A kiedy się dowiedziała, że King Brannt zatrudnił agencję detektywistyczną... Cane, chodzi o agencję Dane'a Lassitera, którą ty też wynajęłeś. Otóż gdy Gelly usłyszała, że cała ta historia zostanie dokładnie prześwietlona przez fachowych śledczych, omal nie zemdląca.

- Co dowodzi, że Dane naprawdę ma co robić - skomentował Cane.

- Jasne... Ale to nie wszystko. Przyjaciel Gelly, ten cały Cardman, rzekomy zbankrutowany ranczer, który chciał od nas kupić nieużytek, urządzić tam ogródek i zamieszkać w chacie, tak naprawdę działa w branży naftowej.

- Podejrzewaliśmy to - mruknął Tank. - Łupki?

- Tak, wydobywa tą metodą ropę. I ma gdzieś ekologię. W kilku stanach pozwano go do sądu za nieprzestrzeganie norm bezpieczeństwa, przez co skażił wody gruntowe.

- Mał, a ty byłeś gotów sprzedać mu ziemię - ponuro powiedział Cane.

- Rozmawialiśmy o tym jakiś czas temu, sprawa cuchnęła na odległość, a ty... - Tank machnął ręką.

- Dobra, wyżywajcie się na mnie do woli. - Mallory popatrzył na braci. - Słuchajcie, przyznaję, że okazałem się skończonym idiotą.

- Okej, najważniejsze, że wrócił ci rozum - skomentował Cane, po czym dodał

cierpko: - Kobieta każdego potrafi omamić.

- Oprócz mnie - rzekł z dumnym uśmiechem Tank.

Bracia pominęli to milczeniem, gdyż to nie była prawda. Owszem, Tank na ogół miał znakomite wyczucie, jeśli chodzi o kobiety, na przykład prawie natychmiast, nie mając na to żadnych konkretnych dowodów, zaczął podejrzewać, że Gelly nie jest tą, za jaką chce uchodzić. Ale we własnej sprawie instynkt go zawiódł, czego dowodził jego ostatni nieudany romans.

- A co z Morie? - spytał Cane.

- O co ci chodzi? - naskoczył na niego Mallory.

- Nie próbuj nas oszukać. Jesteśmy twoimi braćmi - powiedział Tank. - To oczywiste, że coś do niej czuleś, choć oboje ze wszystkich sił próbowaliście to zwalczyć.

- Może i czulem - przyznał niechętnie Mallory - ale za nic nie wżenię się w rodzinę Kingstona Brannta!

- Daj spokój, przecież chodzi o córkę, a nie o szanownego ojczulka - kpiąco skomentował Tank. - Jesteś strasznie zawzięty, ale jest to kompletnie pozbawione sensu.

- Zgadzam się, kompletnie - poparł go Cane.

- King Brannt jest uparty, złośliwy, kłótniwy, porywczy i ma maniery wściekłego łosia! - pieklił się Mallory.

- Aha... - Cane uśmiechnął się szeroko. - Czyli go polubiłeś.

- Nigdy nie widziałem wściekłego łosia - dorzucił swoje trzy grosze Tank.

- Zawiozę was do Teksasu i sami się przekonacie - cierpko odparł Mallory. - Chociaż muszę przyznać, że Kinga Brannta jakoś można zrozumieć. Jego wychuchaną córeczkę oskarżono o kradzież, więc się wściekł, a Bozia wyposażyła go w bardzo wybuchowy charakter. Pod tym względem chyba nikt nie może się z nim równać.

- Jak rozumiem - rzucił kpiąco Cane - na tym przyjęciu nie spotkałeś Corta?

- Kto to jest Cort? - Mallory zmarszczył brwi.

- Naprawdę go nie znasz? Jeśli uważasz Kinga za krewkiego, to nic jeszcze nie widziałeś. Chodzi o starszego brata Morie. Pewien ranczer złośliwie skomentował stosowane przez niego metody ochrony środowiska, na co Cort pchnął go tak mocno, że facet przebił zabytkowy parawan w restauracji. Cort natychmiast odzyskał dobry humor, który jeszcze bardziej mu się poprawił, gdy przybyła policja i go aresztowała. Tamten ranczer sprzedał komuś swoje rasowe bydło. Problem w tym, że rasowe było tylko na papierze, bo rodowody zostały sfalszowane. Cort, który niedawno się o tym dowiedział, uznał wstępne przesłuchanie w sądzie za świetną okazję, by upublicznić ten fakt. Efekt był taki, że oskarżenie przeciwko

Cortowi wycofano, a hodowca oszust niestety zdołał uciec i do dziś jest poszukiwany przez policję.

- Każdy ranczer potrafi rozpoznać rasowego byka już po samej konformacji - stwierdził Tank.

- Owszem, ale oszust sprzedał swoje bydło niezbyt doświadczonemu hodowcy, który przybył ze Wschodniego Wybrzeża i dopiero zamierzał rozwinąć skrzydła - wyjaśnił Cane. - Więc kupił rasowe byki do zakładanego stada i szybko się przekonał, że wielokrotnie przepłacił, a konkretnie dowiedział się prawdy dzięki Cortowi. Zamierzali dopaść oszusta, a resztę już znacie.

- Uchowaj nas Boże przed czymś takim! - wykrzyknął Tank. - A zatem sprawca się ulotnił, pozostawiając poszkodowanego na lodzie. Okropność.

- Sprawca? Nadal mówisz jak przedstawiciel prawa - zauważył Cane.

Tank wzruszył ramionami. Wspomnienie tamtych zdarzeń, gdy jako funkcjonariusz straży granicznej został postrzelony, wciąż było dla niego bolesne, jednak coraz skuteczniej je przezwyciężał.

- Przepraszam - rzekł łagodnie Cane. - Nie zamierzałem przywoływać upiorów z przeszłości. Po prostu czasami o tym zapominam.

- Ja też - odrzekł z uśmiechem Tank. - Nie ma sprawy.

Mallory przysłuchiwał się tej rozmowie braci, lecz nie brał w niej udziału. Wciąż przed oczami pojawiała mu się Morie. Była ubrana w piękną suknię, czarne włosy upięła wysoko, kremowe ramiona były odsłonięte...

Obejmował ją w pasie tamten przystojniak.

To też zobaczył oczami wyobraźni i natychmiast zrodził się w nim gniew. Jeśli tylko Daryl Coleman dobrze to rozegra, Morie na zawsze będzie należała do niego. Na pewno całował ją i tulił, pieścił... Jeszcze niedawno była dziewicą, ale czy nadal nią jest? A może wskoczyła do łóżka tego playboya, aby zagłuszyć żal i cierpienie i zapomnieć o tym, że Mallory nie potrafił jej zafascynować i odrzucił ją?

- Przeklęty przystojniaczek - mruknął.

- Kto taki? - spytał Cane.

- Narzeczony Morie.

- Wiem, czym ją zauroczył. Wyglądem, niczym więcej - podkpiwał Tank.

- Łatwo ci mówić! - odparł Mallory. - Wy dostaliście całą urodę Kirków, a ja jestem wykapany dziadek. Boże dopomóż, wyglądał, jakby ktoś najpierw podpalił mu twarz, a potem siekierą zgasił ogień. - Gdy bracia ryknęli śmiechem, odczekał chwilę i dodał już z powagą: -

Pamiętajcie, że wciąż grozi nam proces sądowy. Brannt pozwie nas za zniesławienie.

- Nie robi tego - odparł beztruskim tonem Cane. - Sam nie może nas pozwać, a Morie na to się nie zgodzi, bo ma dobre serce.

- Nadzwyczaj dobre - zgodził się Tank. - I jest równie niewinna jak Joe Bascomb.

Cane nie skomentował tych słów, natomiast Mallory najpierw wymownie spojrzał na Tanka, po czym powiedział:

- Zawsze jesteś lojalny wobec przyjaciół, co jest godne najwyższego szacunku, ale wiesz przecież, że Joe bestialsko skatował muła. Zwierzak ledwie przeżył. Zapomniałeś o tym?

- Joe twierdził, że zrobił to jego stary - odparł z napięciem Tank.

- Byli świadkowie, którzy widzieli, że to Joe, choć żaden z nich nie złożył oficjalnego doniesienia. W tym samym czasie matkę Joego zabrano na pogotowie ze złamaną ręką. Odmówiła zeznań, to znaczy powiedziała, że upadła, ale ci sami świadkowie po cichu mówili, że próbowała powstrzymać Joego przed katowaniem muła, a on uderzył ją żelazną łyżką do opon.

- Mówiła, że potknęła się i upadła. Dlaczego miałbym wierzyć jakimś pokątnym świadkom, a nie jej? - powiedział z uporem Tank.

- Próbujesz to ignorować, ale doskonale wiesz, że Joego zwolniono z wojska z powodu zaburzeń psychicznych - z naciskiem dodał Cane. - Zaatakował w koszarach dwóch żołnierzy, ponieważ wyśmiewali się z niego, że nie potrafi poprawnie pisać. Jeden z nich wylądował w szpitalu.

- Może to wszystko nawet jest prawdą, wcale jednak jeszcze nie oznacza, że Joe celowo spowodował śmierć człowieka, który pobił Laurę Teasley - żywo zaoponował Tank.

- Wiem - zgodził się Cane - ale od wielu lat u Joego powtarza się ten sam wzorzec. Chodzi o gwałtowne, niekontrolowane reakcje, zupełnie nieadekwatne do przyczyn. Taki już był w dzieciństwie, co wyszło na jaw podczas procesu sądowego. Poza tym Laura zeznała, że Joe już wcześniej miał do tamtego mężczyzny pretensje o to, że nie zapłacił mu za kowalską robotę, którą dla niego wykonał.

- Dobra, zostawmy to - powiedział podenerwowany Tank. - Rozmawialiśmy o Branntach i ewentualnym procesie. To prawda, Morie została niewinnie oskarżona, ale wciąż nie wiemy, kto ukradł jajko Fabergé.

- Jedynymi osobami, które miały dostęp do tego pokoju, są Mavie, a jest oczywiste, że tego nie zrobiła, a także my. - Na koniec Cane dodał cicho: - No i Gelly.

- I jeszcze ktoś, prawda? - powiedział z naciskiem Mallory, patrząc na najmłodszego

brata.

- Joe był tu tylko raz, tuż przed aresztowaniem - gniewnie odparł Tank.

- Nieprawda, był na terenie rancza jeszcze co najmniej raz, znacznie później, po ucieczce z więzienia. Spotkał wtedy Morie przy chatce na pastwisku - przypomniał mu Mallory. - To człowiek lasu, potrafi wśliznąć się wszędzie niepostrzeżenie. A oprócz tego, że jest kowalem, para się też ślusarstwem. Czyli potrafi otwierać zamki.

- Czy nie dość, że skazano go za morderstwo, którego nie popełnił? Musimy go jeszcze oskarżać o kradzież? - wykrzyknął zirytowany Tank, zrywając się na nogi. - Mam już dość, idę spać. Kłótnia do niczego nas nie doprowadzi.

- Też się położę. - Cane również podniósł się z krzesła. - Dane Lassiter przysłał jednego z najlepszych detektywów. Jestem pewien, że coś wyszpera.

- Obawiam się, że prawie wszystko, o ile nie wszystko będzie dotyczyć Gelly. - Tank z troską spojrział na najstarszego brata. - Mam nadzieję, że nie jesteś z nią tak mocno związany, jak na to wygląda.

- Nie jestem - ponuro odparł Mallory. - Od czasu do czasu wybierałem się z nią do miasta, to wszystko.

- Gelly uwielbia oskarżać innych i jest w tym niezła - powiedział zadumany Cane. - Przez nią z rancza wylecieli i Morie, i tamten kowboj. Uważaj, Mal, bo bardzo się boję, że wysunie przeciwko tobie jakieś poważne oskarżenia.

- Na przykład jakie? - zdziwił się Mallory.

- Takie, które przyniosą jej finansową korzyść.

- To znaczy?

- Na przykład że jest z tobą w ciąży.

- Nie ze mną. - Czarne oczy Mallory'ego błysnęły. - Nie jestem aż tak nieostrożny.

- Na pewno nie cofnie się przed kłamstwem.

- Badania laboratoryjne oczyszczą mnie z wszelkich zarzutów - odparł z niezmaconym spokojem. - Bo musicie coś wiedzieć. Coś mnie przed tym uchroniło, coś mnie ostrzegło, ale ani razu z nią nie spałem.

- Naprawdę? - zdziwił się Tank. - Gdy się na was patrzy, wyglądacie na... prawdziwą parę.

- Jak najbardziej - dodał Cane. - Ale dobrze się stało, że nie doszło do seksu.

- Też się z tego cieszę - ledwie słyszalnie mruknął Mallory, nie przyznając się do tego, że kiedyś bardzo niewiele brakowało. Zdarzyło się to tylko raz, ale jednak się zdarzyło. Było to tuż po wyjeździe Morie. Mallory był strasznie przygnębiony i potrzebował pocieszenia,



jednak mimo wszystko nie posunął się z Gelly aż tak daleko. Gdyby więc wysunęła wobec niego takie oskarżenie, z łatwością je obali. Tyle że Gelly wciąż może próbować różnych sposobów, w tym i cynicznych intryg, by go usidlić lub choćby wyciągnąć jakąś forszę. Rozpaczliwie potrzebowała kapitału, by nie spaść bardzo nisko w hierarchii społecznej, a ostatnie niepowodzenia finansowe jej ojca sprawiły, że była strasznie zdesperowana. Mallory zastanawiał się, czy z tej desperacji mogła ukraść bezcenną replikę jajka Fabergé. Miała sposobność i motyw, za to, jak coraz więcej na to wskazywało, nie miała żadnych oporów moralnych przed czymś takim.

Zaraz jednak uznał, że pewne bolesne doświadczenie powinno go oduczyć rzucania niepopartych twardymi dowodami oskarżeń. Poczeka więc z tym aż do czasu, gdy detektyw z agencji Dane'a Lassitera rozwiąże sprawę.

Udał się na górę do sypialni. Wciąż rozmyślał o tym, kim naprawdę okazała się Morie, wciąż widział ją, jak stąpa po sali balowej ubrana w piękną białą suknię. Wyglądała wytwornie jak księżniczka i czuła się całkowicie swobodnie pośród bogactwa i luksusu.

Kilka dni później do frontowych drzwi rezydencji Kirków zapukał wysoki śniady mężczyzna o długich czarnych włosach i jasnoszarych oczach.

Mavie wpuściła go do środka i zawołała Mallory'ego, jedyne z braci, który w tym czasie był w domu.

- Nazywam się Tylor Harding - przedstawił się. - Pracuję w agencji detektywistycznej Dane'a Lassitera w Houston.

- Zapraszam do salonu - powiedział Mallory. - Mavie, możemy dostać kawę?

- Zaraz podam. - Jeszcze raz z uśmiechem spojrzała na gościa. Miał urodę i sylwetkę gwiazdora filmowego. Był wysoki i muskularny, lecz przy tym harmonijnie zbudowany.

Harding usiadł naprzeciwko Mallory'ego i oznajmił:

- Zakończyłem dochodzenie.

- A zatem wie pan, kto ukraść jajko? - zapytał podekscytowany Mallory.

- Tak, wiem. - Harding ponuro skinął głową. - Sprzedała je podstawiona osoba paserowi w Denver za dziesięć tysięcy dolarów.

- Dziesięć tysięcy?! - wykrzyknął oszołomiony Mallory. - Jest warte fortunę!

- Tak, wiemy. Aresztowano pasera i skonfiskowano jajko nowemu właścicielowi, który wpadł w szal, bo zapłacił za nie ćwierć miliona dolarów. Na szczęście paser zdążył wydać tylko trzecią część tej sumy.

- Ten przedmiot sztuki należał do naszej babki, a teraz, dzięki panu, wróci do nas. - Mallory odetchnął z ulgą. - Jest bardzo cenny, na aukcji uzyskałby znacznie wyższą cenę.

Jednak dla nas ma ogromną wartość sentymentalną, której nie zmierzy się w dolarach. - Przerwał na moment. - Detektywie, kto go ukradł?

Harding się zawahał. Weszła Mavie, niosąc na srebrnej tacy dwie filiżanki parującej czarnej kawy i ciasto biszkoptowe. Postawiła tacę na stoliku i obdarzyła gościa uśmiechem, choć zazwyczaj nieczęsto się uśmiechała. Mallory'ego rozbawiła sympatia, którą zapałała do Hardinga.

- Mam nadzieję, że lubi pan ciasto? - zwróciła się do niego. - Jest świeże, upieczone wczoraj.

- Uwielbiam. Dziękuję.

- Może podać do kawy śmietankę albo cukier?

Potrząsnął przecząco głową i błysnął w uśmiechu olśniewająco białymi zębami.

- Już od lat przywykłem pić czarną kawę. Podczas mojej pracy zwykle trudno o różne dodatki.

- Dziękujemy ci, Mavie - rzekł z naciskiem Mallory.

Zerknęła na niego, odchrząknęła zmieszana i wyszła.

- Miła kobieta. - Harding łyknął gorący napój i przymknął oczy z rozkoszy. - Kolumbijska kawa... Moja ulubiona.

- Potrafi pan rozpoznać gatunek mieszanki? - spytał zaskoczony Mallory.

- To moje hobby. - W oczach detektywa zamigotało skrywane rozbawienie.

Mallory pozostawił to bez komentarza, tylko powtórzył:

- A więc kto skradł jajko?

Harding wypił kolejny łyk kawy i odstawił filiżankę.

- W kradzież są zamieszane trzy osoby.

- Które? - zapytał gorączkowo Mallory.

- Jajko ukradła mieszkająca w tym mieście kobieta, Gelly Bruner. Miała klucz do gablotki, który dorobił zbiegły więzień Joe Bascomb, gdyż potrzebował pieniędzy, by skutecznie się ukrywać. Marginalną rolę odegrał również niejaki Bates. Jak się wydaje, pomógł panie Bruner w podrzuceniu dowodu rzeczowego.

- Bates pracuje u mnie! - Mallory z trudem panował nad złością. - Powiedział, że widział jajko w rękach Morie Brannt w baraku mieszkalnym.

- Przypuszczam, że wcześniej pomógł także podrzucić dowód rzeczowy obciążający innego pańskiego pracownika, Harry'ego Rogersa, który, o czym może pan nie wie, wynajął adwokata i zamierza złożyć pozew do sądu za bezpodstawne oskarżenie i aresztowanie. Siedział krótko, ale to nie ma znaczenia. Argumenty są po jego stronie.

- Wspaniale - rzucił zgryźliwie Mallory. - Widzę, że nasi prawnicy będą mieli pełne ręce roboty.

- Rogers wniesie sprawę, ale przeciwko szeryfowi, który go aresztował, i pannie Bruner, a nie przeciwko panu. Mówi, że wkręcono pana tak samo jak jego.

- W takim razie jeśli zechce, może wrócić do pracy na moim ranczu i dostanie podwyżkę. Zapłacę także za jego adwokata.

- Musi pan z nim o tym porozmawiać. Natomiast pański pracownik Bob Bates został aresztowany i oskarżony o pomoc i współudział w kradzieży.

- Jestem tym zaskoczony - rzekł z przygnębieniem Mallory. - Rzeczywiście podejrzewałem Gelly, lecz nie przyszło mi do głowy, że Bates też maczał w tym palce.

- Okazał się strasznie naiwny. Zadurzył się w pannie Bruner, roił sobie nie wiadomo co. Wiadomo, młody i głupi. Ale teraz przejrzał na oczy i bardzo żałuje tego, co zrobił. Powiedziała mu, że to tylko taki żart. Zorientował się, w czym rzecz, dopiero kiedy wyrzucono z pracy pannę Bruner, lecz bał się wyznać prawdę, bo sam nie miał czystego sumienia.

- To jednak w żadnym razie nie usprawiedliwia współudziału w kradzieży - stwierdził surowo Mallory.

- Nigdy dotąd nie złamał prawa - powiedział Harding. - Wydaje mi się, że dostanie tylko nadzór kuratorski. Jednak zupełnie inaczej wygląda sytuacja panny Bruner, która miała już kłopoty z policją.

- Z jakiego powodu? - spytał osłupiały Mallory.

- Kradzieży. To nie jest jej pierwsza styczność z organami wymiaru sprawiedliwości. Wprawdzie nigdy jej nie skazano, ale była dwukrotnie oskarżona o kradzież bezcennych zabytkowych przedmiotów z prywatnych domów. Wygląda jednak na to, że tym razem się nie wywinie. Na kwicie sprzedaży skradzionego jajka widnieje jej podpis, a Bates złożył obciążające ją zeznania w zamian za obietnicę uwzględnienia dotychczasowej niekaralności. Widział pannę Bruner w pańskim domu z duplikatem klucza do gablotki w czasie popełnienia kradzieży. Jak się zdaje, Bascomb dorobił dla niej również klucze do frontowych drzwi.

- Dobry Boże! - wykrzyknął Mallory.

- Sugerowałbym więc, żeby pan sprawdził, czy z domu nie zniknęły jeszcze inne cenne przedmioty albo nie zostały zastąpione falsyfikatami.

- Zrobię to jeszcze dzisiaj - obiecał Mallory. - W tak krótkim czasie wykonał pan znakomitą robotę detektywistyczną.

- Lubię moją profesję. - Harding wzruszył ramionami. - Zaczynałem jako gliniarz, ale

nie odpowiadały mi sztywne godziny pracy, więc porzuciłem wydział policji w Houston i zatrudniłem się u Dane'a Lassitera. - Uśmiechnął się. - To świetny szef.

- Tak słyszałem.

- Krążą pogłoski, że Joe Bascomb nie dostał swojej doli za jajko Fabergé i pała chęcią zemsty - dodał Harding. - Na pańskim miejscu wzmocniłbym patrole na terenie rancza i uważał na każdy krok. Bascomb jest bardzo zdesperowany. Aby go schwytać, do okolicznych lasów ściągnięto dodatkowe posiłki policyjne, w tym oddziały tropicieli z psami.

- Wszyscy będziemy uzbrojeni, dopilnuję tego - przyrzekł Mallory. - I dziękuję.

- Zawsze miło pomóc - odrzekł z uśmiechem detektyw.

Mallory powtórzył braciom relację Hardinga. Następnie obeszlą wszystkie pokoje, sprawdzając, czy nie skradziono czegoś jeszcze. Ku swojej konsternacji odkryli brak dwóch bezcennych waz ceramicznych oraz unikalnego miniaturowego kielicha ze szczerego złota, nie mówiąc już o zaginięciu całej srebrnej zastawy. Przechowywano ją w nieużywanej części domu w specjalnej szafce, którą rzadko otwierano, dlatego bracia dotąd nie zauważyli tej straty.

Mallory zadzwonił do biura szeryfa. Przysłany policjant sporządził listę zaginionych rzeczy i zanotował ich wartość. Obiecał też, że oficer śledczy skontaktuje się z policją w Denver, która rozpocznie poszukiwania skradzionych przedmiotów. Mallory nie żywił zbyt wielkiej nadziei, że zostaną odnalezione, ale należało wykorzystać każdą, nawet niewielką szansę.

Gelly zadzwoniła do niego na koszt rozmówcy z policyjnej izby zatrzymań. Z płaczem błagała o pomoc.

- Jestem niewinna - szlochała. - To wszystko kłamstwa! Wrobiono mnie w tę kradzież!

- Miałaś duplikaty kluczy, które dorobił dla ciebie Joe Bascomb - powiedział surowym, odpychającym tonem. - Prokurator powoła świadka, który widział, jak sprzedawałaś skradzioną replikę jajka Fabergé dilerowi w Las Vegas. Czego ode mnie oczekujesz?

- Musisz mi pomóc! - zawołała. - W przeciwnym razie powiem, że zaszłam z tobą w ciążę! Zawiadomię prasę!

- Więc zrób to już dziś, na co czekasz? - rzucił drwiąco.

- Mówię poważnie!

- Więc zrób to, Gelly - powtórzył. - Musiałabyś tego dowieść, a oboje wiemy, że to niemożliwe.

- Owszem, ale mogę skłamać! Potrafię kłamać tak, że ludzie mi wierzą!

- Istotnie - przytaknął chłodno. - Swoimi kłamstwami dopięłaś tego, że Morie straciła u nas pracę, nie wspominając już o Harrym Rogersie, którego wyrzuciliśmy za kradzież wiertarki, chociaż był niewinny.

- Ta głupia Morie... Zmyśliłam na jej temat niestworzone rzeczy, a ty we wszystko uwierzyłeś!

- Owszem - przyznał ponuro.

- Nie zdołałam cię zdobyć, ale przynajmniej dzięki mnie nigdy nie będziesz miał jej! - wykrzyknęła ze złośliwą satysfakcją. - To wykluczone, żeby naprawdę mogła się tobą zainteresować. Jesteś koszmarnie brzydki!

- Być może - odparł chłodno. - Ale jestem też bogaty.

- Phi! - prychnęła, bo tylko tyle mogła zrobić.

- Żegnaj, Gelly.

Odłożył słuchawkę i wyjął z automatycznej sekretarki kasetę, na której zarejestrował tę rozmowę. Wprawdzie nie poinformował Gelly, że ją nagrywa, ale gdyby w przyszłości zamierzała twierdzić, że zaszła z nim w ciążę, ten zapis pomoże zdemaskować kłamstwo. Włożył kasetę do szuflady stolika pod telefon, zastąpił ją nową, a potem zablokował numer izby zatrzymań, skąd dzwoniła, by nie mogła ponownie się z nim skontaktować. Nie miał na to najmniejszej ochoty.

Nigdy nie kochał Gelly, jednak spędził z nią naprawdę miłe chwile. Okazała się złodziejką i oszustką, więc sama wykreśliła siebie z jego życia, ale również zniszczyła dobre wspomnienia. Uwaga Gelly o jego wyglądzie bardzo go zabolala, choć wiedział, że nie jest przystojny, miał kompleks na tym punkcie. Jednak Gelly, gdy była z nim, sprawiała, że zapominał o nim. Jak się okazało, również i wtedy kłamała.

Wyszedł na dwór i wziął się do pracy, lecz nie potrafił się na niej skupić.

Morie wraz z tatą i bratem obchodziła oborę. Przez cały ranek milczała jak zakłeta.

Cort był równie wysoki jak ojciec i zniewalająco przystojny. Miał kruczoczarne włosy i czarne oczy, którymi przenikliwie przyglądał się siostrze, aż wreszcie nie wytrzymał i rzucił zapalczywie:

- Nie rozmyślaj o tym przeklętym draniu z Wyomingu! Nie jest tego wart.

- Amen - mruknął ojciec.

- W ogóle nic o nim nie wiecie - odparła, nie podnosząc wzroku. - Ma wiele zalet. Niestety Gelly Bruner go omamiała.

- Z jego braćmi jakoś się jej nie udało - zauważył King.

- Miłość zaślepia - powiedziała ze smutkiem, nad którym nie zdołała zapanować. -  
Mallory jest zakochany w Gelly.

Zazwyczaj powściągliwy King objął córkę ramieniem i przytulił.

- Daryl będzie dla ciebie dobrym mężem - rzekł z przekonaniem.

- Wiem - odparła z uśmiechem.

- Nic z tego będzie, jeśli ona go nie kocha - skomentował Cort.

- Myślałem, że jesteś po mojej stronie - gniewnie zaatakował go King.

- Jestem, ale Morie to moja siostra i kocham ją. Nie powinna wchodzić w nowy związek, jeśli nie zakończyła poprzedniego.

- Nigdy nie byłam związana z tym okropnym ranczerem - zaprotestowała.

- Na pewno? - Ojciec puścił ją i zajrzał jej w oczy.

- Tak - odrzekła stanowczo.

- Wiesz co, Morie? - łagodnie powiedział King. - Mówiłaś, że Mallory Kirk kocha tę nieszczęsną Gelly. To dziwne, bo patrzył na ciebie takim wzrokiem... No, w każdym razie ten facet bardzo cię pragnie.

- Naprawdę? - Jej serce załomotało gwałtownie.

- Tak. I spodobało mi się, że mi się postawił.

- Sądziłam, że go nie lubisz, tato...

- Wiele się zmieniło, córeczko. Otrzymałem raport od prywatnego detektywa. Panna Bruner oczekuje w areszcie na proces o kradzież, podobnie jak jeden z pastuchów braci Kirków. Ten zbiegły przestępca też jest oskarżony o współudział, ale wciąż nie potrafią go wytropić.

- Wspomniano o tym w porannym serwisie informacyjnym - przytaknął Cort. -  
Wysłano za Bascombem policjantów z psami gończymi.

- Współczuję Tankowi - cicho powiedziała Morie. - Joe Bascomb był jego przyjacielem.

- Jakiemu Tankowi? - spytał zdziwiony Cort.

- To ksywka Daltona Kirka.

- Lepsza niż Donica. - Tak nazywano chudego jak tyczka kowboja, jednego z ich najlepszych pracowników. Nikt nie wiedział, skąd się wzięło to przydomko.

- Podobno Bascomb powiedział jednemu ze swoich krewniaków - dodał King - że zanim go schwytają, musi jeszcze z kimś wyrównać rachunki, i że nie wezmą go żywcem.

Morie przebiegł zimny dreszcz lęku. Ogarnęło ją przeczucie, że niebawem wydarzy się coś strasznego, a ona nie potrafi tego powstrzymać.

- Dziwnie się czuję - wyznała cicho.

- Jak to dziwnie? - spytał ojciec.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, do obory weszła Shelby. Nawet w dżinsach i T-shircie wyglądała jak z okładki żurnala, ale minę miała zafrasowaną.

- Co się stało, skarbie? - zapytał King, wyczulony na nastroje żony. - Mogę ci w czymś pomóc?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie... - Popatrzyła ze smutkiem na córkę. - Chodzi o tego ranczera, Mallory'ego Kirka, u którego pracowałam.

- Coś mu się stało? - rzuciła bez tchu.

- Ten zbiegły kryminalista uprowadził go z rancza. Grozi, że go zabije... Mój Boże! Morie!

Lecz córka już jej nie usłyszała, bo bez czucia padła na ziemię.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

O ile fakt, że Morie zemdląca na wieść o porwaniu Mallory'ego, zaniepokoił jej rodzinę, to naprawdę się przerażili, gdy zaraz po odzyskaniu przytomności oznajmiła, że natychmiast leci do Wyomingu.

- Myślisz, że co takiego możesz zrobić, czego nie potrafi policja? - zapytał porywco ojciec.

- Mogę porozmawiać z Joem Bascombem.

- Nikt nie zdoła przemówić mu do rozsądku. On jest zdesperowany, nie rozumuje normalnie - argumentował brat. - Możliwe, że ciebie również uprowadzi i zamorduje.

- Nie zrobi tego - odparła z niezachwianym przekonaniem. - Już z nim rozmawiałam i podzieliłam się lunchem. Wysłucha mnie.

Shelby milczała, tylko przysłuchiwała się rozmowie i z ogromną troską przyglądała się córce, która zwróciła się właśnie do niej, swej największej sojuszniczki i przyjaciółki:

- Mamo, pamiętasz, jak to było, gdy stary Hughes się upijał? Wzywano mnie, żebym przerwała bójkę, którą sprowokował, albo wyciągnęła go z aresztu. Bez względu na to, jak bardzo był wściekły czy rozjuszony, zawsze się mnie posłuchał.

- Tak, pamiętam - rzekła Shelby. - Masz podejście do ludzi.

- Joe Bascomb nie usłucha żadnego mężczyzny - mówiła dalej Morie. - Ale być może usłucha kobiety.

- Nie pozwolę ci ryzykować! - pieklił się King.

- Owszem, tato, pozwolisz - powiedziała cicho, podchodząc do niego. - Ponieważ na moim miejscu postąpiłbyś tak samo, o czym doskonale wiesz. - Oczy jej pociemniały. - Kocham Mallory'ego Kirka. Może jest łatwowierny, może potrafi być niezdolny, po prostu okropny, ale nie pozwolę, by zginął. Muszę go ocalić.

- Mój Boże, córeczko. - King odetchnął głęboko. - Masz rację.

Zdjęła z palca pierścioneł zaręczynowy i włożyła mu w dłoń.

- Proszę, zwróć go Darylowi i powiedz, że wybieram mężczyznę, którego kocham. Zrozumie.

- Na pewno - przytaknął ojciec. - Każę, żeby zatankowano odrzutowiec.

- Dziękuję.

- Nie daj się zabić. - Pocałował ją w czoło.

- Obiecuję. - Uściskała go, a potem matkę i brata.



- Polecę z tobą - zaproponował Cort.

King potrząsnął głową.

- Nie, synu. To sprawa Morie - stwierdził z powagą King, a potem dodał z błyskiem w oku: - Poza tym w Wyomingu mają już wystarczająco wielu rozrabiaków. Jesteś równie zapalczywy jak ja i wszystkich byś do siebie zraził.

Cort wzruszył ramionami, lecz się nie spierał. To była sprawa Morie, on tylko by jej przeszkadzał. Strasznie bał się o siostrę, tak samo jak rodzice, lecz jak oni musiał trzymać fason, nie wolno się roztkliwiać.

Dał Morie prztyczka w nos i powiedział:

- Uważaj na siebie, mała. - Miał trzymać fason, a jednak głos mu zadrżał.

- Będę uważała. Przyrzekam.

Zadzwoiła z lotniska na rancho. Tank i Cane przyjechali po nią, ale kiedy wyjaśniła, co zamierza zrobić, wyrazili kategoriyczny sprzeciw.

- Jeżeli Joe Bascomb miałby kogoś wysłuchać, to tylko mnie - argumentował Tank.

Był wymizerowany i zdenerwowany, podobnie jak Cane. Żyli w straszliwym napięciu, odkąd przed dwoma dniami Mallory wybrał się konno na objazd ogrodzenia w pobliżu starej chatki przy pastwisku i nie wrócił. Kilka godzin później zatelefonował Joe Bascomb. Oznajmił, że pojmał ich brata i zabije go za to, że przeszkodził mu w zarobieniu pieniędzy na kradzieży jajka. Tank błagał dawnego przyjaciela, ale Joe odparł, że nie ma nic do stracenia i że już więcej nie zadzwoni, po czym się rozłączył.

- Mał być może już nie żyje - rzekł ponuro Tank. - Nie mamy jak się tego dowiedzieć.

- Nie sądzę, aby zginął. - Morie nie wyjaśniła, dlaczego tak myśli. Po prostu w głębi duszy była tego pewna.

- Nawet gdybyśmy pozwolili ci spróbować, nie wiesz, jak odnaleźć Joego - powiedział Cane.

- Pojadę do chatki przy pastwisku i zaczekam na niego. Bascomb na pewno się zjawi. Wiem, że obserwuje to miejsce.

- No tak... Właśnie tam porwał Mala - ponuro stwierdził Cane. - Widzieliśmy ślady walki.

- Ale to może być przypadek. Skąd wiesz, że on tam wróci? Dlaczego chcesz iść akurat do tej chatki? - dociekał Tank.

Popatrzyła na nich z lekkim rozbawieniem, po czym powiedziała:

- Jest całkiem niezłe wyposażona, nawet w łóżko, prawda? I niemal zawsze stoi pusta. Jak myślicie, gdzie Joe mieszkał przez cały ten czas? W jaskini?

- Mogłaś wcześniej podzielić się tym domysłem - mruknął Tank.

- Cóż, na Rancho Real niezbyt wierzono moim słowom - odparła cierpko, lecz gdy zrobili zakłopotane miny, dodała szybko: - Wiem, że akurat wy byliście przekonani o mojej niewinności, za co bardzo wam dziękuję.

- Mallory powiedział, że w twojej rodzinnej posiadłości prezentowałaś się jak księżniczka. Córka Kingstona Brannta objeżdżająca konno nasz płot. - Cane potrząsnął głową. - Ledwie mogliśmy w to uwierzyć.

Rozpromieniła się, gdy usłyszała, jak Mallory ją opisał, jednak starała się zbytnio tego nie okazywać.

- Na naszym ranczu tata nie pozwalał mi nawet zbliżyć się do bydła - wyjaśniła. - Podobnie postępował mój brat. W dodatku wielu mężczyzn natrętnie zabiegało o moją rękę, a tak naprawdę o mój posąg. Chciałam się od tego oderwać.

- Mallory od powrotu do domu nieustannie robił sobie wyrzuty, obwinia siebie za to, że niesłusznie cię oskarżył - poinformował ją Tank. - W ogóle ostatnio ma skłonności depresyjne, bo jakby tego było mało, uważa, że jest zbyt brzydki, by mógł spodobać się jakiegokolwiek kobiecie. Sądzi, że wszystkie dybią tylko na jego majątek, a u innych, tych wartościowych, nie ma już żadnych szans.

- Wcale nie jest brzydki. Głupi, i owszem, bardzo głupi - powiedziała. - Do tego nieufny, podejrzliwy, porywczy...!

- Wiemy to wszystko - przyznał Cane. - Ale go kochamy.

- Ja też. - Popatrzyła na nich ze smutkiem. - Dlatego tu przyjechałam. I nie dam się odwieść od mojego zamiaru. Po prostu wiem, że mam rację.

- Jeżeli Joe go nie zabije, tylko wypuści - odezwał się cicho Tank - Mał zamorduje nas za to, że pozwoliliśmy ci podjąć takie ryzyko.

- Będziemy się tym martwić w swoim czasie - odparła energicznie. - A teraz muszę się przebrać, wskoczyć na siodło i pojechać do chatki.

- Ale leje jak z cebra - zauważył Cane.

- Nie szkodzi. Wzięłam płaszcz przeciwdeszczowy.

Przywiozła również pięć tysięcy dolarów w banknotach o dużych nominałach. Suma nie była zbyt duża, ale przemyślała sprawę dokładnie. Te pieniądze miały przekonać Bascomba, by uwolnił Mallory'ego. Oczywiście Joe mógł je zabrać, a potem zabić ją i Mała, zakładała jednak, że tego nie zrobi. Kwestia wiary, ot co.

Bascomb liczył na pokaźny zysk z kradzieży jajka, jednak został wystawiony do wiatru, co bardzo go rozgniewało. Morie przygotowała dla niego połowę kwoty, którą Gelly

wzięła od pasera, czyli to, co powinien od niej dostać. Miała nadzieję, że to go uspokoi, liczyła na psychologiczny efekt.

Oczywiście najważniejsze było to, że Joe rozpaczliwie potrzebował pieniędzy na dalszą ucieczkę, więc zapewne jest skłonny dobić targu. Ludzie szeryfa coraz bardziej go osaczali i musiał jak najszybciej się im wymknąć.

Nie mógł wiedzieć, że Morie już porozmawiała z szeryfem - kolejnym przyjacielem stryjka Danny'ego - i przedstawiła mu swój plan. Szeryf ulokuje w lesie w pobliżu chatki dwóch agentów federalnych, obeznanych z leśnymi warunkami nie gorzej od Joego Bascomba. Nie powiedziała o tym braciom Kirkom, żeby przypadkiem się nie wygadali, tylko zachowała tę informację dla siebie.

Gdy przyszła do stajni i poprosiła Darby'ego, by osiodłał jej konia, strasznie się zirytował.

- Nie możesz tego zrobić! - protestował, gdy pakowała do woreczka pieniądze, a do torby naleśniki i termos z kawą, które Mavie, choć też przeciwna eskapadzie, przygotowała dla niej. - Nie możecie jej na to pozwolić! - zawołał do braci Kirków, którzy z ponurymi minami stali w pobliżu.

- Owszem, mogę - odpowiedziała Morie. - Nie pozwolę, żeby Joe zabił Mallory'ego. Ocalę go za wszelką cenę.

- To nie w porządku - upierał się Darby.

- Jak najbardziej w porządku - odparła z uśmiechem. - Po prostu pomódl się za mnie, dobrze?

- Będę się modlił bez przerwy - obiecał posępnie. - Żałuję, że nie wiedziałem, kim naprawdę jesteś. Do diabła, nigdy bym ci nie pozwolił objeżdżać ogrodu.

- Gdybyś tak zrobił, nie poznałabym Joego Bascomba i nie miałabym żadnej szansy na przekonanie go, żeby wypuścił Mallory'ego. Nasze ludzkie sprawy dzieją się tak, jak powinny, według z góry ustalonego planu. Wszystko ma swój cel. - Przypomniała sobie, że mówiła to również Joemu.

Wskoczyła na siodło. Strugi ulewy padały na jej błyszczący płaszcz przeciwdeszczowy i kapelusz z szerokim rondem. Zmierzchało, zbliżała się noc.

- Nie martwcie się. Zadzwoń do was, jak tylko się czegoś dowiem. - Poklepała się po kieszeni płaszcza, gdzie miała telefon komórkowy.

- Jeżeli nie odezwiesz się w ciągu godziny, wyruszymy za tobą - zapowiedział Tank.

- Zgoda. - Ruszyła kłusem, potem przeszła w galop.

Pozostała jej jedynie nadzieja, ale ona zawsze umiera ostatnia.

Podjechała pod chatkę, zsiadła z konia, opróżniła juki.

Spostrzegła za firanką w oknie jakiś ruch. A więc trafnie odgadła: Joe jest tutaj. Miała nadzieję, że nadal więzi Mallory'ego. Jeśli go zabił, nie dałaby złamanego grosza za swoje życie.

Weszła po schodkach, otworzyła drzwi i zobaczyła wymierzoną w siebie lufę śrutówki.

- Po co tu przyjechałaś? - zapytał porywco Joe Bascomb.

Poczuła śmiertelne przerażenie, ale nie mogła tego okazać. Zmusiła się do uśmiechu i powiedziała:

- Coś panu przywiozłam.

- Mnie? - Zamrugał zaskoczony, a lufa strzelby zakołysała się niepewnie.

- Tak, panu. - Skinęła głową.

Zawahał się. Morie rozejrzała się po jedynej izbie chatki, a gdy nie dostrzegła Mallory'ego, jej serce zamarło. A jeśli on już nie żyje?

Joe opuścił broń i spytał:

- Co mi przywiozłaś?

- Czy Mallory Kirk żyje? - Gdy nerwowo odetchnął, wpatrując się w nią w milczeniu, powtórzyła mniej pewnym głosem: - Czy on żyje?

Zabezpieczył broń i odłożył na długi stół z nieheblowanego drewna.

- Tak - odpowiedział po długiej pauzie, która wydała się Morie wiecznością.

- Gdzie on jest? - spytała z bezbrzeżną ulgą.

- Niedaleko stąd, przywiązany do drzewa - odrzekł szorstko. - Nikt go tam nie znajdzie. Jest poturbowany. Stawiał opór, kiedy go stąd zabierałem. Ale żyje. Na razie - dodał z naciskiem. - Po co przyjechałaś? I skąd wiedziałaś, że tu jestem?

- Nie wiedziałam. Po prostu miałam nadzieję, że pan tutaj wrócił. Właśnie w tym miejscu się spotkaliśmy, pamięta pan?

- Tak, pamiętam...

Położyła na stole skórzany woreczek z pieniędzmi i torbę. Wyjęła z niej dwa świeżo usmażone naleśniki z konfiturą truskawkową i termos z gorącą kawą.

- Proszę się częstować - powiedziała.

- Placki Mavie - powiedział łamiącym się głosem. Wziął jeden, ugryzł i westchnął z rozkoszy. Z równie wielką przyjemnością łyknął kawę. - Kiedy żyje się w dziczy, strasznie się tęskni za niektórymi rzeczami. - Spojrzał na Morie. - Ryzykowałaś, przychodząc tutaj. Dlaczego ci na to pozwolili?

- Nie mogli mnie powstrzymać, choć próbowali. - Spojrzała mu w oczy. - Kocham Mallory'ego Kirka.

Te słowa wprawiły go w zakłopotanie. Odwrócił wzrok.

- Przecież on jest brzydki - mruknął.

- Uroda to sprawa względna, a tak naprawdę liczy się charakter człowieka - odparła. - On sprawia, czy jest się pięknym czy brzydkim. A Mallory ciężko pracuje, jest uczciwy i prawdomówny.

Parsknął szorstkim śmiechem, po czym oświadczył zimno:

- Ta Bruner mówiła, że mnie kocha. Poznałem ją po śmierci mojej żony. Chciała, żebym dorobił dla niej kilka kluczy. Powiedziała, że ten człowiek, którego później zabiłem, jest jej winien kupę forsy i trzyma te pieniądze w kasetce w swoim domu. Opowiedziała mi kłamstwa o jego dziewczynie po to, żeby ją pobił. Wiedziała, że ona wezwie mnie na pomoc, ponieważ mieszkam w pobliżu.

- Dobry Boże! - zawołała Morie.

- Więc wyrzuciłem tę dziewczynę z pokoju i próbowałem go zmusić, żeby zdradził, gdzie jest kasetka z forszą. Ale zaczął ze mną walczyć, więc musiałem go zabić. Gelly powiedziała, że nic nie szkodzi, bo wie, jak można zdobyć jeszcze większe pieniądze - rzekł nieobecny tonem. - Opowiedziała mi o złotym jajku. Wiedziałem już o nim, bo Tank mi je kiedyś pokazał. Ale nie miałem pojęcia, że jest aż tyle warte. Więc podwędziła Mallory'emu klucze do domu i do szafki z bibelotami i poprosiła, żebym je dorobił. Musiałem w nocy wśliznąć się do kuźni i zrobić to dla niej, ryzykując, że mnie przyłapią. Potem zwróciła mi klucze, więc był przekonany, że po prostu położył je gdzie indziej niż zwykle. Powiedziała mi, że zabierze to jajko, sprzeda i razem uciekniemy z pieniędzmi. Namówiła jakiegoś pastucha, żeby jej pomógł. Potem opyliła ten fant paserowi i aresztowano ją. A ja nie dostałem nawet złamanego grosza, ponieważ Mallory Kirk wezwał prywatnego detektywa, który ujawnił całą tę sprawę!

- To mój ojciec wynajął detektywa, ponieważ obwiniono mnie o kradzież tego jajka - oznajmiła rzeczowym tonem.

- Naprawdę? - wykrzyknął.

- Tak... - Skinęła głową. - Gelly mnie wrobiła, a pomógł jej pastuch Bates, który podrzucił jajko do mojego plecaka.

- To okropne - powiedział powoli. - Nigdy nie zamierzałem ci zaszkodzić. Byłaś dla mnie miła. Większość ludzi ma mnie gdzieś.

- Naprawdę panu współczuję. Ale zabicie Mallory'ego niczego nie rozwiąże, a tylko

zagwarantuje panu karę śmierci.

Znów wybuchnął zimnym śmiechem, a oczy mu pociemniały.

- Nie wrócę do więzienia. Zabiłem tamtego człowieka z premedytacją - oświadczył głosem równie lodowatym jak jego wzrok. - Nie chciał mi powiedzieć, gdzie trzyma forszę. Potrzebowałem tych pieniędzy, żeby zabierać Gelly do eleganckich knajp i kupować jej ładne rzeczy. Mówiła, że kocha mnie najbardziej na świecie. Od śmierci żony nikt mnie nie kochał...

Serce zamarło Morie w piersi. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, że Joe Bascomb był związany z Gelly Bruner. I dałaby głowę, że bracia Kirkowie też nie mieli o tym pojęcia.

- Wiedział pan, że ona ma kryminalną przeszłość? - zapytała. - Dwukrotnie aresztowano ją pod zarzutami kradzieży, ale udawało się jej uniknąć procesu. Tym razem już się nie wykręci.

- Kiedy ten plan nie wypalił, powiedziała, że ma inny sposób zdobycia pieniędzy - mruknął Joe. - Zamierzała ogłosić, że zaszła z Mallorym w ciążę. - Potrząsnął głową, podczas gdy zszokowana Morie stała bez ruchu jak słup soli. - Ale kiedy go porwałem, wyjawiał mi, że nagrał rozmowę z nią, podczas której powiedziała, że to kłamstwo, choć potrafi sprawić, że ludzie jej uwierzą. Jak mogła tak głupio dać się podejść?!

Morie się odprężyła. Przez chwilę bała się, że Gelly naprawdę zaszła w ciążę. Co za ulga! Wciąż jednak musiała uratować Mallory'ego...

- Przyniosłam panu coś jeszcze. - Wskazała skórzany woreczek.

Gdy go otworzył, wykrzyknął:

- To prawdziwy majątek!

- Niezupełnie. Tylko pięć tysięcy dolarów. To część mojego spadku po babce. Ojciec jest właścicielem wielkiego rancza w Teksasie, a jego matka zapisała mi pewną sumę. - Podeszła bliżej do Joego. - Te pieniądze pomogą panu uciec. A więc teraz wypuści pan Mallory'ego, prawda?

Popatrzył na nią podejrzliwie.

- Te banknoty są znaczone, co?

- Jak miałabym je oznaczyć? - zawołała. - Przyjechałam prosto z banku na lotnisku i nie powiedziałam nikomu, co zamierzam zrobić z tymi pieniędzmi. Nie poinformowałam nawet rodziców, że podejmę je z mojego konta!

W jej głosie była sama prawda, więc Joe się odprężył. Wziął w ręce paczkę banknotów i przyjrzał się jej z jawną fascynacją. Przez długi czas tak bardzo się starał zdobyć dość pieniędzy, by ująć z życiem z obławy. I oto teraz miał wreszcie potrzebną sumę. Musiał

już tylko opuścić to miejsce...

- Ktoś za tobą jechał? - spytał.

- Kazałam im przyrzec, że tego nie zrobią - odparła natychmiast.

Zaczął się zastanawiać, obmyślać plan ucieczki. Za te pieniądze mógł kupić tani używany samochód, ubranie i żywność. Mógłby pojechać do Montany. Miał tam przyjaciół, którzy go ukryją. Mógł wymknąć się z potrzasku.

Gdy wziął ze stołu strzelbę, Morie zadrżała. Gdy już dała Joemu pieniądze, mógł ją zastrzelić.

- Nie skrzywdzę cię - powiedział cicho. - Chcę tylko uciec. Nie mogę wrócić do więzienia. Nie zniósłbym zamknięcia. - Popatrzył na banknoty. - Kiedyś uderzyłem matkę żelazną łyżką do opon - wspomniał wstrząśnięty. - Nie zamierzałem zrobić jej krzywdy. Nikogo nie chciałem skrzywdzić. Po prostu dostaję napadów szału. Wściekłość mnie zaślepia i tracę panowanie nad sobą. Nic nie potrafię na to poradzić. - Zamknął oczy. - Wiesz, może byłoby lepiej, gdybym zginął. Już nikomu nie wyrządziłbym krzywdy. Ten biedny poczciwy Mallory... kiedyś tak bardzo mi pomógł, gdy Tank go o to poprosił, kiedy wróciliśmy z wojska. Tank był moim przyjacielem. Okłamałem go. Powiedziałem, że wrobiono mnie w tamto zabójstwo. - Westchnął. - Ale to nieprawda. Nikt mnie nie wrobił. Zamierzałem zabić tego faceta. Popełniłem straszne rzeczy, chociaż nigdy tego nie chciałem. - Spojrzał na Morie. - Ale nie mogę pozwolić, żeby wzięli mnie żywcem, rozumiesz? Nie dam się zamknąć.

- Może gdyby pan się poddał, znaleziono by psychologa, który mógłby panu pomóc...

- Zabiłem człowieka, a drugiego porwałem. To oznacza, że w sprawę wkroczą służby federalne. Wytropią mnie nawet w piekle. Mogę uciekać przez pewien czas, ale w końcu agenci federalni mnie namierzą. Znałem kiedyś jednego. Był zawzięty jak buldog. Mógł nie jeść i nie spać, dopóki nie odszukał człowieka, którego ścigał. Większość z nich jest taka. - Wziął drugi placek i termos. - Dziękuję za jedzenie i kawę. I za pieniądze. - Zawahał się. - I za to, że mnie wysłuchałaś. Nikt nigdy naprawdę nie chciał mnie wysłuchać, z wyjątkiem mojej żony. Biłem ją... - Urwał i jęknął cicho. - Bóg jeden wie, dlaczego ode mnie nie odeszła. Nie zasługiwałem na kogoś takiego jak ona. Zachorowała na serce. Lekarze powiedzieli mi później, że nie chciała się leczyć. Wiedziałem dlaczego. Kochała mnie, lecz nie potrafiła ani ze mną żyć, ani mnie opuścić. Niech mnie diabli porwą! Powinienem dać się zabić. Nie zasługuję na życie!

- To nie pan o tym decyduje - rzekła Morie. - Życie jest darem.

Przełknął nerwowo i popatrzył na nią oczami, które już były martwe.

- Kiedy byłem mały, moja mama wiedziała, że coś jest ze mną nie w porządku. Powiedziała mi to. Ale duma nie pozwalała jej wyjawic tego nikomu innemu. Sądziła, że przez to przyznałaby, że to z nią jest coś nie tak. Wiesz, nigdy nie potrafiłem niczego się nauczyć. Rzuciłem szkołę, ponieważ byłem tam pośmiewiskiem. Nie rozumiałem, co do mnie mówili.

Podeszła do niego jeszcze bliżej. Teraz już wcale się go nie bała.

- Przykro mi. Naprawdę bardzo mi przykro.

- To mnie jest przykro, że wplątałem cię w to wszystko. To nie twoja sprawa. Mallory jest kilometr stąd - dodał po chwili. - Na prawo od szlaku, w krzakach. Dobrze go ukryłem, niełatwo będzie go znaleźć.

- Odnajdę go - rzekła z niezbitym przekonaniem.

Ruszył do drzwi, ale zawahał się i obejrzał na nią.

- Do diabła, ten facet ma szczęście! - wycodził przez zęby.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi, i zniknął w nocnym mroku.

Morie nie traciła ani chwili. Wybiegła na dwór, dosiadła konia i ruszyła wąskim traktem, który poznała podczas wielu tygodni objazdów ogrodu. Mallory gdzieś tam jest, moknie na lodowatym deszczu. Bóg wie, od jak dawna przebywa związany w lesie. Niewątpliwie będzie potrzebował pomocy medycznej. Panowało przenikliwie zimno, niezwykajne o tej porze roku. Serce zabiło jej mocno na myśl, że może nie zdoła go odnaleźć. Mogłaby zawołać o pomoc, ale jeżeli Joe jest nadal w pobliżu, pomyślałaby, że go zdradziła, i w porywie zemsty mógłby zabić i ją, i Mallory'ego.

Przejechała ścieżką mniej więcej kilometr, zsiadła z konia, przywiązała go do drzewa i zaczęła przedzierać się przez chaszczę. Nie natrafiła jednak na żaden ślad Mallory'ego. A jeśli Joe ją okłamał? Jeśli zamordował Mała, a ona odnajdzie tylko jego zwłoki? Poczula narastającą zgrozę, która stalowymi cęgami ścisnęła jej serce.

Może błędnie oceniła dystans i to miejsce jest jeszcze dalej!

Ponownie wsiadła na konia i przejechała kawałek. Gdzieś w oddali rozbrzmiał dziwny dźwięk, jakby trzask pioruna. Ale nie było burzy, kropiła tylko mżawka. Morie zignorowała ten odgłos. Uznała, że w zdenerwowaniu się przesłyszała. Zeskoczyła z siodła i znów zaczęła przeszukiwać poblizę ścieżki. Szło to bardzo powoli. Ledwie widziała własną rękę, a wąty promień latarki nie przebijał nocnych ciemności. Nie ustawała w wysiłkach, lecz bez rezultatu. Wszędzie wokoło rosły drzewa, ale do żadnego z nich nie był przywiązany Mallory.

- Cholera - zaklęła pod nosem.

Może Joe naprawdę zabił Mallory'ego i porzucił jego ciało gdzie indziej? Skoro był



zdolny do morderstwa, potrafi również kłamać!

Przejechała jeszcze kawałek, zsiadła z konia i podjęła przeszukiwanie zarośli, lecz nadal bezskutecznie. Światło latarki coraz bardziej słabło i żółkło. Zapomniała zabrać zapasowe baterie. Potrząsnęła latarką i uderzyła w nią, licząc, że wstrząs przedłuży jej działanie o kilka cennych minut. Jednak nic takiego się nie stało i na jej oczach światło zaczęło gasnąć.

- Do diabła! - zaklęła. - Co za idiotka ze mnie! Zapomnieć zapasowych baterii...

Rozległ się jakiś dźwięk. Przystanęła i nasłuchiwała. Deszcz się nasilił i krople coraz głośniej uderzały o liście, jednak znów usłyszała stłumiony odgłos. Z nadziei serce podskoczyło jej w piersi.

Do diabła z Joem! Nie zamierzała pozwolić Malowi umrzeć tylko dlatego, że bała się krzyknąć.

- Mallory! - zawołała.

Stłumiony dźwięk, tym razem trochę głośniejszy, dobiegł ją ponownie gdzieś z prawej strony.

Szaleńczo rzuciła się na oślep przez krzaki w tamtym kierunku, nie zważając na to, że porani się o gałęzie, podrze ubranie czy połamie sobie kości. Tratowała uschnięte konary i splątane zielsko, zmierzając ku kępie wysokich sosen.

- Mallory! - krzyknęła ponownie.

- Tutaj - odparł słabym, śmiertelnie znużonym głosem.

Przecisnęła się przez krzaki rosnące wokół drzewa i mimo ciemności wypatrzyła Mallory'ego. Siedział z rękami skrępowanymi z tyłu za pniem. Był przemoczony do suchej nitki, sprawiał wrażenie skrajnie wyczerpanego, a jednak gdy dotarło do niego, że zjawiała się Morie, całkiem jakby się odmienił. Było to tak cudowne, że z wrażenia zaparło jej dech w piersi.

Trwało to sekundę, ale nie zapomni tego do końca życia.

Po krótkich zmaganiach Morie rozwiązała bandanę, którą Joe go zakneblował.

- Masz coś do picia? - wychrypiał Mallory. - Od półtora dnia nie miałem w ustach kropli wody.

- Nie mam. Wybacz! - Z żalem pomyślała o termosie z kawą, który dała Bascombowi.

- Rozwiążę cię.

Obeszła drzewo i spróbowała rozsypać węzły, ale nylonowa lina nasiąkła wodą i nie chciała ustąpić.

- Scyzoryk... w lewej kieszeni - wymamrotał.

Sięgnęła tam i jej twarz znalazła się tuż przy jego twarzy.

Suchymi, spękanyymi wargami musnął jej policzek.

- Piękna, dzielna dziewczyna - wyszeptał. - Jestem... z ciebie dumny.

Po jej policzkach pociekły łzy, mieszając się z deszczem. Pochyliła się i mocno przycisnęła usta do jego ust.

- Kocham cię - szepnęła. - Nie obchodzi mnie przeszłość.

- Ja też cię kocham, skarbie. - Nawet zdołał się uśmiechnąć przy tych czułych słowach.

- Naprawdę? - Serce zatrzepotało jej w piersi. - Och, Mal! - Znów go pocałowała.

- Nie chcę cię popędząć, ale czy mogłabyś mnie już uwolnić? - mruknął. - Całkiem straciłem czucie w rękach.

- Och, kochany! - Otworzyła scyzoryk i zaczęła przecinać węzły. Ręce miał bezkruście białe. Kiedy je oswobodził, krążenie powróciło i jęknął z bólu. - Dasz radę wstać?

Spróbował, lecz osunął się bezsilnie na ziemię.

- Przepraszam - powiedział niewyraźnie. - Nogi też mi zdrętwiały.

Niewątpliwie cierpiał z powodu wyziębienia organizmu i Bóg wie ilu obrażeń zadanych przez Joego podczas szamotaniny.

- Wezwę pomoc. - Wyjęła telefon komórkowy.

W tej samej chwili rozbrzły wokół nich światła latarek i ujrzano kilku mężczyzn.

- Panna Brannt? - zawołał ktoś.

- Tak, to ja!

Stanął przed nią wysoki mężczyzna w dżinsach i kurtce z koziej skóry, z ciemnymi włosami związanymi w koński ogon. Miał surowy wyraz twarzy.

- Jestem Tylor Harding - przedstawił się. - Pracuję dla Dane'a Lassitera.

- Witaj, Harding - zdołał wydusić Mallory. - Miło zobaczyć cię przy pracy.

- Jestem lepszy w tropieniu od każdego z tych agentów federalnych - rzucił kpiąco pod adresem pozostałych dwóch mężczyzn - więc zgłosiłem się na ochotnika, by odnaleźć ciebie. Słuchaj, Jameson, możesz sprowadzić dzipa?

- Jasne. Zaraz wracam. - I zniknął.

Harding uklęknął obok Mallory'ego.

- Nie wydaje mi się, żebyś był w stanie pojechać konno - powiedział.

- Chyba nie... Masz trochę wody?

- Ja mam - oznajmił drugi agent federalny.

Rzucił butelkę Hardingowi, który otworzył ją i podał Mallory'emu. Morie przyglądała się z bólem, jak spragniony Mal pił chciwie, niemal się zachłystując.

- Boże, jakie to cudowne! - wykrzyknął, gdy opróżnił butelkę. - Byłem związany od niemal dwóch dni, myślałem, że tu umrę. A wtedy zjawił się anioł i mnie uratował. - Uśmiechnął się do Morie. - Mój osobisty anioł stróż.

- Dałam Joemu Bascombowi sakiewkę z pieniędzmi - zwróciła się do Hardinga. - Poinformowałam o tym szeryfa, zanim tu przyjechałam. Nie potrafię panu powiedzieć, w jakim kierunku udał się Joe. Padał deszcz... - Zamilkła, gdy w świetle latarki zobaczyła posępną twarz Hardinga.

- Nie musi się pani już tym martwić - cicho powiedział detektyw.

- Schwytałście go? - zawołała. - Tak szybko?

- Nie... Znaleźliśmy go pod drzewem, mniej więcej kilometr stąd. Był martwy.

Wstrzymała oddech. Po plecach przebiegł jej zimny dreszcz. Ten dziwny odgłos, który wzięła za grom... A to był huk wystrzału.

- Martwy? - wyjąkała.

- Tak, martwy. Zastrzelił się ze strzelby. Zostawił list. - Wyjął z kieszeni kartkę. - Zaadresowaną do pani, panno Brannt.

Trzęsącymi się rękami rozłożyła brudny skrawek papieru poplamiony krwią. Było na nim nagryzmołonych tylko kilka linijek:

*Zabiłem człowieka, a drugiego porwałem z powodu podłej kobiety, której zależało tylko na pieniądzach. Nigdy nie wyszedłbym z więzienia. Dziękuję ci za to, że jako jedyna byłaś dla mnie miła. Twój mężczyzna to szczęściarz. Bądź szczęśliwa.*

*Twój przyjaciel Joe.*

Wybuchnęła płaczem.

Mallory przytulił ją, nie zważając na ból zdrętwiałego ramienia.

- Już dobrze. Już po wszystkim.

- Biedny człowiek...

- Sam wybrał sobie swój los, panno Brannt - odezwał się cicho Harding.

- Właśnie że nie - odparła przez łzy. - Miał trudności z uczeniem się i całe mnóstwo innych problemów psychicznych, ale nie otrzymał żadnej fachowej pomocy, ponieważ jego matka wstydziła się kłopotów syna.

- Dobry Boże - westchnął Mallory. - Gdybyśmy o tym wiedzieli...

- Każdy z nas ma w życiu do odegrania jakąś rolę - powiedziała Morie.

- To prawda - przytaknął nieoczekiwanie Harding. - Losy innych ludzi splatają się z naszym z powodów, których nigdy może nawet nie pojmimy. Ale wszystko ma swój cel. Nawet samobójstwo Bascomba.

- Przynajmniej jego matka tego nie dożyła i nie widziała, jak marnie skończył. - Mallory czule pogłaskał mokry od łez policzek Morie. - A skoro mowa o rodzinie, lepiej zadzwońmy do naszych bliskich. Moi bracia z pewnością odchodzą od zmysłów z niepokoju, nie mówiąc już o twojej matce i twoim zapalczywym, zaciekłym ojcu...

- Wcale nie jest zaciekły. Nauczysz się go kochać - zapewniła.

- Tak pani sądzi? - wtrącił z rozbawieniem Harding. - Mam co do tego poważne wątpliwości. Poznałem Kinga Brannta.

- Nie zna go pan tak jak ja - odparła rozbawiona.

- A więc tym gorzej dla mnie. - Harding popatrzył na nadjeżdżającego dżipa. - Zawieźmy cię do szpitala, Mallory. Muszą cię zbadać.

- Do szpitala? Nie pojedę do żadnego cholernego szpitala! - zaprotestował gwałtownie, gdy pomagali mu wsiąść do samochodu.

- Owszem, pojedziesz - odparła stanowczo Morie. - A teraz siadaj i zamknij się. Zajmiemy się tobą.

Przez moment wpatrywał się w nią z osłupieniem, a potem się roześmiał.

- Dobrze, szefowo - rzekł przeciągle. - Zrobię, jak sobie życzysz.

- I tak trzymaj, to świetnie nam się ułoży - rzekła z uśmiechem i zatrzepotała długimi rzęsami.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tank i Cane spotkali się z nimi na oddziale pomocy doraźnej. Uściskali wybladłego, znużonego brata, myśląc ze zgrozą o tym, jak blisko otarł się o śmierć.

- Puściliście Morie samą, by mnie szukała! - ryknął na nich i opadł wyczerpany na poduszkę.

- Będziesz się na nas ciskał, kiedy poczujesz się lepiej. Obiecuję, że wtedy porachujemy ci kości - zagroził mu rozbawiony Cane.

- Ale spójrz, czego dokonała. Ocaliła ci życie - dodał z uśmiechem Tank.

- Owszem, Mallory - powiedziała rozpromieniona. - Pomimo ostrych sprzeciwów moich rodziców i brata, a także twoich braci i Darby'ego.

- Wszyscy poczuliśmy ulgę, że nic ci się nie stało - powiedział Cane. - Ale zrobiłaś coś, co nie udałoby się nikomu z nas. Bascomb zastrzeliłby każdego na miejscu...

Przerwał mu hałas na korytarzu. Usłyszeli energiczne kroki i gniewny męski głos.

- Tata! - zawołała Morie.

Do izby przyjęć wpadł jak burza King Brannt, a za nim weszli urzędnik szpitalny i dyżurny lekarz.

- Och, tato! - Morie objęła go mocno. - Nic mi nie jest. Wszystko w porządku!

- Gdzie King? - dobiegł ich z korytarza głos Shelby.

- Trafisz do niego po śladach kolejnych trupów - odpowiedział jej ze śmiechem Cort.

- Mama! Cort! Skąd się tu wzięliście? - Oczywiście ich również serdecznie uściskała.

- Wyruszyliśmy dziesięć minut po tobie - wyjaśnił ojciec. - Jednak nikt nie chciał nam niczego powiedzieć, a oni... - wskazał Cane'a i Tanka - nie odbierali swoich cholernych telefonów komórkowych. Musiałem nawrzeszczeć na szeryfa i jakiegoś detektywa, żeby wreszcie cokolwiek z nich wyciągnąć!

- Nie powinieneś wrzeszczeć na ludzi. Tak się nie godzi - pouczyła go żona.

- Do diabła, kobieto! - Spiorunował ją wzrokiem. - Drżałem na myśl, że jakiś desperat zamordował moją córkę! - Uśmiechnął się czule do żony. - A tu wszyscy się obrażają, że trochę powrzeszczałem...

Urzędnik i lekarz dyżurny wreszcie zrozumieli powód gwałtownego zachowania Kinga. Uśmiechnęli się i wyszli, jednak lekarz po chwili wrócił, aby zbadać Mallory'ego.

- Hipotermia, odwodnienie organizmu, posiniaczone żebra i wybity bark. Ale testy nie wykazały żadnych złamań kości ani wewnętrznych obrażeń - oznajmił. - Miał pan mnóstwo

szczęścia, panie Kirk. O wiele więcej niż pański prześladowca. Jego zwłoki właśnie przewieziono do miejscowego szpitala w celu przeprowadzenia autopsji.

- Co takiego?! - wykrzyknął King.

- Popęłił samobójstwo - wyjaśnił lekarz dyżurny, po czym spojrzał na Morie. - Gdyby moja żona zrobiła to co pani, nawrzeszczałbym na nią tak, że poszłoby jej w pięty, a potem zadusiłbym w uściskach. Takie ryzykanckie zachowanie musiało zszokować pani najbliższych, prawda?

- Prawda! - wyręczyła ją Shelby, wskazując męża i syna.

- No cóż, pan Kirk wyzdrowieje - powiedział z uśmiechem lekarz. - Potrzebuje tylko odpoczynku, środka przeciwbólowego i opatrzenia obrażeń. Tym ostatnim zaraz się zajmujemy.

- Opatrzenia obrażeń - mruknął Mallory. - To tylko parę zadrapań. Codziennie przeżywam gorsze rzeczy, pracując na ranczu.

- Ja również - przytaknął King, podchodząc do niego. - Nie dalej jak dwa dni temu kopnął mnie byk i musiano zakładać mi szwy.

- Mnie w zeszłym tygodniu byk stratował - oznajmił Mallory. - Te przekłete dranie robią to celowo.

- Pamiętaj... - King zmierzył go wzrokiem. - Masz dobrze ją traktować.

- Na pewno - przyrzekł cicho Mallory.

- Może być pan o to spokojny - zawtórował mu Tank. - W przeciwnym razie zmusimy go, żeby się z nią rozwiódł, a potem ja ją poślubię i będę dla niej wymarzoną mężem.

- Jestem starszy od Tanka, więc mam pierwszeństwo. Dlatego kiedy Morie już się nim znudzi - Cane wskazała na Mallory'ego - to wyjdzie za mnie. Wciąż mam większość własnych zębów i umiem tańczyć tango - oświadczył z poważną miną, gdyż słyszał od starszego brata o fascynacji Morie tym tańcem.

- Nauczę się tanga - obiecał Mallory. - Potrzebuję tylko czasu i dobrej nauczycielki.

- Cóż, może się tego podejmę - powiedziała Morie.

- Nauczysz mnie tanga... - Czarne oczy Mala rozbłysły. - A ja w zamian nauczę cię tego i owego.

- Tak? A niby czego? - spytała z udawanym zafascynowaniem.

- Tak. Na przykład tego, żebyś nie wyjeżdżała konno w nocy na poszukiwanie zbiegłego skazańca! - wybuchnął. - A gdyby cię zabił?

- Wtedy musiałbyś znaleźć inną nauczycielkę tanga - odparła z uśmiechem.

- Morie... - Mallory westchnął z irytacją.

- Widzisz? - rzekł do niego King. - Teraz już wiesz, jak to będzie. Ja znoszę to, odkąd ona dorosła na tyle, by tupnąć nogą i powiedzieć mi „nie”. Teraz twoja kolej.

Morie tylko się roześmiała.

Nie wróciła do domu razem z rodziną. Wprowadziła się do wielkiego budynku na ranchu Kirków, do własnego pokoju. Mallory kupił jej piękny pierścionek zaręczynowy i obrączkę, ale nie z rubinami, tylko ze szmaragdami. Oświadczył, że nie chce kopiować gestu spadkobiercy jednej z pięciuset najbogatszych firm świata. Zaręczyli się, chociaż właściwie nigdy formalnie nie poprosił Morie o rękę. Shelby pomagała wysyłać zaproszenia na ceremonię ślubną, która miała się odbyć na rodzinnym ranchu w Teksasie.

W wieczór poprzedzający odlot na rancho Mallory w salonie posadził sobie Morie na kolanach i zaczął ją namiętnie całować. Bracia już wcześniej dyskretnie udali się na nocny spoczynek.

- Jestem spragniony... - Wsunął dłonie pod jej cienką bluzkę i pieścił gładką skórę. - Jak jeszcze nigdy w życiu.

Uśmiechnęła się, nie przerywając pocałunku.

- Ja też.

- Ale jednak zaczekamy.

- Tak, kochany, zaczekamy.

- Przypomnij mi jeszcze raz, dlaczego postanowiliśmy z tym zaczekać, chociaż inni ludzie tak nie robią.

- To, że cały świat postępuje w pewien sposób, nie sprawia jeszcze, że jest to słuszne w świetle wiary - odparła z wielką prostotą. - Pragnę przeżyć prawdziwą noc poślubną, a nie tylko jedną z wielu, która akurat zdarza się po ślubnej ceremonii. Chcę sukni z mnóstwem koronek, którą sama wybiorę, ekscytującej uroczystości ślubnej i weselnego przyjęcia oraz rozkosznego oczekiwania na to, co zdarzy się w nocy. Pierwszy raz jest tylko jeden w życiu. Pragnę, aby mój wyglądał tak, jak sobie wymarzyłam. Kropka.

- Szanuję moralne zasady. - Westchnął cierpiętniczo. - Tylko dlaczego są takie uciążliwe?

- Zobaczysz... - Musnęła ustami jego usta. - Będziesz zadowolony, że zaczekałeś.

- Obiecujesz?

- Mhm... I to solennie.

- No dobrze. Wezmę więc zimny prysznic, wypiję jeszcze zimniejsze piwo i pójdę spać.

- Grzeczny chłopiec.

- Nie z własnej woli - mruknął.

- Naprawdę jesteś uczciwym człowiekiem - powiedziała. - I z dumą zostanę twoją żoną.

- Moja piękna Moreno - szepnął. - Poślubisz najbrzydszego mężczyznę w Wyomingu.

- Kłamca - zbesztła go łagodnie. - Dla mnie jesteś najpiękniejszym mężczyzną na świecie.

- Ja? Naprawdę? - zdumiał się.

- Tak. To nie zewnętrzny wygląd czyni cię pięknym, lecz twój charakter. - Gdy zaczerwienił się, Morie się uśmiechnęła, pocałowała go raz jeszcze i wstała. - Wylatujemy jutro z samego rana. Wiesz, że Mavie i Darby także lecą.

- Owszem. Już się spakowali.

- Mal... - Spochmurniała. - Naprawdę przykro mi z powodu Gelly. Mówi się, że jeżeli sędziowie przysięgli uznają ją za winną, najpewniej dostanie dwanaście lat więzienia.

- Mnie jest przykro, że obwiniałem ciebie. - Objął ją mocno. - Niewiele brakowało. Ta kobieta naprawdę mnie omamiła.

- Ale w porę otrzeźwiałeś. To najważniejsze.

- Tak, oczywiście...

Ślub był największym wydarzeniem w Branntville od czasu, gdy Kingston Brannt pojął za żonę Shelby Kane. Imponująca lista gości obejmowała słynne gwiazdy filmowe, dziennikarzy telewizyjnych, wybitnych sportowców, polityków, a nawet członków europejskich rodzin królewskich.

Wśród zaproszonych gości znalazł się także Daryl. Wpadł wcześniej, pogratulował obojgu i zapewnił Morenę, że cieszy się z jej szczęścia. Nie czuł się urażony tym, że odesłała mu pierścionki pocztą, zamiast zwrócić je osobiście - zwłaszcza kiedy się dowiedział, jak bardzo ryzykowała, by ocalić życie Mallory'emu. Był szczęśliwy, że nic jej się nie stało.

Dodał jednak ze smutkiem, że teraz, gdy już nie jest zaręczony, jego rodzice znowu próbują rzucić go na pożarcie kolejnej „odpowiedniej” młodej pannie. Jak powiedział, już pogodził się z tym, że zostanie usidlony. Kto wie, może nawet znajdą mu naprawdę miłą dziewczynę, taką jak jego przyjaciółka Morena.

Kiedy tak gawędzili ze sobą, Mallory stał w pobliżu naburmuszony i zniecierpliwiony. Jednak Daryl uściśnął mu rękę i wkrótce już uśmiechali się do siebie z sympatią.

Tuż przed rozpoczęciem ceremonii Morena pojawiła się w sukni, którą uszył dla niej słynny projektant mody, jeden z dawnych znajomych Shelby. Promieniała radością i miłością. Czarne włosy, przystrojone perłowo białymi kwiatami, rozpuściła luźno, by spływały na



ramiona. Twarz kryła woalka ozdobiona perłami. Suknia miała tradycyjny krój, z bufiastymi rękawami, skromnym dekoltem, długim trenem i importowanymi z Belgii koronkami. Piękna biżuteria pochodziła z kolekcji matki, a wysadzaną drogimi kamieniami klamerkę do włosów pożyczyła od nieśmiałej druhny Odalie Everett. Odalie szła smukła i dumna, prowadzona pod rękę przez Cane'a Kirka, i stanęła obok Mallory'ego, ostentacyjnie ignorując Corta Brannta.

Organy zagrały „Marsz weselny” Mendelssohna i Morena przeszła główną nawą kaplicy do Mallory'ego Kirka, który stał przed ołtarzem w towarzystwie braci, którzy byli jego drużbami. W rękę trzymała bukiet białych i żółtych róż związany żółtą wstążką. Gdy spojrzała na Mallory'ego, oszołomił ją wyraz miłości w jego pięknych czarnych oczach.

Jakże długą przebyliśmy drogę, pomyślała.

Niemal nie odrywała od niego wzroku i ceremonia minęła dla niej szybko, niemal niezauważalnie. Pozwoliła, by włożył jej na palec ślubną obrączkę, wypowiedziała stosowne słowa małżeńskiej przysięgi, a potem popatrzyła na świeżo poślubionego męża, gdy podniósł woalkę i po raz pierwszy spojrzał na Morie jako na swoją żonę. Był to stary, piękny obyczaj, który z radością zachowali w czasach, gdy cały świat nieustannie lekceważy i wyśmiewa wszelkie tradycje.

- Moja piękna żono - szepnął z uśmiechem Mal, po czym pocałował ją z czułym szacunkiem.

Odwzajemniła pocałunek i westchnęła. Czowała się w siódmym niebie.

Przyjęcie weselne przebiegło miło. Oboje częstowali się nawzajem tortem, pozowali do zdjęć dla reporterów prasowych i fotografa dokumentującego ślubną uroczystość, tańczyli przy akompaniamencie orkiestry grającej najnowsze przeboje.

- Jaką długą drogę przebyliśmy - szepnął jej do ucha Mallory, prowadząc ją w walcu.

- Zabawne, pomyślałam to samo, gdy staliśmy przed ołtarzem! - zawołała.

- Widocznie już czytamy sobie nawzajem w myślach - rzucił żartobliwie.

Skinęła głową, spojrzała mu w oczy i z wrażenia zaparło jej dech w piersi, gdy poczuła intensywne erotyczne napięcie przebiegające między nimi.

- Jeszcze nie - wyszeptała.

Skinął głową, ani na chwilę nie odrywając wzroku od żony.

- Jeszcze nie.

Dwie długie godziny później wsiedli do limuzyny, która zawiozła ich do San Antonio, gdzie mieli spędzić noc poślubną. Następnego dnia wylatywali na Karaiby, na wyspę będącą własnością przyjaciela, który użyczył im na tydzień swojej rezydencji. Będą mieli wymarzony miodowy miesiąc. Nic do roboty oprócz poznawania siebie nawzajem i wylegiwania się

w słońcu. Morie już nie mogła się doczekać.

Zameldowali się w hotelu i weszli do apartamentu, który Mallory wcześniej zarezerwował. Dali napiwek boyowi, zamknęli drzwi i wyłączyli telefon. Miał objął Morie w pasie i długo spoglądał jej w oczy z takim uczuciem, że zaparło jej dech.

Powiódł palcem wokół jej stwardniałego nagle sutka.

- Od wielu tygodni marzyłem o tej chwili - wyznał.

- Ja także - wyszeptała bez tchu.

Potarł nosem jej nos. Mocniej przycisnął palec do jej piersi, a potem nieoczekiwanie go cofnął.

- Kazałaś mi czekać - szepnął z rozbawieniem. - Teraz ja każę czekać tobie.

Zaczął ją całować z wprawą, którą dopiero zaczynała poznawać. Dużymi dłońmi zdjął z niej ze spokojną pewnością wytworną suknię, a potem halkę i biustonosz. Całował jej drżące ciało, przesuwając wargi aż do bioder, i rozebrał Morie z ostatniego skąpego skrawka bielizny. Pocałował płaski brzuch, a gdy jęknęła, przesunął dłonie niżej.

Puścił ją na chwilę i odsunął kołdrę na łóżku. Potem wziął żonę na ręce i położył w chłodnej pościeli. Przyglądał się pożądliwie jej nagości, jednocześnie zdejmując marynarkę i krawat. Rzucił je na krzesło i z uśmiechem rozpiął koszulę, ukazując muskularną, owłosioną klatkę piersiową.

Morie pomyślała o tym, jak to będzie poczuć ją przy swoich nagich piersiach. Poruszyła się bezradnie na łóżku i zadrżała lekko pod intensywnym spojrzeniem Mallory'ego.

- Oczekiwanie jest całkiem przyjemne - mruknął rozbawiony.

- I kto to mówi! - rzuciła kpiąco.

Zdjął buty, skarpetki, pasek i spodnie, a potem powoli ściągnął czarne bokserki.

Wpatrzyła się w niego z gorącymi rumieńcami na policzkach. Cóż, była dzielną, wykształconą i nowoczesną kobietą, wiedziała sporo o anatomii... ale z praktyki była kompletnie zielona. To dopiero było przed nią. Zaraz, teraz, już...

Zafascynowana patrzyła na nagiego męża.

Który usiadł przy niej na łóżku.

- Jak już zapewne zauważyłaś... - odezwał się głosem schrypniętym z podniecenia - natura obdarzyła mnie nieco hojniej niż większość mężczyzn. Ale obiecuję, że nie sprawię ci bólu.

- Wcale się nie boję.

- Akurat! - Delikatnie przesunął wargami po jej małych jędrnych piersiach. - Oczywiście, że się boisz. To twój pierwszy raz.

- Istotnie. Nie przeszkadza ci to?

Uniósł głowę i spojrzął na nią zaskoczony.

- Co takiego?

- Czytałam w pewnym artykule, że niektórzy mężczyźni nie chcą mieć do czynienia z dziewczynami, gdyż pragną uniknąć wynikających z tego komplikacji...

- Naprawdę? - Powiódł dłonią poniżej jej brzucha i uśmiechnął się, gdy usiłowała cofnąć się przed jego dotknięciem. - Spokojnie - szepnął. - Nie bądź zakłopotana swoją reakcją. To, co czujesz, jest całkiem naturalne.

Nie wiedziała, co właściwie czuje. Przede wszystkim szok z powodu tego, że dotykał jej tam, gdzie dotąd dotykała się tylko sama podczas mycia lub kąpieli. Jednak jeszcze bardziej zaszokowała ją rozkosz, której przy tym doznała - tak wielka, że Morie krzyknęła i chwyciła go mocno za rękę.

- Nie spodziewałaś się tego, prawda? - spytał z nutą łagodnej kpiny. - Och, będzie jeszcze lepiej.

Nie przestając pieścić Morie, przesunął wargami po jej piersiach, rozpętując w niej burzę zmysłów. Bezwolnie poddawała się jego pieszczotom.

- Teraz możesz poczuć się trochę nieprzyjemnie - szepnął z ustami przy jej ustach i znów przesunął rękę niżej.

W pierwszej chwili się wzdrygnęła. Kiedy jednak zdała sobie sprawę, co on robi, przestała się opierać. Leżała na plecach, przygryzając wargę, dopóki nie skończył.

Gdy uniósł dłoń, widniała na niej smuga krwi. Sięgnął do leżącego na stoliku pudełka z chusteczkami higienicznymi i wytarł ją, przez cały czas spoglądając Morie w oczy.

- Nie było tak strasznie - wyszeptała.

- To dobrze... Będzie mniej bolało, gdy w ciebie wejdę. - Położył się obok niej i zdecydowanym gestem rozsunał jej nogi. - Zrobię to powoli.

- Mhm... - Wyciągnęła do niego rękę.

Położył się na niej. Jęknęła cicho, gdy poczuła na sobie jego ciężar. Kurczowo wbiła paznokcie w twarde, muskularne ramiona męża.

- Nie masz powodu się denerwować - zapewnił ją łagodnie.

Wsunął rękę między ich ciała i znów jej tam dotknął. Tym razem się nie wzdrygnęła. Uniosła się tylko ku niemu i zadrżała, gdy pulsująca rozkosz przeniknęła ją jak płynny ogień. Jęknęła i zamknęła oczy, by w pełni upajać się tym doznaniem.

Dotyk jego palców stawał się coraz intensywniejszy, coraz mocniejszy i bardziej władczy, doprowadzając ją do szaleństwa.

- Proszę, teraz! - krzyknęła.

- Tak.

Cofnął dłoń i wszedł w nią. Oparł się na przedramionach i poruszał się w Morie ze spokojną pewnością. Ułożył ją w takiej pozycji, by doznawała jeszcze większej rozkoszy, i kierował jej ruchami.

Załkała. Erotyczne napięcie narastało w niej, odbierając zdolność myślenia. Ledwie mogła oddychać. Skupiła spojrzenie na jego twarzy, która na przemian przybliżała się i oddalała w rytm poruszeń jego bioder. Każde powolne pchnięcie wciskało ją w materac. Drżała, gdy rozkosz potężniała w niej z każdym uderzeniem serca, aż wreszcie cały świat zniknął i pozostał tylko odgłos ich ciał ocierających się o siebie, szelest pościeli i zdyszane oddechy.

- Mallory - wyjąkała drżącym głosem.

- Teraz, skarbie - szepnął, przyśpieszając. Tracił kontrolę nad swoim ciałem, które domagało się zaspokojenia. - Tak... teraz... teraz... teraz!

Krzyknęła i uchwyciła się go kurczowo. Poruszała się w tym samym rytmie co on, wyginała się ku niemu, desperacko pragnąc poczuć go w sobie jak najgłębiej, najpełniej. Płonęła jak ogień!

Gdy osiągała szczyt, ugryzła męża w ramię. Wiła się konwulsyjnie, tonęła w rozkoszy, o jakiej istnieniu nigdy nawet nie śniła. Ledwie sobie uświadamiała, że Mal też drżał i jęczał chrapliwie, gdy docierał do szczytu równocześnie z nią. Przywarli do siebie w ekstazie, przeżywając spełnienie w ciągu tych kilku namiętnych, szalonych chwil.

I nawet potem uniosła ku niemu biodra, błagając o więcej.

- Och, nie przestawaj! - prosiła.

- Nie mogę przestać - wyszeptał. - To było cudowne. Tak cholernie cudowne. Myślałem, że umrę z rozkoszy!

- Ja też!

Znów w nią wszedł. Uniósł głowę i przyglądał się, jak na twarzy Morie odbija się coraz intensywniejsza erotyczna satysfakcja. Jej namiętna reakcja nie tylko go uradowała, ale i polechtała męską dumę. Nie wyglądało na to, by Morie kiedykolwiek chciała przestać.

- No dalej, pokaż, co potrafisz - przynagliła go niecierpliwie.

- Kocham cię. - Pocałował ją namiętnie. - Moja dzielna, piękna, niewiarygodnie seksowna żono, oddałbym za ciebie życie.

- A ja za ciebie. - Objęła go mocno.

Zmiażdżył jej wargi pocałunkiem.

- Jestem wyczerpany, kochanie - wyszeptał z ustami przy jej ustach. - Ale wytrzymam jeszcze trochę dłużej, żeby dać ci tyle przyjemności, ile zdołam.

Nie słuchała go albo nie rozumiała. Ogarnięta pożądaniem, pomyślała, że chyba spłonie. Lecz w końcu przebiegł ją ostatni dreszcz rozkoszy i z drżącym westchnieniem osunęła się bezwładnie pod Małem.

Odtoczył się na bok, objął ją ramieniem i przytulił do siebie.

- Zadowolona?

- Tak. Ale nie rozumiem... - szepnęła zdezorientowana.

- Kobiety osiągają spełnienie wolniej niż mężczyźni - wyjaśnił. - Ale mężczyzna szybciej się wyczerpuje i potrzebuje czasu, by ponownie być gotowy. U kobiet pożądanie trwa dłużej.

- Och.

Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy.

- Miałaś rację.

- Tak? W jakiej sprawie?

- Czekania. - Popatrzył na nią z powagą. - Teraz żałuję, że sypiałem wcześniej z kobietami, zanim spotkałem ciebie.

Delikatnie musnęła palcem jego usta.

- Nie jestem pewna, czy ja tego żałuję - szepnęła kpiąco, a gdy popatrzył na nią zdziwiony, wyjaśniła z rozbawieniem: - Dzięki temu jesteś bardzo dobry w łóżku... przynajmniej zdaniem kompletnej nowicjuszki. - Spoważniała. - Tak naprawdę bałam się, Mał. Słyszałam od kilku kobiet przerażające opowieści o nocach poślubnych. Zwłaszcza o tym, jak mężczyźni tracili nad sobą panowanie i sprawiali im straszny ból.

- Och, nie mógłbym cię skrzywdzić. - Znów ją pocałował. - Znadto cię kocham. Zależało mi na tym, żeby to przeżycie było dla ciebie przyjemne. W przeciwnym razie nie miałbym z tego żadnej satysfakcji.

Uśmiechnęła się leniwie i otarła się o niego, lecz nagle się skrzywiła.

- Jesteś obolała? - Spojrzał na nią uważnie.

Nie odpowiedziała, tylko oblała się rumieńcem.

- Rozumiem... - Roześmiał się. - To uboczny skutek gorącej namiętności i wcześniejszej seksualnej abstynencji. Nie masz powodu do niepokoju. Wystarczy kilkudniowy odpoczynek i wszystko wróci do normy. A tymczasem moglibyśmy zamówić coś do jedzenia i obejrzeć film w płatnym kanale telewizyjnym. Co ty na to?

Ostrożnie usiadła w łóżku i skinęła głową.

- Świetny pomysł.

Wstał i przeciągnął się, a potem uśmiechnął, napotkawszy pełne podziwu spojrzenie Morie. Chwycił ją na rękę i zaniósł do łazienki.

- Ale najpierw weźmiemy odprężający prysznic i zabawimy się w doktora! - powiedział.

Wybuchnęła śmiechem. Wyglądało na to, że małżeństwo jest nie tylko nieustającym pasmem namiętności, lecz także wielką frajdą!

Tydzień później tańczyli tango w wytwornym klubie na Jamajce, tuż przy plaży.

- Mówiłem ci, że nauczę się szybko od dobrej nauczycielki. - Pocałował ją w ucho.

- I rzeczywiście tak się stało.

- Ty też wiele się ode mnie nauczyłaś - dodał szeptem.

- Kupiłam dziś tę książkę - oznajmiła z figlarnym uśmiechem.

- Książkę? - Nachylił się ku niej. - Jaką?

- Opisującą szczegółowo, jak... ee... robić to ze swoim mężem.

- A co ze mną? - narzekał z wesołym błyskiem w oku. - Przecież nie mam męża.

- To książka dla kobiet. O tym, jak mają robić to ze swoimi mężami - powtórzyła. -

Bardzo obszerna i wyczerpująca.

- Czy są tam rysunki? - zapytał wielce zaciekawiony.

- Do tego nie potrzeba rysunków. - Spiorunowała go wzrokiem.

- A zatem, czy możesz mi to zademonstrować? - zapytał z błyskiem w oczach.

- Praktyczne ćwiczenia? - Zaśmiała się głośno. - Och, myślę, że tak.

- Teraz? - zapytał, przystając na środku parkietu tanecznego.

- Tutaj? - rzuciła zszokowana.

- Jak możesz tak mówić? - parsknął z udawanym oburzeniem. - Jestem przecież uczciwym mężczyzną, zachowuję pion moralny.

- Nie zachowasz pionu, kiedy będę ci demonstrowała to, czego dowiedziałam się z tej książki. - Wydęła wargi. - Musisz przybrać pozycję pólężącą.

- To z każdą chwilą robi się coraz ciekawsze. Możemy już stąd iść? - Wyciągnął do niej rękę.

Ze śmiechem ujęła ją w dłoń.

- Bardzo chętnie. To może zabrać nam trochę czasu - dodała. - Nie jestem pewna, czy wszystko już dobrze zapamiętałam.

- Obiecuję, że nie będę się skarżył bez względu na to, ile to potrwa - zapewnił z wesołym błyskiem w oczach.

To istotnie zajęło dużo czasu. Ale Mał dotrzymał obietnicy: nie skarżył się, i to w ogóle.





